ZŁOTA TABAKIERA.

Kijów. Drukarnia Uniwersytetu Św. Włodzimiérza.

ZŁOTA TABAKIERA

POWIEŚC OBYCZAJOWA

PRZEZ

MICHAŁA JEZIERSKIEGO.

KIJOW.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

1857.

ПЕЧАТАТЬ ПОЗВОЛЯЕТСЯ

съ тѣмъ, чтобы по отпечатаніи представлено было въ Цензурный Комитетъ узаконенное число экземпляровъ. Кіевъ. 1856 года, Іюля 31 дня.

Цензоръ, Стат. Совѣт. *Новицкій.*

DO P. HENRYKA STRASZYŃSKIEGO.

Od dawien — dawno jest obyczaj stary,
By za dar w dowód przyjaźni — pamięci,
Przyjąć uprzejmie choćby liche dary
Gdy je przyjaciel nawzajem poświęci —
Ty tabakierę dałeś mi, Henryku,
Którą z najżywszą przyjąłem ochotą.
Choć nie tak piękną, z wadami bez liku,
Przyjmże na wzajem Tabakierę złotą.

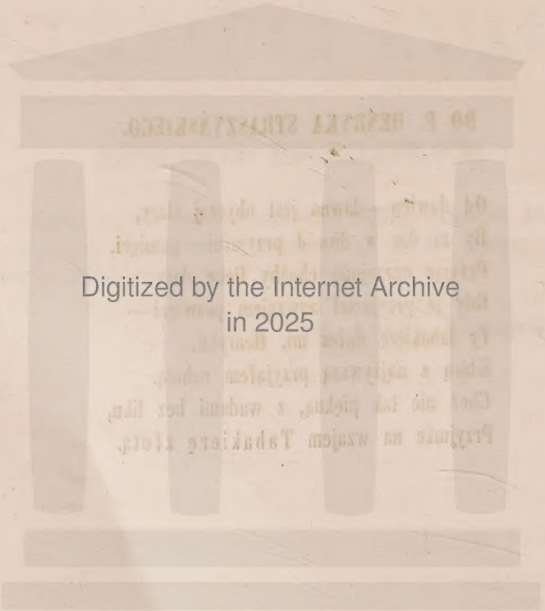

Digitized by the Internet Archive
in 2025

https://archive.org/details/alotatabakiera0000powi

PAN PORUCZNIK i JEGO RODZINA.

W obszernéj komnacie z dużym kominkiem, na żelaznem łożu wysłaném piernatem, spał mężczyzna do sześciudziesięciu lat mający, w łosiowym kaftaniku, z jaśkiem pod głową, z pieszczoską pod bokiem, a z pierzynką w nogach — choć promienie słońca gwałtem się wciskały przez zamknięte okienice, choć zegar dawno ósmą godzinę zadzwonił, p. Porucznik Władysław Gromski właściciel domu i dziedzic kilku dobrych wiosek, przewracał się po miękiéj pościeli jakby chciał miły sen jeszcze przedłużyć, lub bał się wyleść z dobrze wygrzanych piernatów.— Pokój sypialny bardzo skromnie był ubrany, kilka krzeseł staroświeckich skurą obitych, sofa dywanem wypłowiałym okryta—kantorek

jasionwy, mały stoliczek koło łóżka na którym przyśrubowana stała szkatułka, obok potężny kufer okuty, z dwiéma kłódkami, stanowiły główną ozdobę. — Na meblach w nieładzie leżały rejestra — dzienniki gospodarskie, kilka torbeczek z napisami — pszenica czelna — oścista — gładka — sandomirka, na talerzach próbki jagieł, jęczmienia, hreczki — po ścianach wisiały mapy ekonomiczne — daléj siodło z musztukiem, parę pistoletów, pałasz — ładownica i stara spłowiała czapka pułku gwardyi strzelców konnych — przytém na wszystkich sprzętach były prochy — śmiecie na posadzce — a pajęczyny po ścianach. — Przez otwarte drzwi do przyległego pokoju widać było wannę, stół z wielkiém zwierciadłem, pełno buteleczek z kosmetykami — czernidła — proszki, i liczne narzędzia do toalety, których użytku chyba stary kawaler mógłby się domyślić — Powiadają że z urządzenia pomieszkania łatwo odgadnąć charakter właściciela, tu zaś tak sprzeczne skupiły się elementa, że trudno zamiłowanie naszego p. Porucznika określić. —

Zdaje się że jest starym żołnierzem a razem piecuchem — gospodarzem i człowiekiem bez porządku — elegantem i brudnym niedołęgą — szczęściem możemy zaniechać utrudzających domysłów i wniosków — gdyż p. Porucznik już się przebudził i da się nam poznać.

Klasnął w dłonie i na te hasło cały dóm się ocknął, powstał zewsząd ruch — gwar — bieganie sług i oficialistów. — Gdy p. Porucznik odziewał się w szlafrok w przyległéj sali zgromadzali się ekonomowie — pisarze — rachmistrze — dozorcy magazynów — szpiechlerzów i psiarni — kucharz oczekiwał z cetlą — kamerdyner z kawą — a arendarz z torbą pieniędzy. — W pół godziny wszedł p. Porucznik Gromski, ukłonił się wszystkim zgromadzonym, zasiadł do śniadania i rozpoczął lakoniczne dawać zapytania odbierając prędkie i jeszcze krótsze odpowiedzi. — W ustach sług brzmiały wciąż tylko wyrazy — tak, lub nie — spełniłem lub wypełnię rozkaz JW. Pana — a p. Gromski kończąc rozmowę każdemu z osobna do-

dawał — kontent jestem z waści — lub — stracisz moję łaskę. — Po godzinnéj audyencyi — za danym znakiem, wszyscy się razem skłonili i rozbiegli się do swych zatrudnień.

P. Władysław Gromski służąc w Warszawie w wojsku przed 1820 rokiem, przywykł do rozkazów lakonicznych naczelnego wodza, przebrał też samą zwięzłość w mowie ze swymi podwładnymi. — Rygor i porządek były jego hasłem — hartował sługi do niewygód — chłodu i głogu, chociaż sam rozpieszczał swe ciało i jadł przewybornie — mimo to prawił o swém spartańskiém wychowaniu — o trudach żołnierskich — jak subordynacya nadała hart jego duszy, i jeśli zmienił tryb rycerskiego życia, zmusiła go do téj przykréj konieczności, kontuzya odebrana w nodze i rana w boku zadana bagnetem — słuchali go z uszanowaniem słudzy i podwładni — sąsiedzi z niedowierzaniem, a rówieśnicy i kolledzy p. Porucznika ze szczérem uśmiechem dziwiąc się bezczelnéj śmiałości p. Władysława. — Ale p. Gromski wielu był potrze-

bny — kapitalista, miał przewagę na wyborach, wierzyli więc lub milczeli o kontuzyi i o ranie zadanéj bagnetem. — Jakiś tam szerepetka odezwał się był na wyborach że kontuzyi i rany nikt nie odebrał na Saskim placu, lecz zaraz partyja p. Porucznika go zagłuszyła i gdy się szlachcic podawał na podsędka dostał z całego powiatu kilka tylko afirmatyw — z tego wypadku należałoby wyciągnąć wniosek że p. Władysław był szanowany i kochany, tymczasem serca obywatelskie dalekiémi były od miłości dla p. Gromskiego — jedni go się bali, a drugim był potrzebny — może i o tém sam wiedział p. Władysław — gdyż nieraz na wyborach chciał tak niby ulubiony tytuł Porucznika, dla dobra współobywateli przemienić na JW. Marszałka, lecz mimo przewybornych obiadków i najhojniéj rozdawanych pocałunków, przekonawszy się że utrzymać się nie może, zdzierał kartki z swym nazwiskiem z puszek przygotowanych do głosowania i wołał tubalnym głosem.

— Panowie! czyż się godzi mię znęka-

nego trudami żołnierskiemi, wyciągać na urząd, czy niéma między nami i młódszych i zdolniejszych — jużem się wysłużył krajowi, niech i drudzy cóś poświęcą dla was.

Ta krótka i energiczna mowa, którą p. Porucznik mniemał być równą co do mocy, wyrzeczonéj niegdyś pod piramidami — nie czyniła wielkiego zapału, zawsze po trzech latach, kogoś innego obrano Marszałkiem, a p. Gromski był zawsze Porucznikiem — zrozumiał więc p. Władysław że temperatura serc obywatelskich dla niego stała tylko jednym stopniem wyżéj zéra. Nieukontentowany wracał do domu i znowu przez lat trzy rozprawiał o swych usługach dla kraju, o swéj zacności — prawości i nie poszlakowanym postępowaniu.

Po wydanych rozkazach sługom i oficyalistom, po najpoufalszéj rozmowie z aredarzem, około dziesiątéj godziny wstał p. Gromski od śniadania — ów spartańczyk przywykły do znojów żołnierskich godzinę się ubierał — nacierał się octami — czernił szpakowatą głowę,

fryzował wąsy — wycinał bokobrody w kształty dwóch księżyców i subtelnym proszkiem nasypywał brwi wyleniałe — najwięcéj zajmowało czasu włożenie chustki na szyję i związanie misternego węzła — dwaj słudzy i sam p. Porucznik pracowali mozolnie nad dziełem które było podstawą wytwornego ubrania. — Trzydzieście palców latało ciągle po białéj chustce wyciągając zgięcia, pomagając tworzeniu się kokardy, która czasami przebierała kształt motyla albo róży — lub kupidyna ze wzniesionémi skrzydłami; bogata szpilka z stosownym do okoliczności amblematem, dopełniała myśl owego arcydzieła — uczucia i dzienne wrażenia malowały się u p. Gromskiego nie w oczach — nie w twarzy — lecz wtłaczały się w fałdy okręconéj chustki, osobliwie myśl główna leżała w kokardzie — widać że dziś dumał o zjednoczeniu serc obywatelskich, gdyż ta się zkręciła w węzeł gordyjski, a szpilka w kształcie dwóch rąk z sobą splecionych była wymownym hyroglifem sąsiedzkiéj przyjaźni.

Żaden psycholog nie chciał się zastanowić nad tysiącem sposobów zawiązywania chustek u szyi, chociaż charakter osób zawsze się w jéj fałdach objawia. — Przypatrz się tylko jak się ona układa na szyi rozpustnika lub bigota — skąpca lub marnotrawcy — głupca lub pedagoga, handlarza lub artysty — żołnierza lub urzędnika — przypatrzcie się tylko dobrze, a przybędą wam bogate studia nad charakterami ludzkiémi.

Pan Władysław od lat pietnastu został wdowcem, kilkonastoletnie pożycie z żoną nie było szczęśliwe, było to stadło sklecone ludzką rachubą. — Naleganie rodziców, podszepty kilku usłużnych sąsiadek z namiętnością niepohamowaną kojarzenia małżeństw, połączyli dwie sprzecznoście — łagodność z brutalstwem, pobożność z niedowiarstwem — serce skłonne do poświęceń z egoizmem. — Niedziw że z takich żywiołów wyrodził się niepokój domowy — w mężu upor postawienia zawsze na swoim — w żonie rezygnacya, cierpienie — a w końcu śmiertelna cho-

roba, która w początkach uważana przez męża za kobiece kaprysy, zakończyła się śmiercią. — Dopiero po pogrzebie gdy się uczuł osamotnionym p. Gromski, począł za nią tęsknić — wspominać z uczuciem nieboszczkę żonę, i choć zapóźno rozmiłował się w jéj cnotach. Często w rozmowach była mu na ustach — jeździł w rocznice jéj śmierci do kościoła na egzekwije — jéj portret zawiesił w swym sypialnym pokoju, a świat nie słysząc nigdy żadnéj skargi, nie widząc łez zmarłéj, uznał p. Władysława za najprzykładniejszego męża. — Wierność jego stała się w sąsiedztwie nieraz bodzącym kolcem dla niewiernych małżonków.

Po kilkoletniém niecierpliwém oczekiwaniu Bóg mu dał syna, opóźnienie takowe odrodzenia się w potomkach, było źródłem dotkliwych wymówek dla biednéj żony — urodzenie Cezarka złagodziło niesnaski domowe, rok cały trwał spokój małżeński — lecz nadeszły choroby dziecięcia, a ztąd nowe źródła gderań, iż zarody chorowitéj natury wzięło

dziecię w spadku po matce, lecz ten nowy krzyk był lżejszym dla p. Gromskiéj, wynadgradzała go sowicie każda pieszczotka — każde nowe słówka, coraz rozwijające się pojęcie dziecięcia; — przez lat dziesięć aż do chwili zgonu najtroskliwiéj zajmowała się jego wychowaniem, siejąc w młode serce ziarna wiary i miłości które zwykle przez całe życie tkwią w naszéj pamięci — i jeśli nie jeden kwiat piękny ubarwi drogę naszego żywota, pewno on wystrzelił z nasiona rzuconego matki ręką.

Po swém osieroceniu Cezary oddany był pod opiekę panny Kunegundy siostry rodzonéj p. Gromskiego, która w jego domu bawiła. — W gruncie była to dobra istota, ale imaginacya brała często górę nad uczuciem, rozum czasami głuszył popędy serca — wyszłaby panna Kunegunda zwycięzko z tych walk wewnętrznych, gdyby nie choroba uczoności, która w kobiecie nabytki umysłowe ujmą uczucia nader często opłaca — póki jeszcze młodość skromności szatą osłaniała śmielsze sądy, póki zarozumiałość nie uzbroiła ją

jeszcze w miecz erudyta i krytyka, wówczas p. Kunegunda była ujmującą osobą, prawdziwą ozdobą wykształconego towarzystwa — lecz ze czwartym krzyżykiem ziarno próżności które w każdém sercu się ukrywa wybujało i zaczęło rodzić olbrzymie owoce, podobne do leśnych purchawek, które roztłuczone prochém czarnym biją w oczy i nikną wiatrem rozwiane. — Jak kąkol w pszenicy, tak próżność wzrasta przy cnotach i miesza się do najpiękniejszych usposobień i czynów — być dobrym bez próżności, jest to być świętym. — Nasza panna Kunegunda nie była też świętą — i nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności nie mogąc zapełnić serca ani miłością męża, ani dziatek — nie umiejąc się podnieść do poświęceń dla drugich — ukochała naukę. — Za młodu upajała się poezyją — gdy serce cierpło znalazła pokarm w historyi — uciekając od smutnéj teraźniejszości przeniosła się w przeszłość i tam szukała swych bohaterów, ale te kolosalne postacie różnych wieków nie zapełniły jéj życia, serce coraz stygło, a umysł

szczeblując coraz wyżéj, chwycił się ostatecznéj niebespiecznéj nici. — P. Kunegunda została miłośniczką filozofii — lecz zamiast zwijać porządnie ów kłębek wniosków i rozumowań, splątała go — porwała przędzę i zamiast bogatéj tkaniny, ujrzała same kłaki. — Nie nasycona swémi zamiłowaniami, nic nie wyniosła z swéj długiéj i mozolnéj wędrówki umysłowéj, prócz skwaśniałego humoru staréj panny i chąc erudycyi, uczoności — którémi bez żadnego wyboru wszystkich chciałaby nakarmić — lub zdziwić. — Czwarty krzyżyk czyli epoka w któréj wchodzi panna Kunegunda do naszéj powieści, zastała ją w tém usposobieniu ducha i umysłu. — Jedno jeszcze niewieście uczucie pięknie świeciło w jéj sercu — to jest przywiązanie do swego wychowańca p. Cezarego. Imie siostrzeńca wielce się przyczyniło do jéj dobrych usposobień ku niemu, gdyż przypominało jéj kolosalną postać historyczną, widziała w nim w przyszłości ulubionego bohatera Juliusza Cezara, nad którego życiem głębokie czyniła studia —

upatrywała nie tylko podobieństwo w charakterze i rysach, ale i w położeniu Cezarka. — Juliusz Cezar takoż miał ciotkę, szczęśliwszą tylko od niéj, bo była wdową po Mariusie zwycięzcy Teutonów i Cymbrów, dzielił władzę z Pompejuszem i Krassem. — Panna Kunegunda upatrywała tryumwirat w rządach swoich, brata Władysława i Cezarka. — Dla uzupełnienia podobieństwa pragnęła z całéj duszy ożenić go z Kornelią która najszczęśliwszym trafem dla panny Kunegundy w ich sąsiedztwie mieszkała.

Zamiłowanie do wszystkich gałęzi nauk, oddanie się im wyłączne, chociaż wyrodziło śmieszny pedantyzm w pannie Kunegundzie, jadnak stało się korzystném dla jéj wychowańca. — P. Cezary będąc w ciągłém towarzystwie ciotki, oswajał się z encyklopedycznémi wiadomościami, wdrożył się do pracy umysłowéj, która stała się potrzebą — koniecznem życia zajęciem. — Szlachetne usposobienia, dobroć serca, wziął jakby w spadku po matce, wszystkie jéj przestrogi — nauki —

wyryły się w jego duszy i stały się kardynalnémi prawami w praktycznem życiu. — P. Gromski nie wglądał w wychowanie Cezarego, nie wierzył aby nauki uszlachetniały człowieka, nie bez wewnętrznéj jednak ojcowskiéj próżności słuchał nie raz rozprawiającego syna i z łatwością zbijającego swoich przeciwników — giętkość w wysłowieniu tworzyła mu nadzieję że Cezarek będzie dobrym wyborowym mówcą — logiczny porządek w dyskussyi uspakajał go iż każdy interes dobrze poprowadzić zdoła — przekonywające dowody które Cezary na podorędziu miał do każdego przedmiotu, upewniały p. Porucznika iż najzawikłańszy proces wyjaśnić i wygrać potrafi — gdérał tylko czasami że nie widzi w nim téj sarmackiéj odwagi, która płynie w jego żyłach — że nie podobny do swoich protoplastów którzy z orężem w ręku dobijali się sławy i krwią własną obmyli wszystkie krańce świata. — Ta szumna apologya przodków, zdawała się upewniać, iż rod Gromskich sięga pierwszych wojen krzyżowych,

iż średniowieczna historyja zapisała jego nazwisko na swoich kartach — ale ówcześni dziejopisowie jakby się naprzekor zmówili i żadnéj wzmianki nie czynią — jeden Dytmar Mersburgski, mówi że niejakiś Gromus był w służbie Ottona III Cesarza i walczył posiłkując Bolesławowi Księciu Czeskiemu w Luzacyi — pod rokiem 990 zreszto przez siedem wieków we wszystkich kronikach cudzoziemskich i naszych głuche o Gromusach i Gromskich panuje milczenie — a tylko Niesiecki pod herbem Ślepowron — pisze iż świeżo nobilitowani Gromscy używają tego starożytnego klejnotu.

P. Porucznik potomek owego Dytmarowskiego Gromusa, miał szczególniejsze upodobanie przekonywania każdego o starożytności swego rodu, jeśli czuł w sobie jaką ułomność, jaki niedostatek starał się go ukrywać i wmówić we wszystkich, że właśnie tego mu nie braknie. — Widząc jednak z papierów dziada podwojewodzego, którego przed mniéj świadomémi na wojewodę nie raz

posuwał—i z heroldyjnych dokumentow ojca, p. Stolnika, dodając z cicha *koronnego*—iż nie tylko dawnéj rodowitości, ale świetnego skolegacenia mu braknie, zamyślał Cezarego ożenić z panną dygnitarskiego rodu, nie odstępując jednak od wymagań znacznego posagu—i w tém był szczęśliwy p. Gromski w sąsiedztwie mieszkał p. historycznego imienia—majętny—nader oszczędny—i miał jedną tylko córkę.—Cezary był tam dobrze przyjęty, zaczęto już mówić o szczęśliwéj miłości młodéj pary co wszystko najwięcéj jak wiémy uszczęśliwiało p. Kunegundę, gdyż szczególnym trafem bohaterka wychowańca nosiła imię żony Juliusza Cezara.—Ten zbieg tychże samych imion historycznych, tylko co zupełnie nie zmącił umysł p. Kunegundy, zaczęła wierzyć we wcielenie się duchów, w przejście Juliusza Cezarego w Cezarka—a jego żony w pannę Kornelyę—lecz z tych mrzonek obudzał ją nie raz tubalny głos brata Porucznika i paraliżował polot p. Kunegundy, lecącéj często za szranki zdrowego rozsądku.

Osoby z któremyśmy się dotąd zapoznali stanowiły szczupłe towarzystwo domu pana Porucznika, nie zaliczamy kilka sług starych, którzy przez wzgląd półwiekowéj niemal służby, osiągnęli przywiléj siadania do pańskiego stołu, gdyż te bez ruchu i mowy podobniejsze były raczéj do figur woskowych. — Przez przyzwyczajenie do miejsca, przez pamięć dla nieboszczyka pana Stolnika trzymali się swych posad, zadając oczywisty fałsz przysłowiu, że i *kamień na miejscu obrasta*, gdyż oprócz kubraka na grzbiecie i skromnéj pensyjki nic dla siebie nie uzbierali. — P. Porucznik korzystał z ich szczérych usług i doświadczonéj wierności, przebąkując nieraz o gratyfikacyi która w testamencie zapomnianą nie będzie. — System wojskowy — rozkazy lakoniczne, zamknęły im usta i zawsze słowa prawdy wydobywające się gwałtem z ich serc poczciwych, rozlewały się tylko w smutnym spójrzeniu lub w niecierpliwym pokręceniu siwego wąsa.

P. Władysław Gromski był zapopadliwym

i żmudnym gospodarzem, żadne ziarno zboża nie poszło marnie, nie tylko ludzie ale wróble nawet chudły przy tokach Judkowickich, które do porządnego miasteczka były podobne — Sterty grubo poszyte — ziemia wymieciona, i choć umieszczono gołębnik nad bramą toku jednak żaden gołąb do niego nie zawitał, znać że mieszkańcom powietrznym znana była skrzętność p. Porucznika — nawet z łanów nie dostało się im nigdy zżasować niedojrzałą pszenicę, gdy w okrąg pod lasami postawiono strachy i chłopcy z grzechotkami wciąż bronili ich napadów. — Stary rządca ruszał tylko ramionami wspominając Stolnikowskie czasy w których lepiéj się działo w Judkowcach i ludziom i ptakom. — Nikt w okolicy drożéj nie sprzedawał zboża nad p. Gromskiego — jak był lakoniczny z podwładnémi tak rozwlekłym i nudnym przy targach niemal do zemdlenia męczył kupców, wychwalał i swój honor i swoją rzetelność, przeplatając rozmowę przysłowiami ruskiemi i wyrazami żydowskiemi i dość że zawsze

postawił na swojém. — Faktorował mu do wszystkich targów arendarz Moszko który jeden procent ze stron obu pobierał. — Moszko był prawdziwym przyjacielem p. Porucznika bo też mu się dobrze przy nim działo — nieraz sąsiad potrzebował pieniędzy, p. Gromski wymawiał się niemożnością — lecz zawsze stręczył Moszka, dopomagał niby do ułożenia interesu, zbijał wymagania lichwiarskie, kończąc zwykle pożyczkę na trzech procentach od sta miesięcznie. — Wówczas Moszko brał pieniądze z kassy p. Porucznika zyskując jeden procent za pożyczkę swego lichwiarskiego imienia, a dwa były czystym zyskiem p. Gromskiego. Mawiał często iż sekret duszą interesu, to też Moszko dochowywał go wiernie mając tak znaczną korzyść z kapitałów Porucznika — bolała pana Władysława tak wielka ofiara, lecz trudno aby cóś nie poświęcić dla opinii zacnego i uczciwego człowieka. Czasami Moszko wpadał w samostrach p. Gromskiego, lecz przy zda-

rzonéj zręczności umiał sowicie wynadgrodzić szkodę.

Poznawszy trochę osób Judkowieckiego domu, przejdźmy z p. Władysławem do salonu, gdzie jak możem sądzić, po zawiązaniu z takim trudem mistycznego gordyjskiego węzła u szyi, z oczekiwanémi gośćmi naszych łaskawych czytelników zapoznamy.

HISTORYA ZŁOTÉJ TABAKIERY.

Salon w Judkowcach był dość porządnie ubrany jednak bez angielskiego konfortu — krzesła mahoniowe bez sprężyn — kanapy niewygodne semetrycznie ustawione — stoliki z saską porcelaną lecz między niémi i koreckie wyroby znawca mógłby rozpoznać. — Kilka zegarów nigdy nie nakręcanych — posadzka nie wywoskowana na niéj wypłowiały dywan angielski stanowiły umeblowanie bawialnego pokoju. — Po ścianach wisiały stare obrazy, a raczéj udawały sędziwość umyślnym tła zasmoleniem, z których wydobywały się tylko nosy lub czoła, co p. Gromski nazywał Rembrantowskim światłem. Wszystkie przedstawiały uzbrojonych rycerzy, jakieś krwawe bitwy,

jeden z nich był najwięcéj ceniony przez właściciela, gdzie rycerz w żelaznéj zbroi przybywa na odsiecz obskoczonemu od nieprzyjaciół księciu, to jedne malowidło było uposażone złotemi ramami, gdyż p. Gromski upatrywał w tym rycerzu swego protoplaste Gromusa, ocalającego życie Bolesławowi księciu Czeskiemu. — Zwykle p. Porucznik mawiał, opowiadając przedmiot obrazu, że to był tylko jego domysł, lecz bardzo prawdopodobny; jeśli go więc nie mógł przedstawić za zabytek familijny, podawał mu przynajmniéj sposobność wspomnieć nie jednemu gościowi cóś o Gromusie.—P. Władysław przechadzał się wzdłuż salonu, przed każdym zwierciadłem zatrzymywał się chwilę, to poprawiał chustkę—to obciągał kamizelkę, lub obracając się na wszystkie strony uważał czy frak wpada dobrze do stanu — zdało mu się że mógł podać myśl kanowie do utworzenia nowego posągu Apolina. — Na kanapie siedziała kobieta trzydzieście kilka lat mająca, głowę ubierał piękny warkocz i pu-

kle rzęsisto spadające po twarzy — szyje okręcała lekka, przejrzysta gaza — suknia materyalna koloru *bronse anthique* spływała w grubych fałdach po dość jeszcze kształtnéj postaci — twarz ostra z surowym wyrazem ożywiona czarnémi żywo świecącémi oczyma, piękne i drobne ręce trzymały ogromny arkusz gazety w któréj całkiem zdawała się być zatopioną — była to panna Kunegunda.

Chociaż stosunki brata z siostrą nie były bez wspólnéj życzliwości, jednak tak ogromny był przedział w ich usposobieniach — w ich zamiłowaniach — tak w treści i formie byli sprzeczni z sobą iż każda rozmowa zwykle sprzeczką musiała się zakończyć — p. Kunegunda unikając często wybuchającéj burzy, poszła za zdaniem starożytnych filozofów i najczęściéj milczała — lecz milczenie najwięcéj gniewało i nudziło p. Władysława, musiała więc zrobić inną koncessyą — postanowiła ile możności zniżyć się do wyobrażeń brata i ogłosić myśli z bogatych zosobów erudycyi, ale ten stan był nader męczący dla p. Kune-

gundy i ta niewola nadawała cierpkość jéj rozmowie.

Po przejrzeniu się we wszystkich zwierciadłach, p. Porucznik zniecierpliwiony zbyt długiém milczeniem siostry rzekł.

—Porzuć Kundziu te gazety — polityka ci nie przystoi, ministrem nie będziesz — kobiety nie stworzone do rządów.

—Czyż można pleść takie paradoxa— z żywością odrzekła p. Kunegunda — przerzuć karty historyi wszystkich niemal narodów, a poznasz że rządy kobiet stanowią świetne dziejowe epoki. — Tobie się zdaje że rządzić wioską—wąchać brahę — sprzedawać zboże i wódkę, to szczyt ludzkiéj intyligencyi.

—Cha—cha—cha—głośno się rozśmiał p. Władysław, nie wiedziałem że masz pretensye do berła, jakiż to naród będzie uszczęśliwiony rządami minerwy Judkowieckiéj.

—Z tobą tylko arendarz może rozmawiać—rzekła oburzona Kunegunda—nie pojmujesz że indywidualność kobiety.....

—Kundziu! przerwał Porucznik — Kun-

dziu! dałaś mi słowo honoru że nigdy nie wspomnisz o indywidualności kobiecéj, bo wiém jak ten wyraz pociąga za sobą cały sklep filozoficznych twoich łachmanów.

—Władysławie—rzekła poważnie p. Kunegunda—Lock powiada że sposób pojmowania przez nas przedmiotu, nie tyle zawisł od jego natury, jak raczéj od stopnia rozwiniętego w nas poznania.—Nie możesz pojmować przedmiot, nie mając poznania—nie masz pierwiastku pojęcia, jak Lejbnitz nazywa *monady*. — Trzymasz się zasad materyalnego empiryzmu, że nic nie mamy moralnie w sobie, w naszym pojęciu, czegobyśmy nie nabyli przez zmysły—a nie wiész że do téj formuły dodał Kartezeusz—»oprócz samego pojęcia«.—

—Daj mi pokój Kundziu, ja nie mam żadnéj formuły — przerwał zniecierpliwiony Władysław.—Przeczuwałem że *indywidualność kobiety* jest fortpocztą całéj artyleryi filozoficznéj — składam broń, krzyczę pardon—i

choć nie pojmuję całem gardłem wołam — wygrałaś! wygrałaś! Kundziu.

P. Kunegunda rzuciła wzrok dumny i pogardliwy — a p. Władysław daléj mówił.

— Formuły filozoficzne możemy sobie zachować na samotne długie zimowe wieczory, lecz teraz pomówmy o przedmiocie który nas więcéj powinien zajmować jak filozofija — idzie tu o los człowieka którego więcéj powinnaś kochać jak twego Locka Lejbnitza i Kartezeusza.

— Chcesz zapewnie mówić o Cezarze — rzekła Kunegunda.

— Nie myśl tylko aby o twoim nieboszczyku Juliuszu Cezarze — o którym mam pełne uszy — ale o naszym Cezarku.

— Cóż znowu śmiesznego widzisz Władysławie w Juliuszu Cezarze. — Ciebie nie zdziwić — poruszyć — zelektryzować nie może, nawet na ten kolos historyczny chciałbyś jak jaki pauper rzucić gałką z błota, nie umiesz ocenić potęgę i wpływ geniuszu — chcesz, przeczytaj moie studia, a nie będziesz

lekce ważyć tego wielkiego bohatera, który czasami odradza się tylko w ludzkości — to w Karolu W. to w Napoleone — jeśli o nim często mówię Cezarkowi, czyż i w tém błądzę?

— Przecież Kundziu stanęłaś na Cezarku — łapię więc tę szczęśliwą chwilę, i muszę cię gwałtem przetrzymać w terazniejszości — otoż krótko mówiąc wiész że Cezarek ma lat 24.

— Wiém.

— Wiész o jego skłonności do panny Kornelji.

— Wiém.

— Wiész że jest dobrze przyjęty — panna mu sprzyja — stary ojciec kocha.

— To jest — przerwała Kunegunda — p. kocha — a ojciec sprzyja.

— Tak — tak — rzekł p. Władysław — już i z tego chciałabyś jakąś dyskussye zaprowadzić — nie przerywaj mnie proszę ciebie. Ród Legnickich starożytny, ich przodkowie przesiadali się wciąż w senacie z krzesła Mścisławskiego na Chełmińskie, a jeden zasiadł

i na Inowracławskim — a co infuł — co lasek marszałkowskich — co regementarzów i dworskich zaszczytów. — Słowem ród to dygnitarski, silny tradycyą i parantelą. — Gromscy choć według Dytmora szczycą się starożytnością, jednak krajowe kroniki mało co o nich wspominają, musieli być desydentami dla tego Rzeczpospolita usuwała ich od znaczniejszych urzędów, a księża i mnichy co kreślili nasze dzieje i tworzyli heroldykę, umyślnie chcąc nasz ród poniżyć zamilkli o nas. — Trzeba więc nam wynieść się przez stosunki świetne i przez bogactwa. — Mój majątek połączony z Legnickich dobrami stanowić może magnacką fortunę, i tą dźwignią dobijemy się zaszczytów i przewagi nie tylko w prowincyi ale i w narodzie — Dla tego na zamiary Cezarego chętnie zezwolę.

— Lubię każdemu oddać sprawiedliwość — rzekła panna Kunegunda — masz słuszność — lecz nie tylko że desydentów chciano upokorzyć w kartach historycznych i w ich wywodach szlacheckich, ale kronikarze nasi

trzymając się jednéj partyi, drugą upośledzali. — Tak Paprocki nienawidząc Zamojskiego poniżał jego stronników — Niesiecki wywyższał dobrodziejów KK. Jezuitów — znalazłoby się cóś powiedzieć o Okolskim — Dunczewskim — Kuropatnickim — lecz wyznać ci muszę z boleścią serca mój bracie — iż kto mię zadziwia, to Stryjkowski, sam rusin, partyzant K. Ostrogskiego — protektor desydentów — jednak ów Stryjkowski mało — a powiedzieć szczérze nic nie wspomina o Gromskich.

— Tak — tak — odrzekł p. Władysław — i chcesz abym szanował — abym wierzył waszym książkom — ale mniejsza o to — masz jeden prawdziwy talent Kundziu, zbijać z tropu mówiącego — nie rządam od ciebie uczonych uwag nad kronikarzami, ale powiedz mi tylko krótko i węzłowato — czy dzielisz moje chęci ożenienia Cezarka z panną Kornelią Legnicką.

Chcę tego z całéj duszy — przerwała z zapałem p. Kunegunda — i pierwéj o tém marzyłam niżeś ty pomyślał. — On mi od-

dawna zwierzył się ze swéj miłości, kocha ją jak Dante Beatrycze — jak Tasso Eleonorę — jak Petrark Laurę — czyż zbrodnię rozdzielenia tak świętéj, tak czystéj miłości — mogłabym przyjąć na moję duszę? ona mu jest Opatrznością naznaczona. — Juliusz Cezar miał taką żonę Kornelję.

— A więc dobrze — zacierając ręce rzekł p. Władysław — przecież choć raz twoja szczytność zetknęła się z moją, jak nazywasz poziomością — a czy on ją kocha jak Dante, czy jak Petrark wszystko mi jedno.

— O zimny ślimaku! z westchnieniem szepnęła p. Kunegunda.

P. Władysław nie dosłyszał tego wykrzyknika któryby pewno wywołał złośliwie przecinki i rzekł łagodnie.

— Czekam co chwilę p. Legnickiego z córką, bądź dla nich grzeczną — uprzejmą — nie męcz ich swoją erudycyą.

Ledwie te słowa domówił p. Porucznik, wleciał jeden sługa i krzyknął — jadą! — potém drugi z témże słowem — jadą! — później

wbiegł Cezary i zawołał drżącym głosem— już przyjechali.

—P. Porucznik wstał— wyprostował się— skręcił się parę razy przed zwierciadłem i wyszedł z siostrą do przedpokoju — tu się odbyło długie i solenne powitanie, po ukłonach i komplementach w których nie zapominał p. Porucznik wspomnieć o swéj uczciwości i nieposzlakowanéj zacności, podawszy z wdzięcznym uśmiechem rękę p. Kornelii a p. Szambelan Legnicki p. Kunegundzie, weszli razem do salonu.

P. Wojciech Legnicki miał lat przeszło siedemdziesiąt— włosy białe w górę podczesane—nos trochę orli, usta łatwo składające się do łagodnego uśmiechu — oczy choć z przyćmionym blaskiem jednak nie bez żywości—czoło wzniosłe kilką głębokiémi zmarszkami zorane—wzrost średni—ruchy pełne szlachetności i powagi, tworzyły razem postać nakazującą względy i uszanowanie— wyraz cierpienia rozlany był na twarzy, bo też p. Wojciech Legnicki nie jedną troskę

miał w życiu, nie jednéj ukochanéj osobie zamknął powieki — stracił żonę, a z kilkorga dzieci jedna mu tylko pozostała córka. — Odsunąwszy się od świata, wszystkie uczucia zamknął w jedném — wszystkie żądze, namiętności zlały się w témże uczuciu — w miłości bez granic dla córki. — Żył jéj życiem — cieszył się jéj każdym słowem, ruchem, każdą jéj piękną myślą, każdym szlachetnym uczynkiem, gasnące mu życie rozświetlała piękna gwiazdka, błyszczała jak lampa przy grobie, jak robaczek świętojański na mogile — świeciła mu pięknie — uroczo lecz smutnie, bo nie był pewnym jéj przyszłości — a ta przyszłość go trwożyła. — Przedtém nim domowe nieszczęścia sparaliżowały mu życie p. Legnicki brał czynny udział w sprawach krajowych — urodził się w r. 1770 — był świadkiem wielkich i smutnych epok narodowych — Kasztelania ojca dała mu wstęp łatwy do dworu, a stosunki familijne jeszcze łatwiéj uzyskały dla niego szambelana choć dopiero dwudziesty pierwszy rok zaczynał — należał

więc do złotéj zamkowéj młodzieży, ocierał się z najwytworniejszym ówczesnym towarzystwem — z mężami stanu — i z świecznikami narodowéj umysłowości, któremi Król Stanisław zwykł się był otaczać. — Zepsucie owéj epoki co z wersalu leciało na zamek Warszawski i oświecając niby umysły — ćmiły cnoty polskie, nie przylgnęło do serca młodego Szambelana, bo oddawien dawna był to dóm pobożny i surowych obyczajów — a oględny ojciec na postępki syna nie zważając ani na dworski urząd p. Wojciecha ani na opiekę Królewską — dał mu K. Albertrandego za przewodnika i prawie nieodstępnego stróża. — Z téj przyczyny nazywały go piękne dworskie panie Telemakiem, i nieraz sam Mentor był przedmiotem ostrych przycinków i dowcipnych żartów — mimo to jednak nie zdołały zbuntować młodzieńca i żadna Kalipso nie mogła się pochwalić miłostkami Kasztelanica. — Potrzeby kraju, wiszące nad nim niebezpieczeństwa i obowiązek bronienia go krwią własną, znagliły p. Szambelana

przemienić szamerowany złotém mundur na prostą białą sukmanę i z własnym pocztem który mu ojciec z dóbr Wołyńskich zebrał, walczył mężnie i był raniony śmiertelnie. Mimo chlubnie spędzonego życia rzadko mówił o sobie, czasem tylko przy kielichu węgrzyna rozwiązywały się mu usta, lecz najczęściéj tém kończył iż byłby szczęśliwym gdyby jego liche zasługi mogły zjednać przychylność współbraci dla jego ukochanéj córki, która lada dzień może zostać sierotą. — Tak do każdéj myśli do każdego wspomnienia, jak rosa do kwiatu, lgnęło rzewne przywiązanie do Kornelii — nie bez nadgrody był obywatelski żywot p. Legnickiego, otaczał go szacunek i ogólne poszanowanie. — Niektórzy tylko nie mogli mu wybaczyć wielkiego skąpstwa, które tamowało obręb jego wpływów, lecz wyrozumialsi kładli tę wadę na karb starości, co często widząc wieczność przed sobą, lgnie do doczesnych nabytków, które wkrótce opuścić muszą. — Wreście wszyscy wiedzieli że p. Legnicki wiele po-

święcił dla kraju i krwi i mienia, przeto tę wielką ułomność charakteru którą społeczność nigdy nie przebacza p. Szambelanowi przynajmniéj w oczy wytykaną nie była.

O pannie Kornelii nie chcielibyśmy powiedzieć że była piękna, bohaterka każdéj powieści uposażona jest tym przymiotem, czytelnik przed otwarciem książki wié że musi być piękna koniecznie, lecz lepiéj powtórzyć się z innémi niż skłamać — bo w istocie p. Kornelija była prześliczna — a wreście kiedy tyle jest kobiet pięknych na świecie, czemuż nie mogą być i w powieściach. Na pierwsze wejrzenie nie uderzała wzniosłą postawą nie zdumiewała regularnością rysów, ale raz na nią spójrzawszy trudno już było oderwać wzroku, tak harmonija jéj twarzy i ruchów, uśmiechem umilona, ożywiona wyrazem dowcipu, a rozświetlona odblaskiem jéj ducha, tworzyła istotę na którą patrząc w zachwyceniu, zadajem sobie pytanie, czy do ziemi, czy do nieba należy? — Położenie jéj w każdym żywe wzbudzało zajęcie — Młodość

w całym blasku zjednoczona z sędziwą starością, dwie sprzeczności połączone węzłem uczucia, jak sprzeczność dnia i nocy, wiosny i zimy — życia i śmierci rodzi w nas mimowolne zadumanie — tak patrząc na piękną Kornelię i sędziwego jéj ojca rozbudzało się w sercach rzewne zajęcie się niémi. — Wiotka ta roślinka jak powój tuląc do siebię pień dębu nawpół spruchniały, wieńcem swych świeżych liści umajała czoło gromami i burzą stroskane — słodycz w obcowaniu ze wszystkiémi — czułość na obce cierpienia — poświęcenie własnego szczęścia dla drugich były ozdobą serca Kornelii. — W życiu domowém poznamy ją lepiéj, a teraz wróćmy do salonu w Judkowcach.

Po sutym obiedzie wrócono do bawialnych pokojów, przybyła tylko do towarzystwa sędziwa staruszka, pękata i pleśnią pokryta butelka starego węgrzyna — rówieśnica p. Gromskiego — dwa kielichy stały napełnione złotym i wonnym nektarem i nie musiały to być pierwsze, gdyż lice p. Porucznika pokra-

śniała a oczy Szambelana nabrały żywości i blasku, który stuknąwszy w złotą tabakierę z cyfrą króla Augusta III rzekł.

Verbum nobile — oddawien dawna, nie spotkałem się z tak przewybornym kordyałem — widzę że asan dobrodziéj masz piwnicę tak zaopatrzoną jak p. Świejkowski z Kołodnego który w swym lochu samego starego węgrzyna ma do dwunastu tysięcy butelek, a stuletnich miodów beczek co niemiara — a innych napitków — wódek a wszystko od dziada — pradziada to niezliczyć. — Dziś zaś umiemy tylko wypróżniać — ale nie napełniać.

— Ja zaś mości Szambelanie — odrzekł p. Porucznik — godzę w sobie i dawne i terazniejsze zwyczaje, lubię i napełniać i wypróżniać osobliwie wszystko z pod serca by się wylało dla tak zacnego gościa którego tyle poważam i szanuję. — Uczciwi ludzie kochać się muszą — wiele ogniw nas łączy — styraliśmy zdrowie pod bronią — oddaliśmy

dług krajowi — teraz z czystém sumieniem wypoczywamy.

— Przynajmniéj o moich zasługach nie warto wspominać — przerwał Szambelan obracając w ręku złotą tabakierę. — Pełniłem powinność tak jak wielu czyniło — bo proszę asana dobrodzieja, czyż szewc może się chwalić że bóty robi — krawiec że szyje — a szlachcic że w potrzebie krew przelał dla kraju, lub za swój honor i rodaków obstaje. — Mieszczańska rzecz kupczyć — a szlachecka się poświęcać — tak przynajmniéj dawniéj bywało, a fortuna nie była nam wówczas macochą i Bóg był z nami.

— A więc niech wrócą dawne czasy! zawołał p Gromski. Oba kielichy się wypróżniły i pierwszy raz nie zadał kłamstwa swym słowom p. Porucznik, że lubił i napełniać — gdyż znowu dwa kielichy nalane stały przed niémi.

— Wrócić nie można co raz ubiegło mości Poruczniku, niech młodzi wskrzeszają dobre, a nie zapatrują się na wady ojców, bo i

dawniéj siła była złego, lecz zawsze przemagała cnota — a dziś gdzież ją znajdziesz? w ustach — na kazalnicy — w książkach — a zajrzy do serca nawet miejsce zaskrzepło gdzie dawniéj mieszkała · dla tego nie jeden w nos ci się zaśmieje, gdy powiesz — a bracie! czyż to się godzi? czyż to czynność szlachecka? czyż nie masz już cnoty? czyż się Boga nie boisz? wszystko to jedno jakbyś rzucał groch o ścianę — bo konsyderacyja dla starszych upadła — bo rodziców nie szanują — bo księżom nie wierzą — a najbardziéj że bratniéj niéma miłości — a że człowiek bez niéj jak ryba bez wody żyć nie może, zastąpiono ją, miłością siebie samego — egoizmem.

— Jakiem uczciwy — jak mój drogi honor kocham — zawołał p. Władysław — świętą prawdę mówi p. Szambelan, egoizm · — brzydki egoizm — i nic więcéj — brak nam braterskiéj miłości — zapełnijmy ten brak staropolskim wiwatem — kochajmy się.

Szambelan nic nie odpowiedział — kielichy brzękły, wychylono raźnie — i znowu

p. Porucznik je napełnił — już blade lice p. Legnickiego czerwienić się zaczęło, zmarszczki z czoła rozsuwały się zwolna — zażył tabaki i ofiarował do zażycia p. Gromskiemu.

— Arcywdzięczny jestem p. Szambelanowi, lecz korzystać z jego grzeczności nie mogę — proszę tylko o pozwolenie przypatrzenia się téj pięknéj bogatéj tabakierze — prześliczny antyczek — filgranowa robota — cena jéj musi być nie pospolita — to pewno dar królewski.

— Tak jest — odrzekł p. Legnicki. — Nieboszczyk król August III dał ją w upominku memu ojcu — wielką ma ona dla mnie cenę, nie tyle ile precioza, lecz jako fant z którym się wiążą tysiączne ojca i moje własne wspomnienia. — Dzieje dwóch naszych pokoleń jakby zamknięte w téj złotéj puszce — ten talizman nie raz nas bronił od nędzy — głodu i śmierci.

— A to rzecz ciekawa — rzekł p. Porucznik.

— A to rzecz dziwna — wierzę w taliz-

many — rzekła p. Kunegunda — i usiadła na kanapie obok Szambelana.

Kornelija i Cezary widząc się sami, po kilku zamienionych słowach zbliżyli się do towarzystwa— p. Legnicki spójrzał na córkę, jakby jéj oznajmując że potrzebuje od niéj jakiejś pieszczotki — zbliżyła się ucałowała rękę i czoło starca i tym pocałunkiem widocznie siły i życie wlała w jego piersi.

— Prosiemy p. Szambelana — rzekła p. Kunegunda — prosiemy o historyę tego talizmanu — wiąże on pewno z przeszłością — a pan jesteś w opowiadaniu naszym Nestorem, a w życiu drugim Cencynatem.

— W gronie przyjaciół miło pogawędzić — odezwał się Szambelan — a na rozkaz tylu wielkiemi przymiotami ozdobionéj damy, czyjeż usta się nie rozwiążą.

P. Kunegunda zlekka się podniosła i dygnęła a p. Legnicki popijając węgrzyna tak zaczął mówić.

— Działo się to za nieodżałowanego Króla JE. Mości Augusta III, który przy oj-

cowskich swych rządach, jak wiécie, w pokoju berło dzierżał aż do śmierci — lecz chociaż Bellone cicho drzémała, jednak krewkość nasza wewnątrz ciągle się burzyła. — Dwie partye wywróciły spokój, rozjątrzyły się one za panowania Augusta II. — Początkiem była niestety! jakaś prywata — poszło podobno o buławę wakującą po Stanisławie Rzewuskim wojewodzie Bełzkim który we wszystkich swego życia procederach, wielkość szczęścia nie mniejszą cnotą moderował. — Potocki wojewoda Kijowski miał wielką ochotę do buławy. Czartoryscy zaś starali się o nią dla swego szwagra Stanisława Poniatowskiego jenerała jazdy konnéj. — Ze śmiercią Augusta II burza przycichła, ale za następcy znowu groźnie zahuczała, mając z jednéj strony Potockich i Radziwiłłów z hetmanem Klemensem Branickim, z drugiéj Czartoryskich, Kanclerza i wojewodę Ruskiego z ich szwagrem Sta. Poniatowskim późniéj Kasztelanem Krakowskim. Opowiadał mi mój ojciec iż te spory naszych pierwszych rodzin były przyczyna

zerwania nie jednego sejmu i nie jednych krwawych rozsterek. — Z domowych zatargów przeszła burza na pole polityczne — rozdwoiły się opinie — Potoccy chcieli *statu-quo* utrzymać, Czartoryscy dążyli do reformy rzeczypospolitéj. — Rodzic mój rozumny polityk, czując potrzebę niektórych odmian dla dobra narodu, trzymał się z niémi respektem otaczała go partyja, bo miał wpływ u szlachty, zasiadał w senatorskim krześle, i kochany był od Augusta III. — Król JEMość chociaż sprzyjał Czartoryskim, lecz jako mądry Pan nie jątrzył przeciwników i grożącą burzę nieraz odwracał — mego ojca najczęściéj używał do łagodzenia zatargów i niesnasek, które mogły przywieść rokosz i zmierzać *ad offensionem majestatis.* — Król JEMość bardziéj sobie *tranquillitatem publicam* zamierzył i nie używał rycerskiéj rezolucyi, dobrocią wszystko łagodził, a gdy przyszło kogo ukarać, wołał mego rodzica i lamentując nad postępkiem, nie gniew ale łzy w oczach mu błyszczały. — Jakże takiego Pana nie kochać — ojciec mój

tysiączne też z szczérego serca oddawał mu usługi, z poświęceniem nawet własnéj osoby służył temu dobremu Panu, raz mu Król JEMość rzekł w ten sens.

—Cóż ci uczynić mogę Kasztelanie— twoje zasługi dla kraju mogą być wynadgrodzone konsyderacyą — dostojeństwem—honorami—lecz chciałbym zawdzięczyć twą przychylność dla mnie —Nim ta fortunna sposobność dla mnie się wydarzy, przyjm ode mnie tę pamiątkę do któréj wielką przywiązuję wagę— niech ci przypomina króla, który cię konsyderuje i człowieka który cię szczérze kocha— przyjm tę moją własną tabakierę, niech ona będzie ci talizman m szczęścia.—Rodzic mój ucałował rękę królewską—przyjął prezent z wdzięcznością i coraz był stalszym w wierności dla swego Pana.

—A to drugi Marek Aureliusz!—krzyknęła p. Kunegunda.

—A to zacny Monarcha! — zawołał p. Gromski—wypijmy—cześć wieczna jego pamięci!

Wypróżniono kielichy — a p. Szambelan daléj mówił.

— Partyje o których wyżéj nadmieniłem żarły się potajemnie — ale następna okoliczność znana wam zapewne z historyi wywołała groźną demonstracyę strón obu. — Nie będę więc wam prawił jak K. Teodor Lubomirski starosta Spiski pierwszy wprowadziwszy kuse ubranie, stargawszy surowe obyczaje ojców — żył jak libertyn — i owocem związku z jakąś tam mieszczanką był syn i córka. — Adam Tarło mając lat do trzydziestu a już wojewda Lubelski, gorzał afektem do owéj ubocznéj córki Lubomirskiego, pięknéj Anusi. — Na fecie u p. Marszałka W. Kor: Franciszka Bielińskiego, dumna córka p. Stanisławowéj Poniatowskiéj wówczas woiewodziny Mazowieckiéj zrobiła afront Tarle, nie chciała z nim pójść w taniec odsyłając go do mieszczki Anusi · afront był oddany za afront — p. wojewodzina Mazowiecka zrobiła aform, nasłała syna Kazimiérza i po gorących interpelacyjach wyzwali się na pojedynek. — Ten wypadek

z początku prywatny stał się w końcu publicznym. Dwie partyje o których wprzód wspominałem stanęły *pro et contra* i zakrawało cóś na domową wojnę. — Krótko mówiąc p. Kazimerz Poniatowski strzelał się a potem bił się na szpady z p. Adamem Tarło i tak fata chciały że go na miejscu ubił. — Mój ojciec będąc przyjacielem Czartoryskich trzymał stronę p. Kazimierza i bolał że krew rozlana nie tylko nie zakończyła spory — ale wywołała paszkwile — plotki *infamje* — i sto pojedynków z téj okoliczności odbyło się między szlachtą — P. Mikołaj Potocki starosta Kaniowski butny i impetyk, broniąc Tarłe przemówił się z moim ojcem, który mu rozumnie i dowcipnie się odciął — krew mu z oczów ledwo nie trysnęła i dobywszy pistolet który zwykle nosił jak zbój jaki przy sobie, strzelił do mego ojca o pięć kroków — zabiłby go na miejscu, gdyby łaską Bożą nie ten szczęśliwy talizman, nie ta tabakiera która pod kulą się tylko ugięła i uratowała życie drogiemu memu ojcu. — Za taki zbójecki napad,

poczęstował go mój rodzic czekanem — bo wart był tego.

– A to rzecz dziwna! krzyknął p. Porucznik.

– Nie wytłumaczone objawy woli Bożéj — rzekła p Kunegunda — bez indywidualnego udziału i samoznania wpływają często na życie człowieka.

P. Gromski przestraszony wyrazem *indywidualność* śpiesznie przerwał siostrze i rzekł.

Panie Szambelanie — poświęćmy jeden kielich pamięci p. Kasztelana, twego zacnego rodzica, kochanego od Boga — Króla i braci.

Wypróżniły się kielichy — a p. Legnicki daléj mówił.

— Benevolentia królewska nie tylko na ojca ale i na syna z tą tabakierą się zlała — po śmierci mego rodzica ta droga pamiątka przeszła do mnie i zawsze ją przy sobie nosiłem. — Wiadomo asańtwu dobrodziejstwu że bywałem nie w jednéj potrzebie — jeśli nie liczbą to męztwem przemagaliśmy nieprzyjaciół, wpadło się nieraz w zasadzkę, ale

Bóg zawsze obronił, czasem człowiek się za awanturował nacierając impetycznie, ale jakoś zawsze wyszedł na sucho. — Pewnego razu ujrzeliśmy pod lasem oddział Dońców, wezwano na ochotnika aby ich odstraszyć i przepędzić z dogodnéj nam pozycii — stanąłem i ja — wezwawszy Matkę Boską do któréj miałem zawsze szczególniejsze nabożeństwo, bo jestem sodalis Marianus — poleciałem z innymi — biliśmy się nie ładajako — już kilka trupem położyliśmy, aż tu z lasu ozwą się wrzaski i piski — i ćma Dońców wysunęło się na nas — każdy miał walczyć zdziesiątkiem. Puściłem młynka — krzesałem ogień z czerepów, ale *nec Herkules contra plures*, zabrano naszych kilku w niewolę. reszta poszła w rozsypkę. — Broniłem się w odwrócie jak mogłem, a gdym jednego rozpłatał, drugi palnął mię w bok aż mi w oczach pożółkło — i Dońcowi i mnie z początku się zdało że na wskróś zostałem przebity, ale było to skutkiem impetycznego uderzenia, które byłoby śmiertelne. gdyby ostrze

nie oparło się o tę tabakierę którą miałem w zanadrzu czamary — w jednéj chwili przyszedłem do przytomności, ciałem brodacza i zrejterowałem się do swoich. — Tak ten szczęśliwy talizman ochronił mię od niezawodnéj śmierci. — Późniéj gdym był oddalony przestrzenią kilka set mil od krewnych — przyjaciół, którzy nie mogli wiedzieć gdzie się znajduję i pomocą swoją potrzebom moim zaradzić, ta tabakiera była moją karmicielką — zastawiona u jakiegoś poczciwego kupca żywiła mię przez rok cały.

— A to nie jest przypadkowość przypadkowości, to cóś nadzwyczajnego — cudownego — rzekła p. Kunegunda.

— Cokolwiek to jest — przerwał p. Władysław — wnoszę kielich — wiwat tabakiera! i jéj przezacny właściciel! —

Spełniono kielichy wśród serdecznych oświadczeń przyjaźni — p. Porucznik miał już twarz purpurową, a p. Szambelanowi oczy się kleiły — p. Kornelija widząc stan rozmarzony ojca, chociaż uczucie dla Cezarego

wstrzymywało ją na miejscu, jednak powstała i znagliła ojca do wyjazdu — a że była piękna pora, Cezary wierzchowo odprowadził ich do domu.

Po wyjechaniu gości rzekł p. Porucznik do siostry.

— Jak moją uczciwość kocham, przyjemny to staruszek — ma swoje zasługi w kraju — mój węgrzyn rozwiązał mu usta, mówił przecie cóś o sobie, co mu się rzadko wydarza.

— Uczynił to na moją prośbę — przerwała p. Kunegunda — dworskość — uprzejmość dla dam, wywołały jego zajmujące opowiadanie.

— Mylisz się Kundziu — nie stara panna, ale stare wino rozweseliło Szambelana.

— Tyś piany Władysławie.

— Czy trzeźwy — czy piany Kundziu zawsze prawdę znajdę dla ciebie.

— To jest p. Porucznik zawsze znajdzie grubiaństwo.

— Chcesz się kłócić Kundziu — a ja jestem w dobrym humorze. — Otoż wracam do

p. Szambelana — ród senatorski, stosunki z najpierwszemi rodzinami w kraju — staruszek musi mieć wielkie kapitały i piękny kawał ziemi — a chociaż poczciwiec znany jest ze swego skąpstwa, słyszałaś Kundziu jak piorunuje przeciw egoistom — miliony może leżą w kufrach a ten filantrop nikomu z nich grosza nie udzieli. — Prawdę powiedziawszy dobrze robi — wszystko to się Kornelii dostanie, i przejdzie kiedyś w imie Gromskich — wiész Kundziu żem się zupełnie zdecydował na związek Cezarego z Kornelija — i to się wszystko odbędzie prędko — po żołniersku.

— Bądź spokojny ja to wszystko ułożę — rzekła p. Kunegunda.

— Tylko bez wielkich korowodów mościa panno.

— Nie mieszaj się bracie bo jakieś głupstwo spłatasz.

— Ty go na każdym kroku czynisz a przecież jestem cierpliwy.

— Jesteś tylko bracie zarozumiały i uparty.

—A ty Kundziu masz wszystkie przywary staréj panny.

—Nie umiem z pianemi rozmawiać— rzekła z gniewem p. Kunegunda — stuknęła drzwiami i wyszła.

—P. Władysław okręciwszy się kilka razy przy lustrze, udał się na spoczynek do swego pokoju.

WYJAŚNIONY POSAG P. KORNELII.

Pan Cezary Gromski odprowadziwszy p. Legnickiego z córką do ich wioski Lewaldowa, zabawiwszy chwilkę chciał odjechać — lecz dészcz ulewny się puścił, ciemnieć się zaczynało — gościnność gospodarza zatrzymała go na noc. — Nazajutrz cały dzień jeszcze Cezary bawił w domu p. Legnickiego i dzień ten może był najszczęśliwszym w życiu młodzieńca. — Oddawna pewnym był wzajemnéj miłości Kornelii — każde wejrzenie — każdy ruch, a nieraz i słówko życzliwe upromienione żywym rumieńcem, upewniały go o jéj uczuciu — mimo to jednak zadrżało mu serce niepewnością, gdy ją zapytał w obec ojca, czy staranie jego będzie przyjęte, czy szczére

jego uczucia uświęcone zostaną imieniem męża i syna. — Nim usłyszał z ust Kornelii przyjaźne słowo już go wprzódy w jéj oczach wyczytał — lecz jakąż radością biło mu serce, gdy p. Legnicki odezwał się w te słowa.

— Gdybym cię mości Cezarze nie miał za uczciwego człowieka, gdybym nie przekonał sie o twéj zacności i szczérym afekcie dla mojéj córki, nie pozwoliłbym ci się nawet zbliżyć do niéj — strzegłem mój skarb jedyny od największego niebezpieczeństwa — to jest od towarzystwa zepsutych ludzi — prosiłem Boga o przedłużenie mi życia, póki jedyne dobro moje nie złożę w opiekę zacnego człowieka. — Cezary rzucił się do nóg p. Legnickiego, który go podnosząc dodał

— Idzie tylko jeszcze o zezwolenie ojca asana.

— Oddawna ten związek był jedyném życzeniem mego ojca — wiém że najradośniejszą nowinę mu przywiozę, ciotka moja będzie uszczęśliwiona.

— O ciotce nie wątpię — ale z ojcem asana

mam *optima rationem* sądzić, że nie we wszystkiém zgodzić się nam przyjdzie. — Nim się więc z sobą porozumiemy — błogosławieństwo moje do téj pory zawieszam.

Cezary i Kornelija ucałowali rękę starca — którego oczy nie błysły ogniem życia — ni radością — ale zajaśniały jakąś łzą rzewności.

Co się działo w oczach kochanków czyż się da wysłowić — czyż mam powtórzyć ich myśli? czyż ich słowa od wszystkich będą pojęte? chociaż tak proste jednak cały świat uczuć w sobie mieszczące. — Przy coraz stygnącym sercu społeczności rozmowa naszych kochanków wydałaby się wielu naszym czytelnikom jeśli nie śmieszna to pewno nudna. — Oddawna uczucie w nas marznie, pojmujemy najgłębsze — najsubtelniejsze myśli, zadziwia nas każdy spogląd śmiały lub nowy — lecz prostota — rzewność mdłemi nam się wydają, a silne uczucia najczęściéj bierzemy za przesadę — jak niegdyś duch rycerski dobywszy miecza w obronie uciśnionych, pięknie ożywił średnie wieki — w końcu obnażony z uroku

i z całéj poezyi, nagi szkielet Donkiszotowski wydał światu na pośmiewisko — tak dziś gdy czasami błyśnie gdzieś miłość prawdziwa — uszlachetniona poświęceniem, lub uświęcona męczeństwem, służy tylko za urągowisko — za chorobę umysłu — ochrzczoną wyrazem egzaltacyi — lub sentymentalności. — Ludzie z wyziębłym sercem mówią — że ojcowie nasi nie znali miłości a jednak byli poczciwi i skłonni do poświęceń — niezawodnie że moralnie byli oni wyżsi od nas — lecz te wyższe stanowisko nadawała im miłość. — Objawiała się tylko w innéj formie — nie rozrzadniała się w słowach — nie dzieliła się na teoryję — była w sercu nie w głowie — i wcielała się w życie — a jedyną jéj teoryją był katechizm. — Cóż rodziło te przykładne małżeństwa co po kilkudziesięcu latach szczęśliwego pożycia, więcéj okazywali dla siebie szacunku i miłości, niż dziś modne stadła w miodowych miesiącach? cóż tworzyło ten węzeł braterski między szlachtą? cóż obmurowało kraj nasz w gmachy zakładów dobroczynnych — w szpi-

tale — klasztory? cóż jeśli nie miłość. — Kto odmawia tego uczucia naszym ojcom — ten nie zna życia rodzinnego — obywatelskiego i publicznego naszych przodków, których jedynym szlacheckim godłem było — poświęcenie — to jest urzeczywistnienie miłości w czynie. — Wierzcie mi, kochali oni silniéj od nas i rodzinę i braci i kraj cały.

Miłość Cezarego i Kornelii, zważając na dzisiejszą epokę, była szczegółowym wyjątkiem — nie chwiały ją burze serca — ciągłe niepokoje i namiętne żądze — była to miłość cicha, pełna pokoju i słodyczy — rozlewająca się na wszystkich kochanych i jakby na czystém zwierciadle wody, nie tylko piękna przyroda ale i całe niebo w niéj się odbijało — za każdą chwilę szczęścia dziękowali Bogu i im ściśléj węzeł uczuć ich jednoczył, tém w coraz wyższe sfery duch się ich unosił.

Po dniu szczęścia w którym ich miłość zezwoleniem p. Legnickiego była stwierdzona — wyjechał Cezary paść do nóg ojca i prosić aby raczył sam przybyć do p. Szam-

belana i podziękował mu za szczęście którym syna obdarzył.

P. Legnicki ze starym Maciejem jedynym sługą w całym domu, poszedł się krzątać i przysposabiać na przyjęcie gościa, a gdy Kornelija chciała go wyręczyć w zatrudnieniach rzekł jéj.

—Teraz ci nie do gospodarstwa mój aniele — idź lepiéj a uklęknij przed naszym starym obrazem Matki Boskiéj Częstochowskiéj i wymódl sobie to szczęście które ani człowiek, ani twój ojciec dać ci nie może, bo Ona tylko zdroje łaski i cudów dzierży w swym ręku — a gdyby boleść jaka zraniła twe dobre serce, poświęć Jéj z pokorą łzy twoje jak Ona siedem boleśnych swych mieczów poświęciła Bogu.

Ucałowawszy córkę, łza stoczyła się po bladém licu starca — Kornelija uścisnęła jego rękę i biegła przed obraz Matki Boskiéj, bo czuła w sobie potrzebę modlitwy — i mimo szczęścia jakaś trwoga pierwszy raz wzruszyła jéj serce.

Do nocy krzątał się p. Legnicki z Maciejem, ścierali prochy — czyścili sprzęty — zajęcia takowe zrodzić tylko mogło, albo dziwaczne skąpstwo, lub wielke ubóstwo. — A gdy noc przyszła, poczyściwszy suknie, naprawiwszy je nie w jedném miejscu, obaj na klucz zamknęli się w sypialnym pokoju i prawie do białego dnia przegawędzili. — Stary Maciej nie był prostym, płatnym dzisiejszym sługą — Dziad jego poświęcał swe usługi dziadowi Szambelana — ojciec był dworzaninem Kasztelana — a Maciej oddawany do szkół, wzrastał i kształcił się z paniczem, nie odstępował go późniéj i w Warszawie i na placu bojów — całe jego życie biegło témże samém korytem co i Szambelana — szczęście i niedola wspólnie ich zawsze dotykały — myśli ich zatrzymywały się w przeszłości na tych że samych wspomnieniach — w terazniejszości też same troski i sędziwość wieku kojarzyły ich serca jakby węzłem rodzinnym. — Mimo różnicy towarzyskiego położenia, mimo najżywszych oznak uszanowania któremi Maciej

otaczał swego pana ogromny przedział między sługą a panem, wiązało silne uczucie przywiązania — nie wstydźmy się je nazwać — przyjaźnią. — Dziś podobne ogniwo staje się dla nas prawie niepojętém — bo dziś inni są panowie i inni słudzy — od pokolenia do pokolenia wzrastali oni przy dworach, otaczała ich opieka pańska, która nie żałując im chleba, żywiła ich ducha - - kształciła serca, zasiewała zasady wiary — strzegła ich obyczaje. — Uboższa szlachta z radością oddawała dzieci do dworów bo była pewna moralnéj i materyalnéj nad niémi opieki — ztąd inny charakter i inne stanowisko było sługi. — Dziś odtrąceni — zostawieni sobie — pogardliwie traktowani — bez żadnego przewodnictwa, szukając chleba, sprzedają się jak niewolnicy kaprysom pana, służą dla własnego tylko zarobku, bo dziś ich nic z panem nie wiąże — pieniądz jest jedyném ogniwem. — Nie wątpliwie iż nie mamy dziś sług dobrych, ale brak ich pochodzi że Panowie odmówili im

swéj opieki, odtrącili wzgardliwie od siebie — zapomnieli o uboższych braciach.

Maciej kochał Szambelana jak ojca, a p Legnicki go jak brata — był powiernikiem wszystkich trosk jego i nie dziw że zamknięci w téj chwili większą północy poświęcili ważnéj jakiejś naradzie. — Nazajutrz dopiéro około dziesiątéj godziny wyszedł pan Szambelan ze swego pokoju — przystojnie ubrany, chociaż miał wstęgę Ś-go Stanisława nigdy ją nie nosił, przypisywano to jego skąpstwu, tylko krzyż wojskowy ożywiał jego czarne ubranie. — Mimo starannego przystrojenia się, które zwykle odmładza, twarz p. Legnickiego była zmieniona, zdała się że o dziesięć lat postarzał, mało z córką rozmawiał, jakby nawet unikał jéj spójrzenia, lecz za to wynadgrodzona była sowicie nie jednym serdecznym pocałunkiem.

Wiadomość o oświadczeniu się p. Cezarego wielki ruch sprawiła w Judkowieckim domu. — P Kunegunda jednym tchem wyłożyła Cezaremu cały traktat psychologii, lecz

była szczęściem pomieszana, do serca bijącego radością przycisnęła głowę wychowańca i bez przesady z prawdziwym uczuciem po sto razy go błogosławiła — p. Porucznik był kontent i każdemu przychodzącemu po rozkazy oznajmił, iż syn jego jedyny sukcessor żeni się z jedynaczką córką magnata, Szambelana, kawalera gwiazdy Ś. Stanisława. — Chustkę miał związaną w fantaź mający przedstawiać kupidyna, dwa końce w górę podniesione, które aż za brodę sięgały, oznaczały skrzydła bożka miłości, a szpilka ze złotą kotwicą, z brylantowym serduszkiem stanowiły emblemat dnia tak ważnego dla ojcowskiego serca. — Między innémi przyszedł z powinszowaniem i Moszko arendarz, życząc p. Cezaremu dużo pieniędzów i wiele dzieciów — poczém p. Porucznik wezwał go do swego pokoju na konferencyje.

— Cóż ty na to Moszku — rzekł p. Gromski.

— Winszować JW. Pana i nic więcéj — odpowiedział Moszko przychylając się do stóp pańskich.

—Na moją uczciwość! dobra partya p. Moszku, familiant — magnat — orderowy — bogacz.

—Winszować JW. Panu — ale.... i poskrobał się w głowę.

—Jakież tam do licha ale — mów śmiało, nikogo tu niema.

—Że on tontny jak Halperyn to pewno — bo to on stoi jak dąb co go żadna siekiera nie podetnie — ale JW. Panu nie łatwo będzie przystąpić do jego kassy — on ją tak pilnuje jak oko w głowie — a kocha lepiéj jak własne dziecko.

—Mnie jego pieniądze nie potrzebne p. Moszku — ale p. Kornelii dać musi — wiele worków mu wypróżnię.

—To prawda że JW. Pan sprytny do interesów i lepiéj obliczy jak największy bankierz — ale u JW. Panów to ten honor przeszkadza się targować o posag — JW. p. wié że w spekulacyach i interesach honoru mieć nie można.

—Djabeł wié co pleciesz Moszku — żydowskie masz maksymy.

—Dobrze JW. Panu z niemi się dzieje — bo JW. P. ma lepszy rozum jak największy nasz rabin — to mnie się uczyć handlu od JW. Pana — zrobisz JW. P. z tym starym co zechcesz.

—I ja tak sądzę p. Moszku.

—A ja nastręczę p. Cezaremu kilka wsi, z pytlami, moje jałówki teraz tam chodzą na stepie — rarytny majątek — trzy karczmy murowane na trakcie — gorzelnia — browar.

—Zobaczymy — zobaczymy — p. Moszku.

—Niech JW. Pan da mi słowo że ja tam będę miał arendę.

—Dobrze — dobrze — pomówiemy o tém jak wrócę od Szambelana.

Spieszno było p. Gromskiemu — kazał zaprzęgać konie bo myśl obudzona przez Moszka o skąpstwie Szambelana zaczęła go coraz bardziéj niepokoić. — Snuło się mu po głowie kupno kilka wsi dla Cezarego — domyślał się p. Porucznik jakie dobra stręczył

mu Moszko, chciał się wykręcić od jego faktorstwa, po swoim powrocie zamyślał zaraz posłać po mapy i inwentarze i bez niego cały interes prędko ukończyć — obliczał posag Kornelii i worki wygnali myśl o dygnitarzach, o przodkach Szambelana — o skolegaceniu i zasługach Legnickich, potężne tylko kufry stały mu przed oczyma rodząc niecierpliwość i niepokój wewnętrzny.

P. Cezarego trapiła również niespokojność, zwłaszcza gdy ojciec zabronił mu jechać z sobą, napomknąwszy iż jak oględny ojciec musi wprzódy pomówić otwarcie z p. Szambelanem, o dalszym losie dzieci — z obu stron zapewniając stosowne utrzymanie pozycii socialnéj — próżne były prośby Cezarego, darmo p. Kunegunda bombardowała erudycią — strzelała ostremi przemówkami — nic nie pomogło i ciotka i wychowaniec musieli pozostać w domu — sam więc p. Porucznik z tuzinem komplementów do podbicia serca Szambelana, z argumentami do otworzenia jego kufrów poszóstnym cugiem

wyjechał z Judkowiec. — Trzykrotne trzaśnienie z bicza oznajmiło mieszkańcom Lewaldowa o przybyciu p. Porucznika Władysława Gromskiego. — Odwiedziny miały charakter oficialny, oznaką jéj była nowa liberyja — herbowe guziki — sztywność Porucznika — kokarda w kształcie kupidyna i długi komplement, który tak był nadziany pochwałami własnéj uczciwości i nieposzlakowanéj zacności iż zdawało się, że po tym panegiriku, powinien był p. Porucznik sam sobie się ukłonić — panna Kornelija wciąż się rumieniła — a p. Szambelan się uśmiechał, ale ten uśmiech nie mógł spędzić jakiejś wielkiéj troski co siedziała mu na czole — po krótkiéj chwili pocieszycielka smutków, sędziwa butelka węgrzyna krzepiąc siły staruszka, dodała mu trochę energii, a myśl popchnięta przez p. Gromskiego w przyszłość, dała wątek rozmowie.

— My starzy — starych zwyczajów trzymać się powinniśmy — rzekł p. Gromski — gdy wesele mamy w sercu niech z nami cały świat się cieszy — gdy panowie hulają, niech mot-

łoch podziwia — gdy dwa rody świetne się łączą, niech cały kraj wié o tém.

— Tak bywało — odrzekł p. Szambelan — ale to nie te czasy — dziś nikt nie jest ani w możności dawać tak huczne festyny — ani nawet powtórzyć je można gdyby była i ochota.

— Czemu nie — przerwał p. Porucznik — gdy Bóg dał szczęście w domu, a pieniądze w workach, przypomnimy światu dawne czasy.

— Zkontrfektować je trudno — napatrzyłem się w mém życiu na paradne festyny — nasłuchałem się też od mego ojca — to prawdziwe dziwy — opowiem ci p. Poruczniku o jednem całą gębą pańskiém weselu, mój ojciec jeszcze wówczas był dzieckiem, ale nasłuchawszy się później od starych często o nim wspominał. — *) Odbywało się to wesele we Lwowie 30 Julii 1724 r. z JW. Stanisławem Denhoffem wojewodą Połockim hetmanem Pol. WKL. a JW. Panną Zofiją Sie-

*) Według notat Balasty. —

niawską kasztelanką Krakowską hetmanową W. Kor. Nic wspomnę o wjeździe strón obu z jakim się odbył splendorem — Niezliczony tłum gości zjechał się do zamku — dwie bramy tryumfalne na 50 łok. wysokie wiodły do zamku ozdobione różnemi ornamentami — herbami — geniuszami miłości i pokoju — a wszystko z inskrypcijami przewybornemi — od tych bram wystawiono umyślnie amfiteatrum o dziesięciu arkadach z gankiem, żeby goście rekognoskować mogli fajerwerki — dziedziniec cały suknem czerwonym wybito - - ozdobiono go trzydziesto kolumnami na których świeciły herby zkolegaconych domów, wszystkie suto lampami z różnych farb ubrane. — Od zamku z lewéj strony stała infanteryja, z prawéj Dragonija z janczarską muzyką — w samym zamku przed górnemi pokojami umieszczono pięćdziesiąt grenadjerów z oficerami, którzy wartę na schodach trzymali. — Z południa zaczęły damy zjeżdżać się do zamku, a gdy się *numerissima* zacnych gości zjechała *frequencyja* — JW. Wojewoda Połocki narze-

czony ruszył z swego mieszkania pięknym porządkiem przez przedmieście -- miasto i rynek — przed bramą miejska kalwakata przyjęta została odgłosem trąb i kotłów z wieży ratuszowéj — liczna assystencyja do 2000 koni ciągnęła daléj — trwał ten wjazd przez trzy godziny, jechali JW. Panowie Senatorowie i Ruski wojewoda, a zanimi sam JW. W-da Połocki na siwym koniu tureckim tysiąc czerwonych złotych *valoru* mającym, w bogatéj delii, a zanim trzydziestu sześciu pokojowéj szlachty w kontuszach ponsowych, srebrem haftowanych i żupanach błękitnych, dwunastu paziów po turecku w aksamitną barwę od srebra i złota rzęsisto przebranych przy koniach idących i tym szykiem do zamku wjechali. — JW. Pani Krakowska z damami przez czas wjazdu z galeryi przypatrująca się, gdy z konia zsiadał W da Połocki uprzejmie go powitała — infanteryja, potem dragonija a nakońcu artyleryja ze 24 harmat salve wydali. Po powitaniu JW. Pannę Krakowską, W-da Krakowski zaczął oracyę — potém W-da Ruski

wywodząc domu *et merita* onych *in Rempublicam* — po zakończeniu ruszono z dolnych do górnych pokojów — przy rezonancyi muzyki, zasiedli do stołów między cytrynowemi i pomaranczowemi drzewami — i wnet cały zamek tysiącami świateł zapłonął — JW. Pan Krakowski dla słabych sił pozostał na dole, ale pierwszy wnosił wiwaty — najprzód Króla — potém rzeczypospolitéj — następnie państwa młodych — daléj K. Prymasa i tak *consequenter* — za każdym wiwatem dragonia ze strzelby dawała ognia, a artyleryja z harmat odpowiadała — trzy muzyki przez cały czas rozweselało gości. Wypuszczona raca dała hasło fajerwerkom — z amfiteatru im się przypatrywano — reprezentacyje były sztuczne, wspaniałe — poczém rozpoczęto tańce. — Przetańczywszy JW. Wojewoda Połocki z panią matką i z JW. Panną Krakowską, została panna młoda odprowadzona przez ojca do przygotowanych dla niéj pokojów. — Kilka dni trwały podobne festyny, a 3-go Augusta p. Wojewoda Połocki zapraszał już wszystkich do

siebie na kolacyą. — Całe miasto gorzało od jarzących pochodni, latarni — lamp i palących się kolumn. — Gdy tak z nocy dzień uczyniono JW. W-da Połocki konno w ludnéj assystencyi, a JW. Wojewodzina małżonka z matką panią Krakowską w bogatéj karecie, cudnemi końmi, w szory aksamitne karmazynowe z złotemi frendzlami przybranemi, z sześcią lokajami idącemi z pochodniami, z paziami przed karetą w ponsowych złotem szemerownych sukniach z piórami przy kapeluszach — z pachołkami w srebro na podziw przebranemi przy assystencyi infanteryi i dragonii, przed pałac dostojnego męża zajechała gdzie artyleryja przy Bernadynach stojąca dwa razy wydała *salve*. — Wszedłszy do pałacu już stoły z osobliwszą inwencyją zastawione były potrawami — cukrami — zamorskiemi konfektami, w trzech pokojach czekały na gości, a wszystkie w kształt herbu JW. Pana Krakowskiego ułożone. — Tu OO. Jezuici oddali panegiryk przez oratora kolegium ułożony. — Poczém zasiedli do stołów obok p.

Krakowskiéj — wojewodzina Bełzka i marszałkowa Kor. obok wojewodziny Połockiéj K. Arcybiskap K. Nominat Chełmski i damy. — Tylko co zaczęła się kolacyja P. W-da Połocki przy odgłosie dział wielkim puharem wypił zdrowie Króla JEEMości, na które hasło ze czterech rogów pałacu rynnami ze srebrnéj blachy na ulicę wychodzącemi, lało się potokami węgierskie przewyborne wino, a konkurs różnego ludu z dzbanami, wiadrami — konwami ubiegał się na wyścigi — P. W-da Połocki obchodząc stoły wszystkim ochoty dodawał — hulano noc całą. — Miasto oświecone, przybrane w chorągwie — proporce — tryumfalne bramy a wszystkie z połączonemi herbami Leliwy i Szreniawy — wojsko — szlachta — lud — mieszczanie — wszyscy byli w ruchu. — Ruś cała była jednym festynem — to p. Poruczniku monarchiczne wesele. — A gdy człowiek na nie i napatrzył się w życiu i siła od naocznych świadków nasłuchał — czyż chce mu się przepychem zadziwić? a wreście nie te czasy p. Poruczniku.

P. Gromski lubił słuchać p. Szambelana, bo nieraz przed szlachtą powtarzał opowiadania p. Legnickiego, mówiąc iż to są tradycye jego ojca p. Stolnika, lecz tą razą niecierpliwił się — chrząkał — wzdychał — bo chciał jak najspieszniéj przystąpić do interesu, a zdało mu się że p. Szambelan unika kwestyi, która stanowiła cel jego przybycia. — Po kilku skokach nie mogąc p. Gromski zwrócić rozmowę na drogę wytkniętą — nabrawszy odwagi zniecierpliwiony rzekł.

— Mości Szambelanie — uczciwych i honor kochających ludzi, otwartość jest właściwą cechą — wynurzywszy raz jeszcze najszczersze podziękowanie za łaskawe przyjęcie uczuć mego syna — jako ojciec ciesząc się ich terazniejszością a niepokojąc się o przyszłość, chciałbym pomówić z p. Szambelanem otwarcie, o zapewnieniu przyzwoitego utrzymania się nadal naszym dzieciom.

— P. Szambelan widocznie pobladł — odchrząknął i nic nie odpowiedział. — P. Porucznik po chwili milczenia daléj mówił.

—Mój syn jak i córka p. Szambelana są jedynemi naszemi sukcessorami — lecz obowiązkiem jest naszym za życia pewny im udział z majątku uczynić — ja tymczasem Cezaremu oddaję dwie wsie na poberezu. — Pan Szambelan mając większą część majątku w kapitałach, będąc bogatszym odemnie, zapewne zechcesz z summ swoich córce tak kochanéj cóś udzielić.

P. Szambelan gorzko się uśmiechnął i rzekł.

—Gdzież te moje kapitały? szczerze p. Porucznikowi oświadczam że ich nie mam.

P. Gromski pewnym będąc iż skąpiec chce się tém wyznaniem zabespieczyć, aby wielkiego udziału po nim nie wymagano — rzekł.

—Nie sądź p. Szambelanie, aby moje wymagania były zbyteczne — rozumiem że najzacniejszy — najpoczciwszy człowiek może mieć małe przywary wszyscyśmy ludźmi! — otwarcie więc powiem, iż wiém że P. Szambelan nie lubi nie tylko rozdzielać, ale nikomu

nawet nie chce powierzać swych kapitałów — każdy ma swoją metodę w robieniu majątku — lecz w tak ważnym razie, choć część ich ruszyć potrzeba — dla dziecka czegoż każdy z nas ojców nie poświęci.

— Wszystko! p. Poruczniku — wszystko ja poświęciłem i poświęcę — prawie ze łzami w oczach wykrzyknął Szambelan.

Rozpromieniło się oblicze p. Gromskiego — serce mu uderzyło radośnie, tak ten entuziazm Szambelana ożywił nadzieję — zamyślił korzystać z dobrych usposobień i przymróżywszy jedne oko, które się zawsze mu sklejało mimowolnie w trudnych interesach — rzekł łagodnie.

— Nigdym nie wątpił żeś p. najlepszym ojcem — ale nie dość na tém — że p. Szambelan wszystko po najdłuższém życiu swemu dziecku zostawi — lecz dziś trzeba jéj los zabespieczyć i chociaż ja daję dwie wioski, nie chcę wymaganiami go utrudzać, prosiłbym o wydzielenie tymczasowie choć połowę war-

tości onych — to jest cztérykroć — stotysięcy złotych.

— Nie mam.

— A więc połowę.

— Nie mam.

— To się niegodzi p. Szambelanie.

— Wierz mi p. Poruczniku — ja nic nie mam jestem u wrót ubóstwa i nędzy.

P. Gromski pobladł — konwulsyjnie drzała jedna powieka, lecz jeszcze nie dowierzając Szambelanowi rzekł.

— P. Szambelanie ręczysz mi to słowem żołnierskiém słowem honoru.

— Klnę ci się p. Poruczniku na szczęście méj córki, iż jestem w ubóstwie.

P. Legnicki dostał z kufra rejestr swych długów równający się szacunkowi Lewaldowa — Porucznik przejrzał — zrachował i rzekł z oburzeniem.

— A to się niegodzi — p. Szambelanie.

— P. Poruczniku, nic niegodnego w mém życiu nie zrobiłem.

— Aleś p. zwodził całą publiczność — to czynność nie obywatelska — to podstęp.

— Nigdym nie kłamał — ozwał się silniejszym głosem p. Szambelan. — Jeśli wypadkiem o którym nie wspomnę asanu, straciłem majątek, na którym od wieków żadna cudza krzywda, żadna łza nie ciężyła, jeśli Bóg na starość kazał mi dźwigać krzyż ciężki — jeśli żaden wyrzut sumienia nie cięży na méj duszy — nie pozwolę mości poruczniku, aby mojéj krwawéj rany dotknęła się obca ręka.

— Ale p. Szambelanie — mnie i megoś syna oszukał.

— Milcz p. Poruczniku i nie chciéj aby stary szlachcic przestąpił prawa gościnności — bo jeśli cię szanuję to tylko jako gościa, przestąpisz próg mój — i wszysko między nami zerwane.

— Najsłuszniéj - - bo na małżeństwo mego syna z ubogą panną nigdy nie zezwolę — cóż mi po tytule gdy niema nic w szkatule.

— Zachowaj dla siebie mości Poruczniku te kupieckie maksymy, które splugawiły wszyst-

ko co naród kiedyś czcił i szanował — które zrodziły pokolenie co za garść złota poświęci przyjaźń — honor — braci — ciesz się p. Poruczniku swém złotem — łącz się choćby z żydami, tam dziś najwięcéj znajdziesz pieniędzy — lecz za całe twe złoto nie oddam ci mego ubóstwa.

P. Szambelan pobladł — wargi mu się trzęsły — oczy się iskrzyły — przestraszony Porucznik cofnął się za drzwi i bez pożegnania wyjechał z Lewaldowa.

Łatwo się domyśleć co się działo w Judkowcach po powrocie p. Gromskiego — obskoczony przez faworytów, nie ludzi lecz piesków, zamiast pieszczotliwego powitania z gniewem ich rozpędzał. — Lowing dostał po szyj, Koko po nosie, Muszka kulejąc pobiegła a za nią cała gromada jedynych przyjaciół p. Porucznika — każdy sługa za zbliżeniem się został powitany jedném słowem »precz« — i ci za przykładem piesków skryli się po kątkach — gdy wszedł p. Cezary, rzekł groźnie p. Gromski.

—W pięknyś mię wprowadził interes— a to jacyś hołysze—funta kłaków niewarci— a stary nie dość że goły, ale i zuchwały.

—Co to jest mój ojcze—nie pojmuję— o kim chcesz mówić.

—O twym Szambelanie—to awanturnik—łapie bogatych paniczów do swéj córki— ale mnie na miękisz nie złapać—ja stary wróbel.

—Zkądże ten gniew ojcze—Szambelan mimowolnie cię pewno obraził—to taki zacny człowiek—uspokój się ojcze—pojadę do niego, on cię przeprosi—bo biedny starzec musi cierpieć że ci uchybił we własnym domu.

—Mówię ci—obraził—bo nas wszystkich oszukał, zamiast krociów same długi— ledwie starą koszulę ma na grzbiecie.

Cezary dowiedziawszy się o istotnéj przyczynie gniewu ojca, zrazu uczuł w sercu zadowolenie że Kornelija była ubogą—że dzieląc z nią życie, może im przynieść pomoc własnym majątkiem—rzekł więc spokojnie.

— Szlachetne ubóstwo nikogo nie plami — będę pracował i zwiększę majątek tak, aby niedostatek jéj posagu zapełnić.

— Djabeł wié co pleciesz — szlachetnego ubóstwa niema — ubóstwo to złe — to brzydkość — to nikczemność — ubóstwo to kał — to plugawstwo ludzkości — ubodzy nie tylko nie potrzebni w społeczeństwie, ale to plaga na świecie — dobrodusznych obdzierają — a rozsądnych nudzą swemi prożbami. — O związkach z niemi ani myśléć — już powiedziałem staremu że wszystko między nami zerwano — niech sobie łapie innych paniczów — znajdę lepszą partyę dla ciebie.

— Zmiłuj się ojcze — wołał Cezary głosem strwożonym i blady jak trup — zmiłuj się nie wydawaj tak srogiego wyroku którego bym przeżyć niezdołał — nic od ciebie nie żądam, tylko twego zezwolenia — bez niéj przy największych milionach życie będzie mi ciężarem — ojcze! nie wymagaj ofiary, któréj spełnić jest nad moje siły.

P. Gromski kochał syna, bo widział

w nim następcę swego rodu i sukcessora majątku — dbał więc o jego zdrowie — potrzebował go dla siebie, dla swéj próżności, dla własnych widoków. — Bojąc się więc aby młodzieniec nie nadto uczuł jego postanowienie, którego jednak zmienić ani myślał, rzekł trochę łagodniéj.

— Nie jesteś dziecko — wiész że rodzice mają prawo rozrządzać losem dzieci — jednak nim cokolwiek nastąpi, było i jest moim zamiarem niecofnionym abyś na parę lat wyjechał zagranicę.

— Wszystko uczynię ojcze — tylko błagam twego zezwolenia.

— Obaczemy — obaczemy — odrzekł p. Porucznik.

Oddalił się Cezary z sercem pełném trwogi — z rozpaczą w duszy, ze łzami w oczach wbiegł do ciotki i opowiedział całą rozmowę z ojcem. — P. Kunegunda uspokoiwszy nieco Cezarego, dodawszy mu odwagi i nadziei, sama pobiegła do brata — cała drżąca od wzruszenia rzekła do p. Władysława.

—Zacznę do ciebie słowami największego mówcy świata. — *Dopókiż ty nadużywać będziesz cierpliwości naszéj?* co jeśli Katelina chciał Rzym spalić i wymordować obywateli, ty chcesz zagładę twego rodzeństwa, i mordujesz własnych dzieci. — Brutus zabił syna, ale poświęcił go dla szczęścia kraju—ty go zabijasz dla podłych pieniędzy.— Władysławie! jeśli na małżeństwo Cezarego z Kornelią nie zezwolisz — znienawidzę ciebie jak Poliniusz Eteokla.

—Jestem w złym humorze Kundziu i nie w usposobieniu słuchania twych prelekcyi Rzymskiéj historyi. — Cezary z Kornelią się nie ożeni, bo ja z hołyszami swatać się nie myslę.

— Ona ma posag —krzyknęła p. Kunegunda.

—Niema trzech groszy—zawołał Porucznik.

—Ma-bo w takim razie dla szczęścia dwójga serc cały mój posag Kornelii zapiszę.

—Mościa panno to szaleństwo — jako starszy brat, na taką warjacyę nie zezwolę.

—Mam pełne lata.

—Co to—to prawda.

—A więc memi kapitałami rozrządzać mogę.

—Kundziu — przecież są one w mym ręku.

—Jeśli nie zezwolisz na ich związek— odbiorę i daruję.

—Poczekaj Kundziu— nie działaj tak obcesowie.

—Daję ci 24-ry godzin do namysłu.

P. Porucznik bardzo był nie kontent z tak energicznego postanowienia Kunegundy, gdyż od 200,000 siostry przez lat już kilkanaście płacąc jéj czwarty procent sam pobierał dwunasty — wiedział że jéj egzaltacya może ją przywieść do heroizmu—z drugiéj strony trapiony był o zdrowie a może i o życie Cezarego —trzeba więc było i siostrę i syna uspokoić, a postawić na swojém.— Dumał nad środkami i w pomoc do tak subtelnéj dyplomacyi kazał przywołać Moszka arendarza.

KOCHANEK NA WSCHÓD CZY NA ZACHÓD POJEDZIE.

Wzruszenie którego doznał p. Legnicki w żywéj rozmowie z p. Porucznikiem osłabiło zwątlone jego siły i o mało nie wpadł w ciężką chorobę — Kornelija nie będąc świadkiem ostatnich odwiedzin Porucznika gubiła się w domysłach — a niepewność i trwoga jak kamień leżała na jéj sercu. — W pierwszéj chwili widzenia się z córką p. Szambelan widocznie unikał każdéj nawet wzmianki o p. Gromskim i Cezarym — nazajutrz dopiero, gdy się czuł trochę zdrówszym, nie tyle lekami jak modlitwą pokrzepiwszy siły, kazał do siebie przywołać Korneliję — ucałowawszy ją serdecznie rzekł drżącym głosem.

— Są excepcyonalne wypadki w życiu,

które wychodzić muszą ze zwyczajnego biegu — są tak szczególne pozycyje u których rodzice za sędziów brać muszą własne dzieci. — Nim ci bolesną tajemnicę wyjawię, musisz wprzód wysłuchać mego usprawiedliwienia się, a wówczas albo przyznasz mi słuszność, lub ulitujesz się nademną.

— Ojcze — przerwała Kornelija — wszystko cóś uczynił jest dobrém — twa wola jest dla mnie świętą, bo nie pojmuję szczęścia którebym mogła od twego odosobnić, a każde nieszczęście niknie gdy z tobą dzielić mogę.

Łzy się zakręciły w oczach starca i rzekł.

— Niech cię Bóg błogosławi za dodanie mi odwagi, siadaj i słuchaj cierpliwie, gdyż muszę zacząć *ab ovo*. — Opowiadałem ci wiele szczegołów mego życia, znasz je dokładnie — lecz jeden wypadek o którym ci chcę mówić był dotąd dla ciebie tajemnicą. — Wiész o tém że było nas dwóch braci — stryja twego Zygmunta nie pamiętasz, bo w niemowlęctwie jeszcze twojém kraj opuścił. — Był to człowiek odważny — wszystko żywo czujący, dbały o

swój honor ale i w drugich umiejący go szanować — poświęcający z ochotą swe usługi dla każdego — ale przy tych zaletach był namiętny, rezykujący nieraz życie i majątek dla utrzymania swéj opinii. — Prawdę mówiąc charakter to był całéj naszéj rodziny. — Mój brat kochał mię szczérze choć rzadko widywaliśmy się z sobą bo zamieszkał inne okolice. — Jam po usługach dla kraju zamknął się na wsi i szukał szczęścia w rodzinie, on jeszcze zanim gonił wśród wielkiego i gwarnego świata. — Służył dawniéj ze mną wojskowo — raz uratował mi życie — w niedostatku kieszeń jego była moją, słowem żyliśmy z sobą jak bracia żyć powinni. — Byłem już wówczas żonaty; matka twoja ten anioł dobroci i słodyczy umilała mi dzień każden, to też każda chwila z nią przeżyta jest najdroższą pamiątką méj przeszłości. — Pewnego dnia po kilkoletniém niewidzeniu się, zjawił się w naszym domu brat Zygmunt — oboje powitaliśmy go z radością, przypominaliśmy sobie dawne czasy i nad niem nieraz wspólnie

zapłakaliśmy — lecz że szczęście i radość mieszkała w naszym domku, chcieliśmy naszego miłego gościa rozweselić — ale próżne były nasze usiłowania. — Zygmunt był zawsze smutny — zadumany, a raz go złapawszy że płakał na osobności rzekłem.

— Cóż ci bracie? jakaś troska w sercu a nie chcesz się z nami nią podzielić — może by się znalazła jaka rada, bracie tak się niegodzi z nami postępować, przecież my krew jedna, nie masz nas więcéj rodzonych.

I jakiem zaczął w ten sens umawiać, a zaklinać, a prosić, rozszlochawszy się jak dziecie opowiedział mi swoje przygody i nieszczęście w które wleciał nieostróżnie. Nadszastawszy majątek na wielkim świecie, chciał ubytek grą poprawić, a że do wszystkiego rzucał się z namiętnością — druga obrona była najniebespieczniejsza i musiała sprowadzić złe konsekwencyje — im więcéj przegrywał tém coraz wzrastała chęć odgrywania się, a jednego wieczora skuszony przez czarta tak się roznamiętnił iż zgrawszy się do koszuli, daléj

grał na kredyt i ogromną summę przegrał, dług honorowy do cztery kroć stotysięcy ciężył na nim, a nie miał skąd się uiścić — naznaczono mu za całą dogodność, roczny termin — znając drażliwość honoru brata, wiedziałem co cierpi, mniejsza już o niedostatkach — ale ten dług to plama na szlachcicu która i krwią obmyć się nie może. — Uspokoiłem go jak mogłem — jak umiałem — ale cóż tu słowa poradzić mogły — dziś gdy niema uczynków każą wierzyć w ich siłę, lub zwalają wszystko na Boga, nie przyłożywszy własnych starań i trudów odsyłają po nagrodę niebieską. — Pewno że każde nieszczęście z pokorą — z miłością zniesione będzie miało zasługę w oczach Boga — ale chrześcianin, uczciwy człowiek — brat przyjaciel, — z uczynkiem przybyć powinien — a cieszyć słowem wówczas gdy nieszczęście przechodzi ludzką możliwość. — Tak myśląc poszedłem najprzód do żony — opowiedziałem nieszczęście brata i o radę w téj moiéj trosce prosiłem — bo summa była wielka nie śmiałem uszczuplać

do tyla fortuny bez jéj konsensu. — Ten ainioł dobroci widząc dobrze myśl moją, pewna będąc że tym wyrokiem i mnie i brata mego uszczęśliwi rzekła łagodnie.

— A cóż mężu, on ci był pomocą nie w jednéj potrzebie — on ci życie uratował, teraz poświęcenia się kolej przyszła na ciebie. — Usłyszawszy te słowa jak długi padłem do nóg twéj matce, wnet się zająłem zebraniem potrzebnéj summy — kapitałów nie miałem, nie można było długo deliberować, pożyczyłem i nie bez trudów zmusiłem brata do przyjęcia téj ofiary.

— O dobry ojcze — rzekła Kornelija — każdy szczegół twego życia kogoż nie zniewoli do uwielbienia ciebie — o jakież szczęście mieć tak cnotliwego ojca.

— Brat Zygmunt — daléj mówił Szambelan — rozpłaciwszy się z długami, i od téj pory do kraju nie wrócił — pisywał zpoczątku, lecz od lat dziesięciu żadnéj już wieści o nim nie miałem — powno Bóg go już musiał powołać do siebie. — Rządząc się zawsze oszcze-

dnością przez całe moje życie, nie wiedziałem iż dług jest to gangrena która odrazu nie wycięta, całe mienie roztacza i wniwecz obraca. — Próżnom ciężko pracował jak wyrobnik — darmo wszystkich zbytków i przyjemnostek odmawiałem sobie, wszystko się rwać zaczęło i płatać a w końcu ujrzałem ruinę majątku — przytém Bóg zesłał największe na mnie nieszczęście, matka twoja umarła — z jéj śmiercią ujrzałem się zupełnie osamotniony, wkoło mnie świat był pusty — dawni przyjaciele wymarli, zewsząd inni ludzie — inne zwyczaje — inne zdania i sądy — żyłem tylko wspomnieniami — przeszłością. — Ty jedna wiązałaś mię jeszcze ze światem, lecz zamiast w przyszłości cieszenia się twym szczęściem, widziałem twoją niedolę — czułem że przejdziesz w poniewierkę, bo już jasno spostrzegłem że zostawię cię w ubóstwie — ta myśl okropna trawiła resztki mego życia — najboleśniejszą mękę nosiłem w mych piersiach — codzień pękało serce od żalu i zgryzoty.

— O mój ojcze — przerwała Kornelija —

czyż ubóstwo jest największém nieszczęściem? czyż ono nie osładza się czystém sumieniem? czyż dzieląc go z kochanemi, w ich przywiązaniu, mężném znoszeniu i wspólnéj pracy ulgi znaleść nie można. — Ojcze! pocożeś sobie tyle lat taką boleścią zapełnił — pojmuję żeś stracił wszystko, że jesteśmy może w ubóstwie — ale została ci twoja córka, która i w niedostatku przy tobie zawsze będzie szczęśliwa.

—I ty mnie nie potępiasz mój aniele? rzekł ze łzami w oczach p. Legnicki — ale ty nie wiész co to jest ubóstwo — nic niema bardziéj względnego jak każde nieszczęście, a w nieszczęść szeregu najwzględniejsze ubóstwo — o najboleśniejsze jest moje. — Nie wiész że jak dawniéj dobre imie — zasługi przodków, osobiste zalety lub cnota rodziła konsyderacyę i względy u współbraci, dziś wszystko to świat wyśmiawszy — spotworzywszy, czci tylko jedne złoto. — Miéj duszę splugawioną występkiem, zczerniona cudzą krzywdą, cudzemi łzami obłaną, nie będą zważać — lub

nie dójrzą gdy je złotem pokryjesz. — Ze wzgardą patrzyłem na podobnych ludzi — i gdyby nie ty cieszyłbym się może że Bóg odebrał mi bogactwo które dziś stało się godłem zepsucia. — Lecz myśl o twojéj przyszłości kazała mi się kryć z moją nędzą — wolałem na siebie przyjąć mniemanie sknery i skąpca niż okazać ją światu — bo wiedziałem że raz ją okazawszy jak trędowatych odepchną nas od towarzystwa, do którego własnemi i ojców naszych zasługami mamy niezaprzeczone prawo — widziałem że resztki błyszczącego mienia, zwabią starających się o twoją rękę i sądziłem że w ich tłumie choć jeden się znajdzie co potrafi ocenić twe anielskie serce, droższe nad wszystkie bogactwa, że oddając ciebie bezinteresownemu człowiekowi, umrę spokojnie widząc zapewnioną twoją niezależność — i że krew moja nie pójdzie w poniewierkę tułać się po cudzych domach.

Kornelija upadła do nóg ojca — i rzekła wzruszonym głosem.

—Wszak Bóg dobry uspokoił twe trwogi—przysięgam ci że miłość Cezarego jest prawdziwa, że myśl o mych dostatkach nigdy nie skalała jego uczucia.—Ojcze! nadto zakrwawiasz twe serce—są jeszcze poczciwi ludzie na ziemi i jest Bóg na niebie, ojciec ubogich i nieszczęśliwych.

—Biedne dziecię—odrzekł p. Legnicki—nie chcę potępiać twego Cezarego, choć trudno aby lichwiarstwo i kupiectwo ojca choć w części nie wpłynęło na charakter syna lecz gdyby on był nawet wyjątkiem, chciwość p. Porucznika nadzieję moję niweczy i nazawsze rozrywa—wyznaję ci moje dziecie iż chociaż nigdy nie czyniłem nikomu wzmianki o mym ubóstwie, jednak nie zgrzeszyłem kłamstwem iż jestem w dostatkach—jeśli napomknąłem czasami o mém położeniu, nikt wiary do mych słów nie przykładał.—Przed przybyciem p. Porucznika naradziwszy się z poczciwym Maciejem, gdyż on tylko istotną prawdę wiedział i był świadkiem wszystkich moich urządzeń i niepokojów, uczyniłem postanowienie

oświadczyć p. Porucznikowi iż jego syn nie może się spodziewać żadnego posagu, gdyż majątek mój zupełnie zrujnowany — p. Porucznik sam dopomógł mi do wyznania prawdy, bo nietylko badał ale natarczywie nalegał o wydzieleniu ci znacznéj summy — gdym stan mych interesów wyświecił — przyszło do przemówek i gdybym nie szanował siebie, wytrąciłbym za drzwi tego lichwiarza jak żyda. — Pojmujesz więc że wszystkie układy o twém małżeństwie zostały zerwane.

Kornelija zakryła twarz rękoma i rzewnie płakać zaczęła, ojciec przytulił ją do swego serca i w niemém milczeniu nie jedna łza z sędziwych powiek spadła na jéj głowę.

— Czyż szczęście to sen tylko? zawołała Kornelija. — O! straszne moje przebudzenie.... lecz cóż Cezary winien? on go uprosi — przełamie upor swego ojca — błagam tylko ciebie nie oddalaj od niego twego serca — on cię przekona że moje serce nie omyliło się na niem.

—Kornelijo! ty się z nim więcéj widywać nie możesz.

—Raz tylko mój ojcze.

—Raz jeden i ostatni — zezwalam.

Kornelija ucieszona pozwoleniem ojca, pokrzepiona nadzieją, nabrawszy siły i odwagi rzekła.

—Ojcze! przyjmujmy z męstwem każdą boleść zesłaną od Boga — może to chwila tylko próby — ja wymodlę dla ciebie pokój i szczęście — ale uczyń mi jedną łaskę, przyrzeknij że spełnisz moją prośbę.

—Cóż mógłbym ci odmówić mój aniele — gdybyś krwi mojéj zażądała wytoczyłbym do ostatniéj kropelki dla ciebie, abym tylko mógł osłodzić tyle cierpień co ci zadałem.

—Od dnia dzisiejszego ojcze, gdym jasno przejrzała, gdyś zdjął zasłonę która pewno ciężyła i na twojém sercu, dziś położenie nasze obmierzłym by mi było, gdybyśmy jak ze zbrodnią mieli się kryć — z naszém ubóstwem — pocóż ojcze czyste i bez skazy twe życie ma być zbrudzone mniemaniem skąpca lub

znieważone że się wstydzimy naszego nieszczęścia. — Przed całym ludem Bóg krzyż swój dźwigał i my go nieśmy z pogodnym czołem w obliczu choćby całego świata — oddaj wszystko twoim wierzycielom — niech grosz cudzy nie miesza nam spokoju — sprzedaj wszystkie sprzęty i z odrobinę jaka może nam pozostać osiądziemy w mieście — a Bóg i praca wyżywić nas mogą.

— O córko moja — rzekł p. Legnicki — gdybym cię tém nie zawstydził a słuchał tylko popędu mego serca uklękłbym przed tobą — ty każdą myśl moją uprzedzasz — zdejmujesz kamień po kamieniu z mego serca, aby ta pierś stara choć przed śmiercią mogła wolniéj odetchnąć. — Niech wszelkie błogosławieństwo Boże zdrojem łask swoich zlewa się na ciebie.

Rzucił się starzec w objęcia córki i długą chwilę w milczeniu tak pozostali.

Stary Maciej pododrzwiami podsłuchiwał całéj rozmowy — wleciał raptem jakby szalony i upadłszy do nóg Kornelii zawołał.

—Niech Bogu będą dzięki — bo panna uratowałaś życie swemu ojcu — zgryzota strawiłaby go do reszty — nie śmiałby nigdy wyprowadzić panne z pod dachu swych przodków, nie odkryłby wszystkiego, gdybyś panna swym męstwem go nie ośmieliła. — Teraz jestem szczęśliwy — niech panna się nie martwi — świat wielki — a Pan Bóg jest wszędzie.

— Poczciwy Macieju — rzekła Kornelija biorąc go za rękę — ty nas nie opuścisz, będziemy zawsze z sobą razem.

— Obaczy panna że nie będzie nam tak źle jak się zdaje — odrzekł Maciej — jegomość teraz dłużéj i spokojniéj pożyje, a Bóg pannie wszystkie ofiary wynadgrodzi.

P. Legnicki uściskawszy serdecznie sługę rzekł ze wzruszeniem.

— Gdy Bóg nas wszystkich natchnął poczciwą myślą, chodźmy Macieju i zaraz żywo weźmy się do dzieła — śpieszmy — wszystko zlekwidujemy i pójdziemy w świat gdzie nas Bóg poprowadzi.

Kornelija gdy została samą, zaczęła roz-

myślać nad swym położeniem — widziała przed sobą nową drogę życia, gdzie nowe obowiązki ją czekały — gdzie nie rozrywki ale praca miały być głównym celem jéj przyszłości. — Sama siebie badała do czego jest zdolna, ręczne kobiece roboty — muzyka — języki miały zostać dla niéj skarbnicą żywiącą ojca — poczciwe i szlachetne serce nie łatwo upada na duchu, zawsze znajdzie piękną stronę czy w spełnieniu obowiązków, czy w poświęceniu się — i z radością spostrzega że na cóś się przyda na świecie — że nieszczęśliwsi mogą jeszcze śmiało wesprzyć się na ich pomocy — układała więc sobie nowe życie które będzie pędzić z ojcem, gdzieś w końcu miasta w małym cichym domku z ogródkiem, w którym zamieszka praca i pokój — lecz gdy pomyślała o pokoju pierś jéj głęboko westchnęła i zapytała siebie, czy może być pokój dla niéj? — O młodości! ty jedna masz źródło żywe które nie wysycha, które wciąż skrapia twą drogę i dla tego twe kwiaty zawsze są swieże i

wonne — tém błogosławioném źródłem jest nadzieja.

Mimo tak nieszczęśliwych wypadków, które rozrywały wszystkie błogie marzenia — mimo tak smutną rzeczywistość, nadzieja błyskała w sercu Kornelii i oświecała uroczym blaskiem całą przyszłość. — Miłość prawdziwa jest ufająca, przeszkody ziemskie nie łatwo ją zrażają — Kornelija wierzyła w miłość i ufała w moc modlitwy — Z témi trzema pochodniami wiary — nadziei i miłości, nie wejdzie człowiek w otchłań rozpaczy — gdzie zamiast wiary przyświeca zwątpienie — zamiast nadziei nieufność, zamiast miłości, nienawiść. — W trudnych położeniach życia, w troskach zwykle Kornelija o radę, o pomoc udawała się do swéj opiekunki i orędowniczki — upadła na kolana przed obrazem Najświętszéj Panny i wzniesionym duchem jako dziecie z matką rozmawiała, a natchnienie jakie otrzymała w tak uroczystéj chwili brała za jéj odpowiedź. — Zatopiona głęboko w téj anielskiéj rozmowie, nie słyszała jak powóz zajechał i

jak Cezary wszedł do jéj pokoju.—Młodzieniec w niemém zachwyceniu patrzał na klęczącą, ziemskiém słowem nie odważył się wstrzymać polot jéj ducha, który z chórem aniołów wielbił Pana za wszystko — czy za radość—czy za boleść.—I jemu w téj chwili błogość rozlała się po sercu, i jakby nie ziemską radością duch się jego pokrzepił.— Po chwili milczenia kończąc modlitwę z cicha mówiła.

—Uchowaj go od rozpaczy—niech całą ufność położy w tobie, a gdy ciebie ukocha— niczego nam nie odmówisz, bo znasz co to boleść i miłosierdzie twoje nas ogarnie.

Westchnienie Cezarego ocuciło Kornelię—bjorąc ją za rękę zawołał.

—Bóg cię wysłucha aniele — boś ty tylko godna wszystko u Niego wyprosić.

—I tyś mój drogi znalazł wyższą pociechę—i nie zatrwożyłeś się odmówieniem twego ojca.

—Bo ufam — moja Kornelijo że upor jego moją stałością przełamię — wymogłem

mémi prożbami iż nie odmówi nam swego zezwolenia, tylko położył warunek abym na lat dwa wyjechał zagranicę — lecz te dwa lata Kornelijo to wieczność dla mnie — to pasmo ciągłych niepokojów o ciebie i o twego ojca — cóż czynić będziecie? ze zmianą waszego położenia nieznane ci dotąd truda — nieznane przykrości czekają. — Jakby ci je ulżyć moja droga.

— O nie trwóż się o nas — już w myśli ułożyłam przyszłe życie nasze. — Kto w dostatkach — w próżności szuka szczęścia, ten przy największych bogactwach nigdy go nie znajdzie — bo one serca nie nasycą. — Nie myśl mój drogi abym nad nieszczęściem tylko płakać umiała — nowe obowiązki które Bóg wkłada na mnie dodadzą mi męstwa — trwożę się raczéj abym nie była nadto dumna sobą, gdy byt nasz znośny będę winna tylko sobie — każde położenie Bóg uposaża inną pociechą. — Obaczysz nas kiedyś Cezarze w naszym ubogim domku jak będziemy szczęśliwi.

—Cieszysz mię moja droga · · lecz ty nie wiész co to ciągła praca—praca z konieczności.

—Wiém mój drogi—i nią się raduję—gdyż niema lepszego lekarstwa—na tęsknotę jak praca—bez niéj możeby me serce nie zniosło tak długiego rozstania, możeby szemrało przeciw woli Bożéj—lub możeby się smutkiem zagryzło.—Na każdą chorobę Bóg lekarstwo udziela.

—Jedną tylko miłość miałem dotąd dla ciebie—nią ogarniałem i pojmowałem ciebie—ty mnie cały świat szczęścia i piękności okazałaś—lecz dziś uwielbiam, czczę ciebie—boś ty stokroć lepsza i wyższa od wszystkich istot na ziemi.

Rzucił się Cezary do kolan Kornelii i zachwycony, rozrzewniony, całował i ściskał jéj ręce.—Świat—ludzie—wszystkie trwogi, przeszkody—wszystko znikło z pamięci—wszystko się zmąciło i pierzchło z przed oczów, bo wszystkiemi zmysłami, wszystkiemi władzami ducha i sercem całém—widział i

czuł tylko jedną swoją Korneliję — i tak wiecznie chciałby u jéj kolan pozostać.

Gdy rzeczywistość zbudziła ich z uroczego zachwycenia — nastąpiło długie pożegnanie — przyrzeczenia — przysięgi i łzy mieszały się w słowa i płynęły potokiem wrzącego uczucia — stokroć pobłogosławiwszy go Kornelija, zawiodła go na pożegnanie do ojca.

P. Szambelan zrazu zimno go przyjął, tak przykra rozmowa z p. Porucznikiem głęboko mu rozjątrzyła serce, lecz widząc że się czoło Kornelii zachmurza, uprzejmiéj go powitał — wrócił do zwykłéj swéj łagodności, mówił o krajach które zwiedzić Cezary zamyślał — dawał mu nawet różne przestrogi i w końcu pobłogosławiwszy go naradą rzekł.

— Nie wiem czy już mię zastaniesz mości Cezarze, bo dwa lata to przestrzeń ogromna dla starego — gdyby mię nie było pomódl się zamną, i jeśli córka moja będzie potrzebowała twéj opieki, żebyś uczuciem li Chrześciańskim, dla miłości Boga stanął przy sierocie i wspierał ją radą. — Wywozisz z sobą

poczciwe serce — daj Boże aby świat ci go nie popsuł--bo wierz mi że tylko wewnątrz nas, to jest w nieskalaném sumieniu i w czystości ducha ziemskie szczęście się zamyka.

Cezary z rozrzewnieniem uściskał ręce Szambelana — pożegnał raz jeszcze Korneliję — brakło mu słów — drżał cały i jakby bezprzytomny opuścił na długo dóm gdzie całe swe szczęście zostawił.

We dwudziestu czterech godzinach, które p. Kunegunda dała swemu bratu do namysłu ważne odbyły się w Judkowcach narady z Moszkiem. P. Porucznik miał długą z nim konferęcyję — układali jakim sposobem obiecać wszyztko, a nic nie dotrzymać, uledz niby wymaganiom p. Kunegundy i prożbom Cezarego, zostawując sobie uboczną fórtkę do wycofania się z obietnicy. — Gdy plon dyplomacyi Judkowieckiéj był już ułożony, potrzebował ratyfikacyi. — P. Porucznik do téj negocyacyi użył ma się rozumieć swego nadwornego ambasadora Moszka, który po kilkakroć latał do p. Kunegundy i do Cezarego,

a po długich deliberacyach stanęło na tém — 1-o iż p. Cezary na lat dwa ma wyjechać niezwłócznie zagranicę, iż jeśli miłość okaże się niezmienną ze stron obu, jeśli przez ten czas nikt nie zajmie serca ani Cezarego, ani p. Kornelii, wówczas p. Porucznik po ostatecznéj naradzie z p. Szambelanem, za jego zezwoleniem zgodzi się na ów związek i nie odmówi swego błogosławieństwa. — 2-o Posag p. Kunegundy w jakimkolwiek bądź razie wypłaconym zostanie do rąk jéj własnych za lat dwa, z tém zastrzeżeniem, iż gdyby zechciała nadal pozostać w stanie panieńskim, i po upływie dwóch lat lub po najdłuższém życiu zażądała rozporządzić swą summą, to nie może przechodzić w obce ręce, tylko powinna wpłynąć w dóm zkąd wyszła, to jest do imienia Gromskich. — Na tych warunkach 1841 r. 8-go Czerwca w dzień ś. Medarda zawarł się traktat Judkowieckiego pokoju.

Zajęci byli wszyscy zgodnie przygotowaniem do podróży p. Cezarego. — P. Po-

rucznik posłał Moszka do Berdyczowa za kredytywą od Halperyna — zalecał Cezaremu najdłuższy pobyt w Wiedniu i Paryżu iż tam tylko może użyć życia — a że lat temu trzydzieści wracając z Karlsbadu miesiąc bawił w Wiedniu, dawał mu więc zlecenia do jakiego hotelu ma zajechać, w jakiéj restauracyi jadać — z kim ma się zapoznać, nie pomnąc że te hotele — ci restauratorowie — te znajomoście w trzech lat dziesątku ulegli albo wielkiéj zmianie lub swe istnienie zakończyli. — P. Porucznik przeniósłszy się w czasy swéj młodości, osobliwie w epokę birbantek Wiedeńskich, zupełnie się ożywił — wpadł w dobry humor i nie jedno swawolne słówko z ust mu wyleciało, które raziły stan panieński Kunegundy i zmuszały ją do częstego zatykania uszów — zniecierpliwiona w końcu rzekła.

— Wstydź się Władysławie gorszyć tak syna, inne nauki dawał Arystoteles Aleksandrowi wielkiemu, nie wiész jak trzeba być ostróżnym w postępowaniu z młódszymi —

jak czasem i słowa poważne i mądre nie osiągają jeszcze celu — próżno poczciwy Seneka całą etykę chciał wlać do serca swego ucznia Nerona, namiętności przemogły i został tyranem. — A ty Władysławie podżegasz namiętności, dmuchasz na iskrę żeby wzniecić pożar i jak drugi Omar chcesz spalić całą umiejętność com złożyła z takim trudem w jego głowie.

— Nie bój się Kundziu — rzekł p. Gromski — nie popsuję go, byleby go niemki i francuzki nie zbałamuciły i nie odkochały Korneliję.

P. Kunegunda przerażona tą myślą — zawołała.

— Wychowaniec mój nikogo nie zdradzi — nieprawdaż Cezarze?

Cezary ścisnął jéj rękę i ucałował serdecznie, a p. Kunegunda daléj mówiła.

— P. Porucznik w niczém mię nie usłucha — ja nigdybym Cezarego nie wyprawiała na zachód, ale na wschód — niech najprzód poczyna od zwiedzenia klassycznéj ziemi. —

Z podróżami Anacharsysa w ręku niech przebiega starą Grecyję, niech na równinach Moratońskich szuka Milcyadesa, niech pod Salaminą spotka cień Temistoklesa, niech Spartańską sławę ujrzy pod Termopilami.

— Już zaczynasz się egzaltować Kundziu — przerwał Porucznik — chcesz by Cezary oddawał wizyty twoim bohaterom, których prochy przed dwoma tysiącami lat rozwiały się po świecie. — Co on będzie robić w Grecyi, chcesz by zanudził się na śmierć, gdy jemu potrzeba rozrywki.

— Wiém dokąd strzelasz panie bracie, otoż będzie w Wiedniu i Paryżu a ją nie zapomni — nie zapomni.

— Obaczymy mościa panno.

— Przekonasz się p. Poruczniku.

— Zobaczemy.

— Zobaczemy.

— A więc odchodzę nie przeszkadzam brudzić mu serce.

— A ja ci nie przeszkadzam mącić mu głowę.

—Zobaczemy.

—Zobaczemy.

P. Kunegunda wyszła rozgniewana, ale jak zwykle były to chwilowe błyski, dobre jéj serce nie znało zawiści, zapominała prędko urazy i po kilku chwilach wszystko przybierało stan rodzinnego pokoju.—Odjazd Cezarka pojednał strony, o nim tylko myślano—nim się zajmowano i po kilkodniowym pakowaniu się wyjechał p. Cezary opatrzony kredytywą Halperyna—radami ojca i oblany łzami p. Kunegundy—rzucił dóm rodzinny unosząc z sobą najżywszą miłość dla Kornelii.

ZŁOTA TABAKIERA i CAŁE TOWARZYSTWO W PODRÓŻY.

P. Szambelan Legnicki dokładnie był obeznany ze składem swoich interesów, nie wiele więc zajęło czasu rozwiązanie się z onych. — Jeden tylko kredytor miał znaczną summę, a kilku szlachty z drobnymi kapitalikami siedziało na gruncie w Lewaldowie, trzymając w procencie dogodną posadę z urodzajnemi polami. — Najważniejszy kredytor pobierając corocznie w terminie procenta, przekonawszy się o rzetelności Szambelana milczał zadowolony z dobréj lokacyi — a szlachta siedziała spokojnie bojąc się tylko aby Szambelan kiedykolwiek ich nie spłacił — z żydami zaś p. Legnicki nie miał żadnego

interesu, tym sposobem nikt nie wiedział o długach Szambelana, a oszczędność jego i akuratność w opłacaniu procentów, zjednały mu opinię rządnego gospodarza, a nawet i skąpca który tajemnie w kufrach składa kapitały. — Stan takowy był nader dręczącym dla p. Legnickiego — z jednéj strony nie chciał światu pokazać swe ubóstwo, aby to nie przeszkodziło Kornelii do dalszego losu i nie straciło ją ze stanowiska do którego przez urodzenie i wychowanie miała niezaprzeczone prawo — z drugiéj, ciężyła mu na sumieniu opinia bogactw, i że swym postępowaniem jakby kłamstwem chciał w ciągłym błędzie utrzymywać publiczność. — Wyjawieniem Kornelii rzeczywistego stanu interesów — pokrzepiony rezygnacyą — wzmocniony jéj odwagą — przystąpił śmiało do wyjścia z tak fałszywego położenia. — W parę dni zaproszony główny kredytor z radością nabył Lewaldów z obowiązkiem wypłacenia reszty długów — nie zmartwiło nawet p. Szambelana że w ostatecznym obrachunku pokazało się że mu się

nic ze sprzedarzy dóbr nie pozostaje — do téj smutnéj myśli przywykł był oddawna. — Jedyny fundusz mógł się zebrać ze sprzedaży niektórych zbytkowych sprzętów. — Zamknąwszy się więc ze starym Maciejem układali i oceniali każdy przedmiot pomierną ceną, czyścili pozostałe z lepszych czasów jakieś odwieczne srebrka, porwane złote łańcuszki — sygnety — od kilkudziesięciu lat nie idące zegary — kilka droższych pierścieni nieboszczki żony, niekompletne porcelanowe serwisy — lecz to zajęcie było boleśniejsze dla Szambelana jak sprzedaż rodzinnego, ostatniego majątku. — Bo rzecz dziwna że często człowiek najbardziéj przywyka do starych gratów niemających nawet wielkiéj wartości. — Człowiek wszystkiemu co go otacza, udziela swe życie — myśl, ten nadziemski organ twórczości ludzkiéj spocząwszy na nieorganicznym przedmiocie, wieczną na nim pamiątkę zostawia swego przejścia i późniéj uderzając o nasze zmysły jakby przemawiał do nas, wywołując szereg wspomnień.

Z bolem serca żegnał się p. Szambelan z każdym sprzętem przeznaczonym na sprzedaż, jedne były pamiątkami nieboszczyka ojca, przypominały mu jego poważną postać, zdało mu się że widzi jego surowe wejrzenie i zgrozę że karmazynowy szlachcic fantuje się jakby jaki szerepetka, nieraz dotknąwszy do takowego sprzętu, nagle opuszczał gdyż zdawało się mu że ręka ojcowska go przytrzymuje. — Drugie przedmioty wywoływały rzewne wspomnienie młodości które dla starca są jakby wśród zimy najpiękniejszą wiązką kwiatów — inne wskrzeszały pamięć żony, kilka lat najszczęśliwszych w życiu w których widział małą Korneliję wzrastającą wśród pieszczot — dostatków, z nadzieją ojcowską, iż ile świat szczęścia dać tylko może, tyle on ukochanéj swéj córce zostawi — a teraz?.. i serce wśród potoku pamiątek i wzruszeń pękało nieraz z boleści. — Gdy Szambelan skończył tak uciążliwą pracę, a Maciej zatrudniał się pakowaniem sprzętów w potężny kufer, z którym miał zaraz wyjechać do

Berdyczowa dla spieniężenia onych — rzekł p. Legnicki.

— Podsumuj teraz Macieju — ile uzbiera się pieniędzy ze sprzedaży tych gratów.

— Już dawno na palcach zliczyłem — odrzekł Maciéj — dotąd mamy dwa tysiące sześćset r. s.

— A cóż to prawie nic mój Macieju.

— To nie nic — to cóś znaczy — jest o co ręce zaczepić — między cóś a nic jest przepaść ogromna — niezmierzona. — Jegomość przez lat tyle przywykł do oszczędności, panienka dawno od zbytków odwykła, z tym kapitalikiem skromnie długi czas przeżyć można.

— Wątpię mój Macieju — trudno z piasku bicz ukręcić.

— Niech jegomość się nie troska — ja i panienka gospodarstwo będziem prowadzić — jegomość się nie spostrzeże że niema Lewaldowa — Pan Bóg nam dopomoże — aby czyste sumienie to będzie i pokój w naszém nowém mieszkaniu — aby nie było cudzéj krzywdy

to i dostatek się znajdzie — Bóg poczciwych nie opuszcza.

— To prawda Macieju — że w wielkich nieszczęściach, w ostatecznych wypadkach życia, człowiek ma ufność tylko w cudach, miłosierdzie Boga wielkie — niezmierzone — ale czyż nam nędznym godzi się prosić o cuda. . . . . .

— O mój jegomościu, niemasz człowieka na świecie aby wielkich cudów nie doznał — cuda zawsze były — są — i będą — wszak to Bóg nie człowiek rządzi światem — niech tylko jegomość będzie spokojny — niech ufa a wszystko pójdzie dobrze.

— Ależ mój Macieju — 2600 r. s. z czém tu się w świat puszczać.

— O panie! dociągniemy do trzech tysięcy najmniéj.

— A to zkąd?

— Czyż jegomość zapomniał o największéj precyozie.

— Cóż takiego — jakiż to skarb o którym nie pamiętam.

— Otoż za ten skarb zapomniany, wezmę ze 400 r. s. i dokompletuję jegomości okrągłą summkę 3000 r. s.

— Nie pojmuję Macieju — cóż to takiego.

— A zapomniałeś jegomość złotą tobakierę.

Czoło Szambelana się zachmurzyło i rzekł ze smutkiem.

— Jakto Macieju — czyż chciałbyś abym się pozbył téj najdroższéj, ostatniéj pamiątki, która przez półtora niemal wieku była świadkiem dziejów naszego rodu. — Czyż mogę upominek królewski puszczać w brudne żydowskie ręce i frymarczyć przyjaźnią króla i błogosławieństwem ojca? czyż nie wiész że ją zdobią nie tyle diamenta jak krew ojca i syna którą się zbruzgała ratując ich od śmierci. — Nie Macieju — to być niemoże — byłoby to największém świętokradztwem.

— Święta prawda w słowach jegomości — odrzekł Maciej. — Wierz mi pan że i ja tę pamiątkę cenię jak relikwię i gdyby nie konieczna potrzeba zebrania funduszów na utrzymanie reszty życia jegomości, prosiłbym abyś

ją ofiarował na wyrobienie z niéj korony do cudownego obrazu Matki Boskiéj Berdyczowskiéj — ten talizman był świadkiem tylu łez poczciwych, tylu poświęceń, iż tam tylko godne jest dla niego miejsce, lecz dziś niech wartością swoją wyprowadza nas z biedy.

— Wolę nędzę Macieju — jak ją stracić nazawsze.

— Mówiłem dawniéj jegomości że bez wielkich poświęceń pokoju i szczęścia kupić nie można.

— Nie Macieju — to lekarstwo gorsze od choroby — to co bez sprzedaży tabakiery się uzbiera — niech będzie naszym funduszem mała różnica.

— O wielka dla nas mój zacny panie — z tak okrągłéj summki może być i procencik — można nią obracać i jakoś się utrzyma niezależność szlacheckiego rodu. — Inaczéj poświęcenie się jegomości zastąpi panienka swojém poświęceniem — będzie pracować mimo pańskiéj wiedzy — będzie nocy niedosypiać by nią dnia potrzeby opędzić — kto wié może

poświęci swą niezależność aby jegomości opatrzyć we wszystkie wygody życia — Jeśli jegomość dla niéj całkiem się nie poświęci, ona wówczas z ochotą wszystko poświęci dla niego — a zatém świętokradztwem by było uszczuplać fundusze kiedy zebrać się mogą.

— Co mówisz Macieju — zawołał Szambelan — Kornelija miałaby jak wyrobnik — jak sługa pracować dla mnie — krew moja miałaby się zniżyć do służalstwa, splugawić przywileje — zaszczyty — prawa uzyskane kilkowiekową usługą dla kraju — jeszcze żaden z Legnickich nie zaprzedawał swéj woli i czasu a jeśli pracował — to dla kraju — a kraj mu płacił sławą i współczuciem.

— A więc — przerwał Maciéj — poświęć jegomość wspomnienia przywiązane do sprzętu dla ważniejszych tradycyjnych i historycznych pamiątek — niech ostatnia latorośl prześwietnego rodu krzewi się wolnie na ojczystéj ziemi. — Panie! idzie mnie równie o twój spokój jak i o dobrą sławę twego imienia. — My wkrótce pomrzemy — zostanie tylko pa-

mięć wieczna twego rodu, niech on godnie choć wśród nieszczęść dójdzie do kresu — pozwól mnie działać — i tém ostatniém poświęceniem okup niezależność twego dziecięcia.

Szambelan spuścił głowę i łzy mu się stoczyły po twarzy — a po chwili milczenia rzekł dobywszy złotą tabakierę.

— Żegnam cię droga pamiątko — odrywam cię od serca — wolę byś ty poszła w obce ręce niż dziecię moje — wolę byś ty mię nakarmiła kawałkiem chleba niż żywić się pracą mego dziecięcia. — Idź w ten świat który uczci tylko twe złoto i klejnoty — a nie domyśli się jakim byłaś talizmanem dla dwóch pokoleń — niech krew i łzy znikną z twéj powierzchni, zatrzyj nawieki ich ślady, by jaka kupiecka ręka ich się nie dotknęła, po przeszło stuletniéj służbie poświęcam ciebie — i tylko dla własnego dziecka spełniam tę ofiarę.

Szambelan ucałował tabakierę i oddał ją w ręce Maciejowi, który ją przyjąwszy zawołał.

—Poświęcenie nigdy nie jest bez nadgrody, czuję że ta ofiara szczęście ci mój panie przyniesie — bądź dobréj myśli Bóg nas nie opuści.

—P. Legnicki nic nie odpowiedział— usta mu pobladły — zmarszczki pofałdowały zasępione czoło i wpadł w głębokie zadumanie — Maciej spoglądał często z boleścią na Szambelana i pakował różne sprzęty na sprzedaż przeznaczone.

Nad wieczorem krakowską obładowaną bryką wyjechał Maciej do Berdyczowa.

P. Kornelija również krzątała się w swoich pokojach przygotowując się do wyjazdu — to układała nóty — to pakowała książki — to odkładała niektóre sukienki, wstążki — chusteczki przeznaczone na upominki dla sług, chcąc każdemu choć małą pamiątkę po sobie zostawić. — Ciągłe zajęcie się — myśl o zmianie położenia, o osłodzeniu cierpień ojca, o staraniach aby na niczém mu nie brakowało, tak zapełniły jéj głowę i serce, iż czasami tylko pośród tych obrazów prze-

suwała się postać Cezarego smutna — milcząca i jakby uświęcona cierpieniem. — Wówczas gdy czuła że łza natrętna jéj wzrok zaciemnia, że serce się ściska biegła przed obraz Najświętszéj Panny i jakby do jéj korony kilka pereł z łez swoich dorzucała — i znów odchodziła pocieszona do dalszych zatrudnień.

P. Szambelan mało z córką rozmawiał — przez trzy dnie chodził niespokojny — zadumany — czwartego dnia ciągle siedział w oknie, a piątego zniecierpliwiony wyszedł za wieś na wzgórek, zkąd rozlegał się piękny szeroki widok i wśród pól mogło oko sięgnąć daleko i biedz po równym trakcie prowadzącym do Berdyczowa — z takiém to upragnieniem i niecierpliwością oczekiwał p. Szambelan powrotu Macieja — zapewnie musiał dumać o losach tabakiery i może pocieszał się w głębi serca iż ta dla braku prawdziwego znawcy powrócona mu zostanie — a wówczas poprzysięgał iż do śmierci nigdy się z nią nie rozłączy. — Lecz i piątego dnia Maciej nie powrócił a po zachodzie słońca p. Szambelan

smutny wracał do siebie.—Przy wejściu do wsi, obok kołowrotu ujrzał p. Legnicki gromadę wieśniaków, za zbliżeniem się wszyscy zdjęli czapki i schylili głowy —znak to oczewisty ludu naszego że życzą sobie rozmówić się z Panem.- Szambelan się zbliżył a każdy się cisnął do ucałowania jego ręki — po długiém milczeniu, zaczęli wieśniacy spozierać na siebie, trącając się łokciami by skłonić odważniejszego do zaczęcia rozmowy — nakoniec jeden wypchnięty na przód, skłoniwszy się najuniżeniéj i poskrobawszy się w głowę, rodzinnym językiem odezwał się w te słowa.

—Wiémy ojcze nasz rodzony że chcesz nas porzucić, żyliśmy tak długo z tobą i przodkami twoimi — wspólnie pracowaliśmy razem cierpieliśmy i biédowaliśmy razem, iż pewni jesteśmy że nas nie ze złego serca opuszczasz — tylko znać że Bóg tak chce — i inaczéj postąpić nie możesz — bo nikt z dobrego dziwa nie sprzedaje rodzinną chatę, nie opuszcza ziemi w któréj spoczywają koście jego ojców.

—O moi drodzy — odrzekł p. Legnicki — nie bez głębokiego żalu przyjdzie mi was porzucić, i gdzieś umrzeć bez was na obcéj zagrodzie — wśród obcych ludzi — lecz inaczéj być nie może, umiejmy się zgodzić z wolą Pana Boga. — Służyliście mnie wiernie i poczciwie — służcie tak i nowemu panu, nie zrywajcie ten węzeł uczuć jaki powinien być zawsze między wami a panem waszym — słuchajcie go i kochajcie a będziecie szczęśliwi.

—Bez ciebie ojcze — przerwało kilka głosów — niema dla nas szczęścia.

Jeden siwobrody włościanin wysunął się z gromady i podparłszy się na kiju rzekł.

—Co tam będziemy bałakać — jeśli Bóg nam naszego ojca odbierze całe życie zostanie nam go opłakiwać — teraz chcemy zapytać czy byśmy nie mogli temu nieszczęściu zaradzić. — Oto gromada się naradziwszy, widząc że pod opieką Pańską przyszła do dobrego bytu i prócz chudoby nie u jednego leży mieszek z karbowańcami napchany —

chcą u stóp Pańskich złożyć kila worków, jeśli to pomódz może abyś ojcze ze swojemi dziećmi pozostał i nie zaprzepaszczał nas w cudze ręce.

Szambelan rorzewniony uściskał starca i rzekł.

—Dziękuję wam dzieci moje za dobre wasze uczucia i za chęć tak szczerą podania mi pomocy — lecz rzyjąć od was téj ofiary nie mogę — bo złe jużby odwrócić nie mogła — niech Bóg nadgrodzi poczciwe wasze serca.

Łzy cisnące się do oczów nie pozwoliły dłużéj mówić Szambelanowi — uścisnąwszy prawie każdego z osobna, pobłogosławiwszy i pożegnawszy wszystkich — drżący — osłabiony od silnych wzruszeń, śpiesznym krokiem udał się do domu.

Dopiero szóstego dnia powrócił Maciej — p. Legnicki w ten moment przywołał go do siebie i zapytał.

—Czy wszystko sprzedałeś

—Wszystko i uzbierało się do dwiestu r. s. nad cenę przez nas oznaczoną.

—Wszystko? powtórzył smutnie Szambelan—a więc i złotą moją tabakierę sprzedałeś.

—Sprzedałem panie.

—Może w kupieckie, lub żydowskie ręce się dostała.

—Kupił ją jakiś zagraniczny człowiek—jak powiadał że ją nabywa dla wielkiego niemieckiego pana, kochającego się w antykach—i nazajutrz zaraz z naszą tabakierą wyjechał zagranicę.

—A więc się już z nią nigdy nie spotkam!.. tém lepiéj gdybym ją ujrzał w niegodnych rękach to bym tego nie przeżył.—Niemiec uczci przynajmniéj cyfrę Króla Augusta III i będzie ją miał w poszanowaniu.

Po téj krótkiéj rozmowie Szambelan zamknął się w swym pokoju i oddał się cichemu żalowi—za rodzinną wioską—za przywiązanymi włościanami i za drogą pamiątką—wszystko co się zrosło z jego sercem mu-

siał na starość postradać — Siły coraz mu ubywały i każdy dzień o rok cały posuwał zwątlone życie. — Serce Kornelii przeczuło stan wewnętrzny ojca — oko Macieja dostrzegło tak widoczną zmianę, po wspólnéj więc naradzie, chciano jak najskuteczniéj zapobiedz złemu — uradzono aby jak najprędzéj przyśpieszyć wyjazd z Lewaldowa, że przygotowanie do podróży i ciągłe oczekiwanie boleśnéj chwili opuszczenia rodzinnego domu, utrudza Szambelana — naprowadza mu smutne myśli, wycięcza powoli siły i gorsze sprowadzić może skutki, jeśli ten stan nie przerwą rychłym wyjazdem. — Liczono na odmianę pomieszkania — na nowe zatrudnienia, a najwięcéj na oddalenie z miejsca które tyle boleśnych wspomnień wywoływało. — P. Legnicki znurzony, prawie z obojętnością przyjął zamysł córki przyśpieszenia wyjazdu — od téj chwili jak dziecko dał się jéj i Maciejowi powodować. — Najęto więc mały, ale piękny domek z ogródkiem w Winnicy — i po dniach kilku, aby uniknąć pożegnań które rozrzewniały i

odbierały resztę sił Szambelanowi — ze wschodem słońca p. Legnicki z córką w wygodnym powozie, a Maciej za nimi bryką krakowską wyjechali z Lewaldowa.

MAŁE MIASTECZKO i JEGO MIESZKAŃCE.

Kilka miesięcy upłynęło jak p. Legnicki z córką i Maciejem przeniósł się do Winnicy i zamieszkał w bardzo porządnym domku na dawnéj Dominikańskiéj jurydyce — otoczony tureckiemi bzami i jaśminem — ubrany w róże i kwiaty ręką Kornelii pielęgnowane — ocieniony jedną starą lipą i dwoma topolami stojącemi jakby na straży u bramy, a przytém najpiękniejszy widok ożywiał te ciche ustronie. — Z jednéj strony okazywały się zczerniałe po — Jezuickie mury — wieże niegdyś Dominikańskiego kościoła i krzyż nad klasztorem OO. Kapucynów — z drugiéj rozlewał się Boh szybko płynący po kamieniach, ujęty w granitowe skały i ubrany w rozrzu-

cone bukiety zielonych gajów. — Tu w ruinach przeszłość znikoma pracy ludzkiéj — tu odwieczne dzieło Boga zawsze młode i zawsze toż same. — Wśród tak pięknéj natury, przy troskliwych staraniach córki i poczciwego sługi p. Szambelan powoli przychodził do siebie, smutek znikał z jego twarzy i pokój zaczął zastępować jego miejsce — każde z tych trzech osób miały swoje odrębne zatrudnienia. — Maciej zajmował się zaopatrzeniem domu i spiżarni — dziwiono się że prawie nie uszczuplając kapitaliku wszystkiego było u niego podostatkiem, zapasy tak znaczne że co sóboty mogli jeszcze opatrywać kilkunastu ubogich. — P. Szambelan nie mógł dójrzyć różnicy ani w kuchni, ani w przysmakach do których był przyzwyczajony — wszystko szło zwyczajnym porządkiem jakby był zawsze panem Lewalodowa. — Maciej tylko jeden wiedział o tajemnicy — o cudzie rozmnażania chleba. — P Legnicki chociaż sprzedał swe dobra, pozostały w nich zawsze przywiązane serca włościan do dawnego pana — które ani

kupić — ani sprzedać się nie dadzą. — Gromada dowiedziawszy się o rzeczywistym położeniu Szambelana, postanowiła kwartałowie dostarczać na jego potrzeby wszystkich wiktuałów — mąka — krupy — słonina — wszystkie gatunki drobiu przysyłano z Lewaldowa, każdy z gospodarzy na wyścigi się ubiegał aby jego produkta były lepsze, a gospodynie aby drób był tłuściejszy — Maciej długo się wahał z przyjęciem tego dobrowolnego zobowiązania się gromady — ale widząc że odmówienie byłoby najboleśniejszém dla niéj, iż mogliby to wziąść za pogardę ich dobrego serca, zmuszony był przyjąć tę szczerą oznakę ich życzliwości — zachowanie tajemnicy przed p. Szambelanem, było głównym warunkiem stron obu. — Niedziw więc iż przy tak hojnéj pomocy Lewaldowskiéj gromady mógł Maciej bez wielkich wydatków porządnie dóm utrzymać.

P. Kornelija wstawszy z rana, po przygotowaniu kawy dla ojca z świeżą zawsze bułeczką — pracowała w ogrodzie, naradzała

się z Maciejem nad urządzeniem dobrego obiadu — o dziewiątéj wychodziła w towarzystwie ojca na Mszę Ś. do Kapucynów — po obiedzie czytała mu gazety, gdy się on udawał na krótki spoczynek zajęta była ręczną robotą — po herbacie czytała mu jaką ciekawą książkę lub grała na fortepianie — a po wspólnéj wieczornéj modlitwie wszyscy rozchodzili się do swych pokojów. — Tam Kornelija nieraz długo tajone łzy przed ojcem wylewała przed obrazem Matki i patronki wszystkich cierpiących — dziękowała za zdrowie i wracający pokój ojca, błagała o pokój i dla siebie. — Miłość dla Cezarego wzrastała z dniem każdym — wszystkie wspomnienia przeodziały się jakby kirem żałoby, a tęsknota jak ciemna chmura wciąż zasłaniała błyszczącą w dali gwiazdkę nadziei. — Biedne serce ludzkie zaradzić sobie samo nie umie — nawet w boleści potrzebuje podziału i współczucia. — Lecz w tém usamotnieniu Bóg jéj zesłał nową pociechę i słowo przychylne jak balsam poczęło ochładzać i

goić głęboką ranę serca — tym aniołem pocieszycielem była p. Kunegunda. — Od niejakiego czasu zaczęła częściéj przyjeżdżać do Winnicy — odpust — sprawunki — kuracyje, wszystko stawało się powodem jéj kilkodniowego tam pobytu, a zawsze znalazła zręczność widzenia się z Kornelią i wspomnienia o Cezarze i o świeżo odebranych listach z zagranicy. — Niedziw że łatwo zobowiązała dla siebie Kornelię, a zwłaszcza że wiedziała o jéj szczérém przywiązaniu dla Cezarego. — Wkrótce p. Kunegunda stała się przyjaciółką i powiernicą wszystkich uczuć Kornelii — a Cezary odrębną miłością kochany przez te dwie kobiety był ogniwem wiążącém na zawsze ich serca.

— P. Szambelan zrazu ozięble przyjmujący u siebie p. Kunegundę, przyzwyczaił się do niéj, potrzebował aby nowa osoba słuchała z uwagą jego dawnych wspomnień, co z przyjemnością dopełniała p. Kunegunda żyjąc sama tradycyją i historyją. — Kornelija w jéj oczach coraz nabierała większéj war-

tości — nie tylko w niéj upatrywała podobieństwo do żony Juliusza Cezara którą prześladował Porucznik jak drugi Sylla, ale porównywała ją do Kornelii matki Grakchów lub do westałki tegoż imienia, o któréj cnotach i czystości Tacyt wspomina.

Tak cały rok przesunął się nieznacznie p. Szambelan przywykał do nowego życia. — Kościół był mu pociechą — a OO. Kapucyni najmilszém towarzystwem. — Kornelija doskonaliła się w muzyce — czytała — lecz o pracy którą miała żywić ojca, ani pomyśleć można było — samo wspomnienie wywołało boleśne wyrzuty Szambelana iż go gryzie tą myślą, jakby mu przypominała wielkość nieszczęścia z utraty majątku, iż takiego położenia by nie przeżył — nawet stary Maciej powtarzał.

— Niema potrzeby panienko — obejdziemy się bez twoiéj pracy — baw starego — pielęgnuj jego zdrowie, staraj się aby się nie nudził — oto twoja praca — chwała Bogu mamy dobry zapasik który nam na długo wystarczy.

Po takich zapewnieniach Kornelija podwajała starania około ojca, a wolne chwile obracała na korzyść ciągłego kształcenia umysłu.

Następujący rok pobytu p. Szambelana w Winnicy był nieco odmienny. — Małe miasteczka mają swoje odrębne prawa i własności — Im kto bardziéj pragnie od towarzystwa się odosobnić, tém więcéj oczy wszystkich na siebie ściąga. — Od ludzi uciekasz — oni wszędzie za tobą tropią, nic nie wymagasz od nich — każdy chciałby ci usłużyć — nikogo nie znasz, idziesz ulicą — wszyscy ci się uprzejmie kłaniają; upuścisz laskę — jakiś grzeczny kawaler zaraz ci ją podnosi; przypadkiem czychniesz — ktoś z za węgła ulicy wnet ci sto lat życzy; tak pomału swémi grzecznościami oswajają z sobą, a gdy podziękujesz za podjęcie chustki, lub za zrobienie miejsca w kościele — ot i znajomość — na drugi dzień traktują cię tabaczką — a na trzeci już przyjaciel przedstawia swego przyjaciela — i mimowolnie gwałtem wciągniętym zostajesz do towarzystwa. — Tak się dzieje

w każdéj polskiéj mieścinie, osobliwie z temi co roją pustelnicze życie wśród miasta — Taką strategyją i p. Legnicki był ułowiony i musiał się zapoznać z całém lepszém towarzystwem — składającém się ze staréj hrabiny — starszéj marszałkowéj i z odwiecznéj sędziny, a wszystkie trzy matrony udowodniły że są połączone pokrewieństwem z Legnickiemi, jedna przez prababkę stryjeczno-rodzoną, druga przez dziada cioteczno-rodzonego — a trzecia podobna do rzepiechy, sięgała analogję od Piasta czy Popiela — koło tych planet pierwszego rzędu jak satelity krążyli siostrzeńce — synowcy — i wnuki. — do tegoż towarzystwa należał przybyły z Ukrainy na kuracyję p. marszałek Rodziński stary — bez zębów — w peruce, zawsze w jaskrawe ubrany kolory, udający młodzika, lecz choć pięćdziesięcioletni kawaler nie tracił nadziei wynalezienia młodéj małżonki. Między siostrzeńcami — synowcami i wnukami szanownych matron byli filozofowie — artyści — a najwięcéj poetów, których płody były puszczane

w obieg niby pod sekretem przez babki i ciotki — i tyle geniuszów okazało się w miasteczku, iż p. Kunegunda chociaż nie ciągle tam mieszkająca, postanowiła dla dalszego rozwoju umysłowego, zaprowadzić choć parę razy na miesiąc literackie wieczory — które się rozpoczęły od czytania studiów nad życiem Juliusza Cezara — p. Legnicki był wszędzie z największą uprzejmością witany, każdy dóm chciał okazać, że się szczyci lub jego pokrewieństwem, lub przyjaźnią. — P. Szambelan był we wszystkich ustach, za najmniejszą zręcznością chciano się pochwalić tak świetnémi stosunkami. — Gdy ktoś powiedział:

— Był u mnie wczoraj p. Szambelan — zaraz odpowiadano: a ja dziś oczekuję p. Szambelana — tamten się chwalił że cały wieczór z nim przepędził, iż opowiadał mu anegdoty dworu Stanisława Augusta — dość że w każdym domu chwalono — szanowano i cieszono się Szambelanem. — P. Kornelija nie mniéj świetne miała powodzenie — hrabina — marszałkowa i sędzina wzięły ją pod

swoją opiekę, wszystkie ją chciały wydać za mąż — lecz każda protegowała innego konkurenta — wprawdzie wszystkie jeden cel miały, lecz że odrębnemi dążyły drogami i z innego stanowiska patrzały na przyszłe szczęście Kornelii ztąd potajemne intrygi zaczęły wichrzyć spokój poważnych matron. — P. Kunegunda zaś latała od domu do domu i jak dzwonek, głosiła o przymiotach — zdolnościach — talentach i cnotach Kornelii. — Któż nie wié że niczém jest protekcya największych panów — największych dygnitarzy państwa — niczém usługi przyjaciół — w porównaniu opieki starych kobiet — nie dziw więc iż p. Kornelija stała się bożyszczem miasteczka — kokluszem młodzieży. — Ballady, ody, poematy opiewały jéj piękność i cnoty — polonezy — mazury — ozdobione były jéj dedykacyą — ukazała się nawet *Cornelie-polka* którą po wszystkich balach w mieście i na wsi tańczono takiemi hołdami otoczono piękną Kornelię.

P. Marszałek Rodziński nie mając zdolności, ani do poezyi — ani do muzyki, a chcąc

z innymi złożyć hołd piękności — przynosił codziennie ogromny bukiet najpiękniejszych kwiatów, dołączając komplemencik w stylu znanych wierszyków — *avec la rose vous avez la ressembance* i t. d.. — P. Kornelię bawiły te hołdy, lecz ani przypuszczała nawet aby w tłumie wielbicieli znajdywali się ze stałemi zamiarami starania się o jéj rękę. — Tymczasem rzecz się miała inaczéj — Kornelija nie tylko w oko, ale wpadła i w serce p. Rodzińskiego — wszystko co żądał znalazł w jéj osobie — młodość — piękność — talenta — pragnął jeszcze bogactwa, a wieści zaczęły krążyć że ze sprzedaży Lewaldowa znaczne pozostały summy p. Szambelanowi. — Ostróżny Marszałek jeździł wprzód do p. Władysława Gromskiego, który graniczac z Lewaldowem musiał dokładnie wiedzieć o składzie interesów p. Legnickiego. — P. Porucznik chcąc usilnie aby przed powrotem syna Kornelija z kimkolwiek była zaręczona, zauważywszy że Marszałek, a do tego bogaty — nie jest partyją do odrzucenia, wszystkie serca oce-

niając według wagi złota jakby holenderskie dukaty, pewnym będąc że dukat tak ważny, nie oberznięty jakim był p. Rodziński w żaden sposob przez pannę, a tém bardziéj przez ojca odmówionym być nie może. — Upewnił zakochanego marszałka najsolenniéj że p. Szambelan ma znaczne kapitały, że skąpstwem swojém jeszcze je podwoi, lub potroi. — Tak pomyślna wiadomość podwoiła — potroiła szacunek dla Szambelana i rozżarzyła gwałtowniejszą jeszcze miłością spróchniałe marszałkowskie serce. — W nowym więc powozie — sześcią pięknemi końmi — poleciał nasz adonis bez zębów do Winnicy, z zamiarem niezachwianym starania się o rękę p. Kornelii — stary kawaler a do tego bogaty — kiedyż zwątpi o sobie? wierzcie mnie że nigdy bo on się ciągle kocha w sobie, bo myśli że jest milszy od wszystkich młodych — i ciągle szepcze każdéj młodéj pannie w ucho *że serce nie starzeje.*

W kilka godzin po wyjeździe marszałka z Judkowiec, poleciał posłaniec od Porucznika,

do znanéj już nam p. Hrabiny — która była w jakimś dalekiém pokrewieństwie z Gromskiemi, a w młodości łączył ich węzeł przyjaźni, czy miłośnéj intrygi, przypuśćmy że ta była najniewinniejszą, zawsze jednak wspomnienia *de bon vieux temps* uprzyjemniały ich stosunki w starości. — W liście swoim upraszał p. Porucznik najusilniéj, aby w dowód dobréj dawnéj przyjaźni dla niego, użyła hrabina wszelkich starań — zabiegów — by poruszyła wszystkie sprężyny swego subtelnego rozumu, do połączenia p. Marszałka Rodzińskiego z p. Kornelią Legnicką że z całą ufnością oddaję go pod łaskawą i przemożną jéj opiekę. — Po odebraniu takowego listu od przyjaciela młodości, hrabina protegując oddawna p. Korneliję użyła pod swe opiekuncze skrzydło i starego marszałka. — Nie jedne opuściła nieszpory — nie jedną koronkę odłożyła na czas wolniejszy, a zajęła się kojarzeniem téj jak nazwała *interesującéj* pary.

P. Rodziński był od téj chwili codziennym gościem w domu p. Szambelana — słu-

chał z uwagą jego opowiadań — p. Kornelii podawał chustki — nożyczki i bawełnę, a że mu zawsze brakowało wątku do utrzymania długiéj rozmowy — kręcił się na krześle, poprawiał tupet peruki i niemiłosiernie naciągał kołnierzyki. — W najlepszym sercu młodéj kobiety jest maleńka żyłka okrucieństwa, nie była bez niéj i nasza dobra i cnotliwa Kornelija. — I tak — nie raz z umysłu puszczała na ziemię kłębuszek aby marszałek go podnosił — a to w nadziei że w téj gimnastyce zleci mu peruka — to znowu gdy towarzyszył na przechadzce, jak sarneczka latała po skałach, pięła się po urwiskach i zachęcała aby marszałek jéj towarzyszył, nieraz się pośliznął — stoczył się nadół i z tego wypadku serdecznie się w duszy śmiała — to biegła goniąc za motylem, prosząc by marszałek dopomógł go ułowić — biegł — skakał stary udając młodzika jak kiedy mucha napadnie cielęcia — a ona okrutna patrzała z radością na śmieszne i niezgrabne ruchy zakochanego. — Ale i na słońcu są plamy a ta jedyna była na sercu

Kornelii — lecz czy ona temu winna że p. Rodziński był zabawny, że w pięciudziesięciu latach grał rolę chłopczyka — jakże się mogła wstrzymać od śmiechu? a może dostrzegła jego zamiary — jakże się nie pomścić tak zuchwałéj myśli. — Co do młódszych zalotników, umiała ich p. Kornelija trzymać w oddaleniu — dziwili się swéj nieśmiałości iż przy dzisiejszym przyjętym zwyczaju znajdywania się w salonie, gdzie nic już nie zatrzymuje ani powściągliwości języka, ani krępuje myśli — gdzie wszelka swoboda w ruchach jest dozwolona — w skromnym saloniku p. Kornelii jakaś nieśmiałość i obawa krępowała im mowę. — Bo p. Kornelija była wyższa od nich umysłem, rozmowa sięgała głębszych przedmiotów i przy grzeczności nie odstępowała od form prawdziwie dobrego towarzystwa, które są tamą niepotrzebnego poufalenia się z mało znanemi osobami. — Gdyby w całém miasteczku nie było modą — dobrym tonem bywać u p. Szambelana, nie jeden by zaniechał téj znajomości która ro-

dziła im niesmak i utrudzenie. — Z cicha lwy mruczeli że p. Kornelija dumna i pedantka — jeden tylko p. marszałek Rodziński niczém się nie zrażał gdy nie umiał na zapytanie odpowiedzieć — to się uśmiechał, gdy mu jakiego figelka spłatała Karnelija brał go za oznak miłości — zawsze pierwszy przychodził a ostatni wychodził. — P. Kunegunda nie wiedząc o zamiarach brata, spokojnie patrzała na jego zalety i nieraz ze szczérego serca wraz z Kornelija kosztem marszałka się uśmiała. - Pani Hrabina tymczasem pod wielkim sekretem każdemu szeptała, że p. Rodziński dobrze przyjęty jest od Szambelana iż panna mu sprzyja, i spodziewa się po rozsądku Kornelii że wybierze statecznego człowieka — a listem zapewniła przyjaciela swéj młodości iż wszelką ma pewność w skojarzeniu marszałka z Kornelija.

Stary tylko Maciej przejęty był zgrozą i nieraz pytał Korneliję.

—Poco tu łazi to stare czupiradło, jemu straszyć wruble w konopiach a nie wdawać

się w umizgi, jeszcze do naszéj panny — niech panna da tęgiego odkosza — bo dali Bóg nie wytrzymam i sam mu zawiozę harbuza — już na pierwszym podskoku ściąłem jak kosą tego pajaca — ale czuję że na tém nie koniec.

Prawdę mówił poczciwy Maciej że ściął już raz marszałka. — Trzymając się tradycyi starych kawalerów czuł się w obowiązku p. Rodziński hojnie opłacać każdą doznaną usługę w domu panny o któréj się starał rękę. — Wierny temu zwyczajowi gdy Maciej wieczorem do bramy go odprowadzał strzegąc od napadnienia psów których okropnie Marszałek się obawiał, za taką usługę dobył rubla z sakiewki i rzekł.

— Masz waspan rubelka.

— A to poco? na jaki przedmiot — dla kogo — zapytał Maciej.

— Dla asana na tabaczkę.

Maciejowi aż w nosie zakręciło jakby istotnie zażył tabakę, tak się czuł poniżonym

iż go wzięto za prostego fagasa — oddając rubla odezwał się z gniewem.

—Ja nie potrzebuję datków — ani prezentów—nie tylko na tabakę ale i na wszystko mi wystarcza. — Jegomość schowaj swego rubla i użyj go lepiéj na dosztukowanie peruki, gdyż widać mu z tyłu na dwa cale wygoloną głowę.

--P. Marszałek wybiegł zawstydzony a od téj pory Maciej znienawidził p. Rodzińskiego — nie chciał już go więcéj odprowadzać—i nieraz boki sobie ze śmiechu zrywał, jak marszałek rejterując się tyłem wywijał lasko broniąc się od natarczywego psów napadu.

Tak niby weseléj jak w początkach, dobiegał rok drugi pobytu p. Legnickiego w Winnicy.—P. Szambelan był spokojniejszy— Maciej prowadził obróty kapitalikiem i z małym jego uszczupleniem na wszystko starczyło. P. Kornelija wśród rozrywek często się śmiała, lecz jéj twarz bladła i widocznie mizerniała.

POWRÓT.

Trudno oznaczyć prawdziwą piękność — znawca będzie prawił o liniach — o regularności konturu — i kształtnych formach — mimo jednak powabnych rysów, połowa ludzi bez najmniejszego wrażenia spójrzy na piękność, gdy druga w zachwyceniu czołem przed nią bić będzie. — Trudniéj jeszcze określić i poznać szczęście — bo każdy według swych wyobrażeń go tworzy — ktoś zakłada szczęście na dostatkach — wszystkich więc bogatych nazywa szczęśliwémi — ten na zaszczytach i mniema że są niemi ci którzy dzierżą władzę i dostojeństwa — inni szukają szczęścia to w nauce — to w pracy — to w miłości — to w oderwaniu się od ziemi — to w zimnéj

obojętności na wszystko — to w wykwintnym stole — to w próżniactwie — i jeśli ktoś ulubiony im przymiot posiada — wołają z zazdrością — oto prawdziwie szczęśliwy człowiek! Nic niema względniejszego — nic bardziéj nie oznaczonego — nie dającego się schwytać w jedną formułę jak szczęście — a po długiém rozbiorze serc ludzkich — po odczytaniu tajemnéj księgi uczuć każdego człowieka w szczególności, powtórzysz prawdę przeklepaną — starą — że nie masz szczęścia na ziemi.

Nasza p. Kornelija była uważana za najszczęśliwszą istotę: każdy, a raczéj każda cóś jéj zazdrościła, a ludzka zazdrość poniekąd jest barometrem szczęścia — ta pragnęła jéj urody — ta pięknego imienia — ta tytułu Szambelanówny inne szlachetnych form w układzie — inne wziętości i talentów, a były nawet takie co jéj pozazdrościły starego Marszałka Rodzińskiego — mimo ogólnego odgłosu — o jakże ona szczęśliwa! P. Kornelija z ujmującą powierzchownością, z uśmiechem na ustach, cierpiała stokroć więcéj od tych co jéj szczęścia

zazdrościły. — Przyjmowała wszystkich uprzéjmie u siebie, bo wiedziała że towarzystwo rozrywa starego ojca, że rozpędza mu smutne myśli — zajęta była jego spokojem chociaż niepokój coraz silniéj ją dręczył — nawet p. Kunegunda jedyna powiernica i pocieszycielka smutków, nie mogła dobrą nowiną rozweselić osierocone serce, gdyż od trzech miesięcy żadnego listu od Cezarego nie odebrała wspólnie więc troszczyły się o jego zdrowie, wspólnie nieraz płakały, lecz dla Kornelii zostawała jeszcze łza jedna, łza krwawa — która tylko w samotności z pod serca wypłynąć mogła, którą nie tylko przed przjaciółką ale przed sobą samą zakryć by chciała — łza to najboleśniejsza — łza zwątpienia. — Kto nią zapłakał w życiu, ten jakby był na pogrzebie nie swego ciała — lecz ducha — gdzie wszystko się druzgocze, rozpada lub zamiera — zwątpienie to odmęt bez ładu — to chaos bez oznaczonego bytu, jak ptak spłoszony wiara ulata — zbłąkana nadzieja nie może przylgnąć do żadnego przedmiotu — a miłość

rozstrzelona nigdzie się skupić — nic ogrzać nie zdoła — bo jéj mieszkaniem nie niebo lecz otchłań z właściwą cechą mąk i ciemności. — Biedna Kornelija stała już nad jéj przepaścią i gdyby nie skrzydła modlitwy co ją unosiły nad czyscową otchłanią zwątpienia, wpadłaby w nią gniecіona jednym tylko grzéchem — nieufności — walka i niepewność niszczyły jéj zdrowie — serce ojca przeczuwało cierpienie dziecięcia — każdy jéj smutek odbijał się mu w duszy — bladość jak żywy rumieniec go trwożył. — Nieraz wieczorem przysłuchiwał się jéj muzyce — w akordach łowił iéj myśli, a gdy zajękła rzewna nóta, gdy w dzikich i rzewnych tonach rozlał się jakby krzyk serca, starzec się porywał z miejsca, biegł do córki i pytał.

— Co tobie mój aniele.

— Nic drogi ojcze.

— Lecz czegoż łkają tak twe nóty.

— To nie moje ojcze — jest to specio z Luczi — Lamermoor.

—Kiedy ja w nich czułem jakby śpiew twego serca.

—Uspokój się drogi ojcze – rozumiem ten krzyk boleści, lecz twoja córka nie jest nieszczęśliwą i nigdy nią przy tobie nie będzie.

Wówczas rzucała się na szyję ojca — okrywała go pocałunkami, lecz wśród tych serdecznych uścisków, które o rodzinném szczęściu świadczyły, oboje płakali. — Ileż to razy Szambelan zrywał się wśród nocy i szedł pocichu do pokoju Kornelii — przysłuchiwał się jéj odetchnieniu, czasem ręką dotknął jéj czoła, a gdy się przekonał że jakiś sen straszny napróżno go spłoszył, patrzał z zachwyceniem na twarz pełną pokoju i ucałowawszy jéj zwieszoną rękę, błogosławiąc ją krzyżem Ś. wracał do swego łoża, by w sennych widziadłach snuć o przyszłości ukochanéj córki. — A tak te dwa serca związane silną miłością — gotowe do wzajemnych poświęceń dręczone były potajemnie, jednymże przykrym uczuciem — obawą. — Kornelija nie mając oddawna

żadnéj wieści o Cezarze, przy wzrastającéj tęsknocie wpadała w coraz bardziéj dręczącą niepewność, a myśl sama że mógł o niéj zapomnieć mąciła przeszłość całą — a w przyszłości widziała przed sobą rozpacz — nienawiść lub śmierć. — Biedny ojciec czytał w jéj duszy i jak więzień oczekując wyroku, czekał ciosu który zakrwawiając serce Kornelii mógłby go zabić — lecz czyż on się troszczył o własne życie? mniéj go cenił, niż jedną łzę córki. — Prosił codziennie Boga aby choroby — boleści — całe mąk pasmo zlało się lepiéj na jego starą głowę, niż choćby na chwilkę smutek miał zachmurzyć jéj czoło — a gdy czasami dostrzegł jéj bladość wnet czarne myśli tworzyły obrazy tak straszne, iż starzec oczy zakrywał — tarł czoło — a nie mogąc odpędzić widziadła śmierci upadał zemdlony. — Jedna modlitwa była mu lekarstwem, a ufność w miłosierdzie Boże iż nie da mu większéj boleści nad jego siłę chroniła go od rozpaczy. Lecz nim więcéj się obawiał o zdrowie Kornelii tém coraz wię-

kszą miłością ją otaczał — w sercu jego ojcowskiém wyrodziła się troskliwość matki — myśli — serce — życie całe nią tylko zapełnił — w jéj uśmiechu było całe szczęście — w jéj smutku — trwoga o jéj życiu — sroższa nad wszystkie męczarnie.

Gdy w domu p. Szambelana pokój coraz bardzéj mącić się zaczynał — gdy myśl o Cezarze stawała się coraz bardziéj boleśniejszą — w téj chwili w Judkowcach witano go z radością z dwuletniéj podróży. — P. Kunegunda po dwakroć rzucała się mu na szyję, witała go to jak syna — to jak bohatera wracającego z wojennéj wyprwy, zarzucała go zapytaniami i pocałunkami. — P. Władysław Gromski nie mniéj był zadowolony z powrotu Cezarego, zwłaszcza że ujrzał go zdrowym — rumianym — wesołym — jakby żadna tęsknota nawet nie przeszła mu przez serce. — Oboje patrzali z ciekawością mu w oczy, jakby chcieli wyczytać co się dzieje w jego duszy — według swych życzeń tłumacząc jego radość, powta-

rzali sobie w myśli zupełnie przeciwne słowa — p. Porucznik z uśmiechem szeptał pocichu.

— On już ją przecie zapomniał.

A p. Kunegunda z westchnieniem mówiła w duchu.

— O jakże on ją stale kocha.

Mimo tak sprzecznych domysłów ojciec i ciotka chcieli się jak najprędzéj pozbyć niepewności — po kilkogodzinnéj rozmowie o podróży, niecierpliwa p. Kunegunda rzekła.

— O mój Cezarze — powrót twój przypomina mnie średniowiecznych rycerzy, bo i ty powracasz z walki i sroższych miałeś nieprzyjaciół jak Saracenów i Maurów — bo przez lat dwa walczyłeś z tęsknotą i niepokojem — teraz zwycięzca po dwuletniéj próbie z nieskalanym uczuciem, uklękniesz przed panią twego serca prosząc o nadgrodę.

— O dobra ciotko — ściskając rękę Kunegundy rzekł Cezary — tyś zawsze opiekunko moich najdroższych uczuć, dziękuję ci żeś pierwsza ośmieliła mię zapytać o Kornelii — wyznaję że jakieś smutne przeczucie ciągle

mię trapiło — zdało mi się że ją utracę — żem niegodzien tego szczęścia — myślałem że to uczucie ją zabje — to znowu nękała mnie boleść straszniejsza od śmierci — że o mnie zapomni.

— Ona zawsze twoją — wykrzyknęła p. Kunegunda.

P. Porucznik niezadowolony z téj rozmowy przerwał gniewnie.

— Co ty wyplatujesz Kundziu — bałamucisz chłopcu głowę, ani Saraceni, ani Maurowie przeciw niemu nie walczyli, poprostu zjawił się konkurent nie wschodniego pochodzenia — ale bogaty ukrainiec Marszałek Rodziński — Szambelanowi do smaku przypadły jego włoście i nie dziw bo to piękny majątek — a panna trzpiot, jak wszystkie panny na świecie, ujęta komplementami i ciągłém nadskakiwaniem kawalera, przyrzekła mu swą rękę.

— To być nie może ojcze — zawołał Cezary.

— To bezczelne kłamstwo, wołające o

pomstę do nieba — z gniewem wrzasnęła Kunegunda.

P. Porucznik uśmiechnął się na obydwa wykrzykniki, pewny zwycięstwa dobył kilka listów i rozrzuciwszy je rzekł do Cezarego.

— Na moją nieposzlakowaną uczciwość — na mój drogi honor, nie mam żadnéj przyczyny używać fałszu, przekonaj się sam o prawdzie — odczytaj listy Hrabiny naszéj krewnéj, która przez dwa lata mieszkała w Winnicy i w ciągłém jest towarzystwie Kornelii — byłem ciekawy jéj postępowania — dwa lata próby położyłem za warunek aby się przekonać czy godna jest twego uczucia, czy nie interes ją prowadzi połączyć się z naszą możną rodziną. — Zaraz po twym odjeździe tłum młodzieży ją obskoczył — po długich kokieteryjach rozsianych na prawo i na lewo — wybór uczyniła nie wedle serca lecz poszła za rozsądkiem — w kąt odpędziła wymuzgane twarzyczki a wybrała najbogatszego z konkurentów p. Marszałka Rodzińskiego — co chciała pozyskać z tobą znalazła w drugim — mniej-

sza o przymioty, ale zawsze mieć będzie dobra i pieniądze. — Taki świat mój Cezarze — takie są wszystkie dążnoście — żyjemy w takim wieku i jesteśmy jego dziećmi — śmiesznym uczuciem niech się rządzą głupcy — a nam kierować się należy rozsądkiem. — Kornelija dała ci przykład — w mojém nawet przekonaniu nie winię ją wcale.

— Przebacz ojcze — rzekł zmieszany i drżący Cezary — przebacz! lecz wierzyć twym słowom serce me nie może — byłby to cios nad moje siły — stracić wiarę w jéj uczucie jest boleśniejsze jak postradać życie. To jakieś pozory — jakieś szkaradne plotki.

— Tak — tak — Cezarze — przerwała Kunegunda — tak plotki ale nie pozory — na jéj czystą i piękną duszę nawet pozór paść nie może.

Odwróciwszy się do Porucznika — rzekła.

— A ciebie zapytam — jak pytano niegdyś Roderyka — „Czy masz ty serce“?

— A ja cię zapytam Kundziu — czy masz

ty rozum? masz śmiałość zaprzeczać najoczewistszéj prawdzie — słuchaj Cezarze.

Rozwinął p. Władysław jeden z listów leżących na stole i głośno czytał.

»Co do p. Kornelii Legnickiéj donoszę ci mój kochany Poruczniku, że tłum wielbicieli zaczyna się przerzadzać — uporczywie jeszcze walczą Alfred siostrzeniec Marszałkowéj — Henryk wnuk Sędziny, i Rodziński mój daleki kuzyn — jemu najlepiéj dotąd interesuje. — Poczciwa Marszałkowa przestała z tego powodu bywać u mnie, wczoraj nie ukłoniła mi się na spacerze i rzuciła pogłoskę jakoby p. Rodziński miał liszaje na całym ciele — co jest wierutném kłamstwem. — Sędzina grając w marjasza z K. Kanonikiem w niżniku dzwonkowym upatrywała podobieństwo do p. Rodzińskiego i ta święta matrona nie mogła się wstrymać od zazdrości że mój kuzynek lepiéj jest widziany od jéj ukochanego Henryczka. — Ten trzpiot Kornelija jest kością niezgody — radabym aby uczyniła wybór, bo pocóż nam kobietom poświęconym

dewocyi mieszać się do intryg miłośnych i mieć jakąś urazę w sercu — wszystkie powtarzamy »i odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy« — lecz to odpuszczenie odkładamy ciągle do jutra — powiem ci nawet pod wielkim sekretem mój kochany Poruczniku że z tego powodu K. Hipolit zagroził odmówieniem rozgrzeszenia — gdyby to nastąpiło byłoby gadaniny na rok cały i potwarze latałyby po mieście — bo wiész że tu się nic nie utai. — Chciałabym temu wszystkiemu koniec już położyć i namówiłam Rodzińskiego aby jutro się oświadczył p. Legnickiemu — wszelkie jest podobieństwo że otrzyma jéj i ojca zezwolenie — już jam to wprzódy dobrze zgłębiła — mam wszelką pewność — ależ wówczas będę tryumfować i upokorzę stronników Marszałkowéj i Sędziny — będą się wściekać ze złości — ale pocóż zawsze liżą mnie w drogę, ja zajęta modlitwą ani myślę o światowych marnościach. — Ukarać ich trochę żądam — i nic więcéj, bo cóż mię rozgniewać może? — czyż dziś mogę mieć żal do kogo-

kolwiek? — Jutro więc kończy się ostatni rozdział romansu — to prawdziwy romans — bo mój kuzynek na prawdę zakochany — tak ten trzpiot potrafił rozdmuchać ostatnią może iskierkę w jego sercu że dziś bucha płomieniem — ledwo nie pęknę nieraz od śmiechu. Daj Boże miłosierny aby później z pod peruki nie wylazły mu rogi. — O szczegółach oświadczenia doniosę ci mój kochany Poruczniku pojutrze — nauczyłam go jak pacierza — powinien dobrze wyrecytować — co tam ochów! — ochów! padania do nóg — prawdziwie pocieszna komedyja. — Idę na nieszpory, muszę więc kończyć — niech Bóg błogosławi ci we wszystkich zamiarach twoja przyjaciółka.

Odczytawszy list Hrabiny — rzekł p. Władysław.

— A cóż Cezarze — ojciec zawsze ma słuszność — zauważałem oddawna płochość dziewczyny — dowody masz jasne, przekonałeś się o prawdzie, zapewne że smutnéj dla ciebie — ale taki świat dzisiaj — pokaż że i ty masz rozsądek — że nie jesteś babą lecz

synem żołnierza — że jesteś wyższy nad wszystkie cierpienia.

— Ojcze ten list jeszcze mię nie upewnia o mojém nieszczęściu, na wieść która ma pozór miejskiéj plotki nie mogę potępić cnotę téj, któréj więcéj ufam jak sobie — którom ukochał nad wszystkie istoty na ziemi — dla któréj tylem przecierpiał, tyle łez wylał — czyż ona miałaby mnie zapłacić niewiarą? czyż wszystko ma być brudne i nikczemne na ziemi? czyż w jéj anielskim sercu piękność i miłość jest tylko złudzeniem — czyż cnota jest tylko szatą którą przewdziewamy się według potrzeby? czyż niema nic świętego — nic stałego w krainie nawet ducha? O nie! to być nie może — ziemia nie jest piekielną otchłanią. — Kornelija nie może być szatanem — lecz jest i będzie wiecznie mym aniołem.

P. Kunegunda nie dała daléj mówić Cezaremu, lecz zawiesiwszy się mu na szyi — wołała.

— Cezarze! chlubię się tobą — więcéj jak matka Grachów swemi synami — tyś jéj godny —

byłam powiernicą jéj uczuć — dziś całą prawdę dowiesz się ode mnie — lub lepiéj nic ci nie powiem jedź sam przekonać się o jéj stałości.

— Kundziu — przerwał p. Władysław — chcesz mego syna wystawić na pośmiewisko — w dzień przyrzeczenia komu innemu wyprawiasz go, chyba aby Szambelan urągał się z jego cierpienia — a panna aby go upokorzyła swym szyderskim uśmiechem. — Na mój honor — to głupia rada — jechać po oczewistego harbuza i jeszcze do hołyszów.

Cezary rzucił się do nóg ojca i rzekł.

— Pozwól abym dziś jeszcze mógł się zobaczyć z Kornelią a najświęciéj ci przyrzekam, że cień jéj obojętności, najmniejsza zmiana w jéj sercu, zerwie silne ogniwa które nas dziś łączą — nie oni mną, ale wówczas ja niemi pogardzę. — Nie łzy rozpaczy ale iskry zemsty i nienawiści ujrzą w mych oczach — lecz ojcze mniemam że téj męczarni serce me nie dozna — pozwól niech o prawdzie sam się przekonam.

P. Porucznik po kilku chwilach namysłu — odpowiedział.

— Mniejsza o to — możesz dziś nawet jechać — odwiedzisz najprzód naszą krewnę Hrabinę — ona ci bezstronnie o całém postępowaniu Kornelii oświeci. — Zasięgniesz jéj rady i postąpisz jak przystoi na człowieka, który nie tylko własną godność umie szanować, ale dba o honor starożytnego imienia które nieskalane wziął po ojcach w puściźnie. — Jedź przekonaj się o prawdzie o któréj niestety! jestem aż nadto przeświadczony — ale pod warunkiem aby ci Kundzia nie towarzyszyła — ona gotowa kota do góry ogonem rzewrócić — uprzedzi o twym powrócie, lub egzaltacyją wmówi w ciebie że Kornelija to wzór stałości i poświęcenia.

— Przewybornie p. Poruczniku — przerwała obrażona p. Kunegunda. — Zostanę — zostanę dla kaprysu pana brata, będziem się tu nawzajem pilnować, aby czasem z jego strony jaki bilecik nie poleciał do Winnicy

przed przyjazdem Cezarego, teraz rozumiem co znaczą odnowione stosunki z Hrabiną.

P. Władysław powstał — okręcił się parę razy koło zwierciadla - poprawił kołnierzyki — grzebykiem przyczesał bakiembrody i rzekł z uśmiechem.

— Te stosunki odnowione znaczą — *qu'on revient toujours à ses premiières amours.*

— Cha — cha — cha — piękny kupidyn — podobniejszy jesteś braciszku do Saturna.

— A ty siostruniu do Meduzy — lub staréj parki.

— P. Porucznik nie jest szczęśliwy w porównaniach.

— Kundziu — przecież to porównanie mytologiczne powinno ci się podobać.

— Twoje koncepta braciszku jakby z kalendarza.

— A twoja erudycyja jakby z Mendingiera.

Rozpoczęte przemówki coraz głośniéj podnosząc się przebudziły Cezarego z rozmyślania — ucałował ojca i ciotkę i rzekł.

— Zegnam was — jutro wrócę — podzielić się z wami mém szczęściem — lub.....

Zakrył oczy — i kilka łez ztoczyło się mu po twarzy.

— Nie trwoż się bądź dobréj myśli — przysięgam ci za jéj stałość — zawołała Kunegunda.

— Bądź mężnym synu — strzeż się by cię nie oszukano, wstyd aby płocha kobieta więcéj nad jedną godzinę mogła cię zasmucić.

Cezary wyleciał z pokoju jak szalony — zabrawszy z sobą małe pudełeczko i list — w kilka minut pędził już czwałem po Winnickim trakcie.

Jak wicher miotając się na wszystkie strony porywa chwasty i śmiecie — wyrywa kwiaty — otrząsa różnokolorowe listki i zmieszawszy je z kłębem kurzu leci po przestworzu — tak Cezary gnany burzą serca zbiera myślą każde słowo ukochanéj dziewicy, skupia wszystkie wspomnienia — to słyszy jéj głos anielski — to widzi szyderski uśmiech — to miłość — to zemsta nim miota — i mgłą niepewności serce i umysł okryte pędzi rozbić

się o skałę — lub wzlecieć w niebiosa — z myśli i uczuć zdać sam sprawę przed sobą nie może — jakby pierwiastek nie rozwinięty wszystkich uczuć w chaosie — i przejrzeć mu trudno przez chmurę zwątpienia — wié tylko że leci po szczęście lub rozpacz.

Już wjechał na przedmieście — turkot powozu po długim moście nie ocucił go z zadumania — patrzał na Boh z obojętnością jakby na kałuże błota — mijał już mury po Jezuickie — gdy usłyszał te słowa.

— A słowo stało się ciałem — dali Pan się nie mylę — jako żywo — to p. Cezary Gromski.

Obejrzał się — i wnet wyskoczył z powozu i z żywém uczuciem ściskał już w swych objęciach poczciwego Macieja, który wołał z radością.

— A przecież doczekaliśmy się pana — niedarmo cały dzień wczorajszy wrzeszczała sroka na naszéj topoli — ja mówiłem że będą goście zdaleka — z jakiejś wielkiéj podróży — p. Szambelan mrugnął na mnie abym zaprzestał prorokować, bo pannie już się łzy w oczkach

kręciły — a stary myśli że to się jéj rzadko wydarza, ale przed Maciejem nic się nie ukryje — czuwałem ciągle nad nią i żadne westchnienie, żadna łza nie uszła przedemną — szczęście żeś pan powrócił, gdybyś jeszcze pół roku podróżował nie zastałbyś już ją z nami.

— Cóż to Macieju — przerwał Cezary — czyż chciano ją zmusić do wyścia zamąż.

— O! nie zastałbyś ją w cudzém objęciu na ziemi — lecz na łonie Boga w Niebie.

— A więc chora Kornelija — mów kochany Macieju.

— Zmizerniała — a tęsknota — niepewność to trucizna dla młodych — chcieliśmy ją rozrywać, w początkach niby te lekarstwo pomagało, w dzień się śmiała z drugiemi, a w nocy rzewnie płakała — dziś całemi dniami siedzi milcząca, a w nocy zamiast snu marzy — wymawia jakieś niedokończone słowa — to wstaje i obiega nasz ogródek, lub padłszy przed starym obrazem Najświętszéj Panny modli się gorąco. — O mój panie, gdy jéj łez nie stało, stary Maciej płakał za nią — bo

komuż serce się nie ściśnie patrząc na jéj cierpienia — ukrywałem ile mogłem jéj stan przed jegomością — bo pewny jestem że nieprzeżyłby boleści córki — niech Bóg mnie odpuści żem ciągle zwodził starego — gdy mnie po sześć razy w nocy posyłał do panny, zawsze mu wróciwszy, odpowiadałem że śpi sobie spokojnie — jegomość usypiał, a jam zdaleka czuwał nad nią. — Dziś może to wszystko Bóg odmieni.

Cezary znowu rzucił się Macieja, oblewał twarz jego łzami, wołał.

— Dziękuję ci Macieju za pieczołowitość twoją nad niemi — dziękuję że i mnie powracasz szczęście i życie.

— Albo i p. chory.

— Wszak sam mówiłeś Macieju że tęsknota i niepewność to trucizna — a jam miał przytém i piekło w duszy — bo zwątpiłem o niéj.

— A to się niegodzi mój panie — to szatan chciał go opętać.

— Mówiono mi nawet Macieju że przy-

rzekła oddać swą rękę jakiemuś Marszałkowi Rodzińskiemu.

— Cha — cha — cha — rozśmiał się Maciej — to chyba pozwolono sobie żartować z pana — wszak to kawaler w mym wieku — śmieszny jak pajaco — z niego to cała pociecha w naszym domku — co za kontorsyi i krygi wyrabia — istna małpa — lecz i on przestał ją bawić — zastaniesz go pan pewno u nas bo ciągle łazi. — Byli lepsi a poszli z kwitkiem, a dopiero ten grat niepotrzebny — Bóg mi cię tu zesłał Macieju — odżyłem na nowo, tyś mnie zwiastował najwyższe szczęście — i ja jestem posłannikiem pomyślności waszéj — chodź — chodź prędzéj Macieju — prowadź mię do was — od dziś prawdziwe szczęście zaświeci nad nami.

— Wszyscy godni jego jesteście — rzekł Maciej — i nigdym o szczęściu dla was niewątpił — gdyż życie pełne poświęceń i miłości nigdy u Boga nie zostaje bez nadgrody.

Szli oba spiesznym krokiem, dążąc na Dominikańską jurydykę do domku p. Szam-

belana Legnickiego. — Zapomniał Cezary o rozkazie ojca udania się najprzód do Hrabiny — wszystko mu znikło z pamięci — trwogi uleciały z serca, gorzał tylko miłością i chęcią padnięcia do nóg Kornelii błagając o przebaczenie, iż na chwilę czystość jéj uczucia mógł splamić nieufnością. — Ależ na czyimże sercu taki grzéch nie cięży, komuż w oddaleniu nie stoje przed oczyma straszne widmo zwątpienia? komuż boleśna skarga na najukochańszą istotę nie zmieszała się ze łzą i westchnieniem? Doczesność nasza musi być w ciągłéj obawie utraty szczęścia, gdyż ono rzadkim — chwilowym jest gościem na ziemi — i im obojgu czysty zdrój miłości mąciła nieraz brudna kropla zwątpienia.

ZŁOTA TABAKIERA WAŻNE CZYNI ZMIANY.

Coraz smutniéj było w domku p. Szambelana, coraz trudniéj ojciec i córka ukrywali nawzajem cierpienie które niszczyło ich zdrowie i rysami boleści coraz widoczniéj odbijało się na ich twarzach. — Oboje najczęściéj siedzieli w milczeniu p. Legnicki z trwogą myśląc o córce — a Kornelija o Cezarze. — Znajomi powoli przestali ich odwiedzać, nikt prócz p. Kunegundy nie chciał smutkiem się podzielać — a z tłumu wielbicieli tylko Marszałek Rodziński według wszelkich form starającego się kawalera — coraz się zbliżał do solennéj deklaracyi — ośmielony zapewnieniem Hrabiny, nadziejami najpomyślniejszego skutku swych starań — uzbroiwszy

się w odwagę, przybył dziś właśnie rzucić się do nóg Kornelii i Szambelana prosząc o jéj rękę. — W uroczystéj postawie, w starannym lubo śmiesznym ubiorze, w ruchach niezgrabnych — w pomieszaniu, łatwo było odgadnąć starającego się kawalera, przystępującego według wszelkich reguł do urzędowego niestety! *harbuza*. — Już od godziny kręcąc się p. Marszałek na krzesełku, poprawiając to tupet od peruki to wyciągając kołnierzyki zbierał się do wynurzenia komplementu ułożonego staraniem Hrabiny — umiał go dokładnie na pamięć, lecz czekał stosownéj pory, aby nagiąwszy rozmowę na temat miłości, nie zdziwić niespodzianką — lecz przejść — według instrukcyi Hrabiny, ligami do najsilniejszego *crescendo* wylania uczuć — i w téj chwili wzniosłszy wszystkie pedały ducha, westchnąwszy *fortissimo*, paść do nóg Kornelii. — Pomysł był bardzo efektowy — przewybornie ta dramatyczna scena udawała się na próbach, lecz przed Korneliją drżał pomieszany. — Zapytania Szambelana o ukra-

ińskiem gospodarstwie, zbijały go ciągle z tropu miłośnéj rozmowy — wreście po długich walkach krzepił się myślą.

— Ja bogaty Marszałek — czegoż mam się lękać téj ubogiéj dziewczyny — głowę mnie nie zetnie — bądź co bądź oświadczyć się muszę.

I wstawszy z krzesła wyprostowawszy się — pociągnąwszy kamizelkę złażącą ciągle z brzucha — rzekł stłumionym głosem.

— O ty najpiękniejsza z najpiękniejszych pani! racz wysłuchać mię cierpliwie — jest to chwila stanowcza w mém życiu.

W tém drzwi się rozwarły — wszedł Cezary z Maciejem.

W mgnieniu oga nagła zmiana uczuć objawiła się na wszystkich twarzach — jakby po stracie ukochanéj osoby w chwili rzewnéj boleści, Bóg ją nam cudownie do życia powrócił, tak Kornelija i Cezary jakby z rozłączenia przedzielonego wiecznością, znowu niespodzianie zbiegli się na jakimś nowym szczęśliwym świecie. — Znikły z ich serca

trwogi — nieufności — zwątpienia — uleciała nawet pamięć łez i boleści — świat cały im zniknął z oczów — zdało się im że tylko ich dwoje na ziemi — że niemasz innych uczuć prócz miłości która ich duszę, przez twarz — całą przeradza — i całe niebo zapełnia — i w tym potoku uczuć zlały się ich duchy i w niemym uścisku powitania, w zachwyceniu długo — długo pozostali.

Szambelan jakby odmłodniał w jednéj chwili i biegł z serdecznym uściskiem połączyć się z niemi. — P. Marszałek Rodziński w osłupieniu patrzał na tę scenę, któréj zrazu nie mógł zrozumieć, pomieszany poprawiał tupet peruki i ciągle kłaniał się Cezaremu który nawet na niego nie zwrócił uwagi.

Po kilku słowach rzuconych bez ładu — po tysiącznych z obu stron zapytaniach, gdy pierwsza chwila uniesień minęła — Szambelan zapoznał swych gości — a widoczny uśmiech zadowolenia rozlał się po twarzy Cezarego gdy ujrzał p. Rodzińskiego starym — śmiesznym

i niezdolnym nawet na chwilkę wzbudzić zazdrość lub obawę.—P. Marszałek przeczuwał że był natrętnym gościem, ale czy dla zrobienia małéj przykrości Cezaremu, czy dla prostéj ciekawości pozostał—usadowiwszy się w milczeniu obok p. Legnickiego.—Rozmowa ożywiona uczuciem stała się wesoła i zajmująca.—Po niejakiéj chwili Cezary zbliżył się do Szambelana, ucałował jego rękę i wręczył mu małe safianowe pudełko z przyłączonym listem.—P. Legnicki zajęty całkiem radością córki — machinalnie i bez żadnéj myśli rozwijał zwolna pudełko — lecz gdy otworzył — krzyknął tak przeraźliwie głosem radości i zdziwienia, iż wszyscy przytomni z miejsc się swych zerwali i biegli jakby na ratunek Szambelana, który blady — w milczeniu tulił do piersi pudełko i płakał jak dziecie — gdy Maciej go orzezwił szklanką, zimnéj wody, gdy atak nerwowy przeszedł — zawołał Szambelan.

—Boże! z nią wróci szczęście do mego domu—patrzcie—opiekuńczy talizman znowu

dzierżę w mym ręku — do śmierci już on mnie nie odstąpi.

I wszystkim przytomnym okazał znaną nam złotą tabakierę, którą wciąż całował i tulił do piersi.

— Kochany Cezarze — rzekł — jakimże cudem najdroższa pamiątka powraca do mnie.

— List ci to wszystko wyjaśni.

Maciej stojąc za krzesłem Szambelana — szeptał.

— Miałem przeczucie że ona wróci do pana — poświęciłeś ją dla spokoju własnego sumienia — dla dopełnienia obowiązków ojca — dla zapewnienia niezależnego bytu i spokoju swéj córce — a każde poświęcenie nie zostaje u Boga bez nadgrody. — Wraca ona do swych właścicieli jako zwiastunka pomyślności. Wraca dla świadectwa że Opatrzność Boga nie przestaje czuwać nad cnotliwemi.

Uspokoiwszy się nieco z uczucia nowéj radości, wszyscy byli ciekawi treści listu, który miał wyjaśnić niespodziewany powrót złotéj tabakiery — zasiedli w około Szambelana,

on zerwawszy pieczątkę — rzucił okiem na podpis i zawołał.

— List od mego brata! — a więc Bóg i jego mi powraca — myślałem że oddawna przeniósł się do wieczności — więc go widziałeś Cezarze — mów mi o nim — czy zdrów! czy o nas nie zapomniał? jak się mu powodzi.

— Wszystkie szczegóły naszego spotkania opowiem Szambelanowi — odrzekł Cezary — lecz wprzódy może zechcesz usłyszeć w liście słów jego własnych.

— Dobrze — dobrze — słuchajcie.

Rzekł p. Legnicki i nałożywszy okulary czytał głośno następujący list brata.

— »Najdroższy sercu memu panie bracie — po wielu latach milczenia odbierzesz tę moją kartę, nie sądz aby zapomnienie — lenistwo lub lekceważenie rodzinnych naszych związków były przyczyną iż od tak dawna nie zgłaszałem się do was. — Mimo krwi łączy mię z twém dobrém sercem węzeł nadto święty, aby kiedykolwiek mógł być rozerwany. Wdzięczność moja dla ciebie za tyle dobrodziejstw —

i łask doświadczonych w różnych alternatach mego losu, codziennie wołać nie przestaje do Pana zastępów by cię wszelką pomyślnością na ziemi — a królestwem niebieskiém po najdłuższém życiu nadgrodził. — O tę ostatnią nadgrodę oddawna proszę Boga, bom myślał żeś już się przeniósł do wieczności. — Smutne wieście o tobie podwakroć zakrwawiły me serce — *primo* — wiész jak serdecznem afektem zawsze cię kocham — *secundo* — że ciężył na mém sumieniu dług święty, nieuiszczony przed tobą. — Gdym w smutnéj niepewności o twém życiu zostawał, następująca okoliczność potwierdziła wieść twego zgonu. — Wiész najdroższy bracie, że od dziada, czy pradziada familijném naszém zamiłowaniem jest upodobanie w antykach — tutejsi handlarze przewąchali moją słabą żyłkę i nieraz przychodzili z jakąś rzadkością. — Jak każdy antykwaryusz tak i ja płaciłem z początku nie pośledne frycówki, podobało się to tutejszym niemcom - i wciąż póki nie nabrałem wprawy w ocenianiu starych pamiątek byłem najdo-

godniejszą dla nich praktyką. — Parę lat temu pewien tutejszy bankier, z którym wciąż miałem handlowe stosunki, przyniósł do mnie, jak powiadał antyk pochodzący ze sprzętów któregoś naszego króla. — Była to złota tabakiera — tylko com wziął ją do rąk moich, poznałem w ten moment nasz talizman familijny, dar nayjaśniejszego Pana Augusta III dany ś. p. najukochańszemu naszemu ojcu. Co zażądał zapłaciłem — i z zdziwieniem wielkiém bankiera, począłem ją całować i gorzkiemi oblewać łzami — bo wiedziałem że żadna niefortuna nie mogłaby cię zmusić do jéj sprzedaży — musiano więc ją sfrymarczyć po twojéj śmierci. — Wziąłem więc to za dowód oczewisty twego zgonu — i dziękowałem Opatrzności że ta najdroższa pamiątka rodzinna, szczególnym trafem dostała się w moje ręce. — Tak jak ty mój bracie znasz wszystkie usługi jakie ten talizman ś. p. ojcu naszemu i tobie wyświadczył — z ilu pięknemi waszemi czynami jéj byt jest związany, drogą więc tę relikwię nosiłem wciąż przy mém sercu — do

codziennego użycia obróciwszy, ile razy szczyptę tabaki z niéj wziąłem, zawse nasz ojciec i ty kochany bracie stawaliście mnie przed oczyma. Opisawszy ci jakim sposobem byłem przeświadczony żeś umarł — dowiedź się teraz jakim wypadkiem przekonałem się że żyjesz.

Pewnego pięknego wieczoru, dla agitacyi i rozrywki poszedłem do publicznego tutejszego ogrodu, siedziałem zadumany na ławce, gdy tysiące figur jak zwykle przesuwały się przedemną. — Jeden młodzieniec zwrócił moją uwagę — w całéj postawie, w wyrazie twarzy odbijał się głęboki smutek — znurzony przechadzką usiadł koło mnie — spoglądałem wciąż na niego, lecz gdy cóś zaczął szeptać do siebie — uśmiechać się — to znów zamyślać — osądziłem go za waryjata, a wiész jaki ja mam wstręt do nich — odsunąłem się więc nieco i dobywszy tabakierę zacząłem ją w mym ręku obracać. — Młodzieniec przeraźliwie wytrzészczył na nią oczy, aż mrówie przeszły

po ciele, i gdym chciał ją schować, rzucił się na nią jak jastrząb na kurę i zaczął wołać.

— To złota tabakiera — to ona — życie panu za nią oddam. Te słowa utwierdziły że biedny młodzieniec jest *mente captus* — odtrąciłem go gwałtownie, gdyż zdało mi się że wpadłszy w furyję do gardła mi się dobierze — spiesznie zmieszałem się w tłumie i bocznemi ciemnemi ulicami wyniosłem się z ogrodu.

U nas w mieście różne *casusa* się wydarzają — człowiek się z niemi oswaja i nie długie czynią wrażenie — kilka chwil zajął mnie ten wypadek i wkrótce o nim i o biednym młodzieńcu zapomniałem.

We dwa tygodnie zrana meldują mnie jakiegoś nieznajomego pana — po nazwisku poznałem że rodak — kazałem więc go przeprosić że nie jestem ubrany, lecz jeśli ma pilny interes wejść nie wzbroniłem. — Jakież moje było zdziwienie gdy w gościu, poznałem mego obłąkanego młodzieńca. — Tą razą był spokojny co mię niezmiernie ucieszyło —

dowiedziałem się z słów jego, że przyszedł przeprosić za gwałtowny swój napad w ogrodzie — prosząc jednak abym mu na chwilę pozwolił się przypatrzyć mojéj złotéj tabakierze — niepodobało mi się to żądanie, gdyż na oczywistego oszusta wyglądało, ale we własnym domu, nie tyle się lękałem warjata, po krótkiém więc wahaniu się wręczyłem mu tabakierę. — Gdy ją pilnie obejrzał — wykrzyknął z radością.

— To złota tabakiera p. Szambelana Legnickiego, którą Król August III ofiarował Kasztelanowi jego ojcu — ty musisz panie mi ją zwrócić, abym po moim powrócie do kraju oddał Szambelanowi tę pamiątkę familijną do któréj tyle ceny biedny starzec przywiązuje.

Te słowa przekonały mię, że młodzieniec zna ciebie — że widział tę tabakierę, że słyszał może od ciebie jéj historyję — i nakoniec iż wié z pewnością że jesteś miły bracie przy życiu. — Łatwo zrozumiesz ile zapytań w téj chwili dałem młodzieńcowi o

o tobie, o twéj córce — o waszéj sytuacyi. — Pewno dawno domyśliłeś się mój bracie — że owym młodzieńcem był p. Cezary Gromski - opowiedział mnie ze szczegółami o waszych troskach i kłopotach — okazał świeże listy swéj ciotki donoszące o sprzedaży Lewaldowa, o zamieszkaniu waszém w Winniey — poczciwa ta kobieta z najrzewniejszym uczuciem, z najdrobniejszemi detalami pisała o tobie i o Kornelii. — Przekonałem się że Cezary kocha cię i szanuje jak ojca, nie dziw że tém uczuciem pozyskał sobie prawo i do mego serca — otworzyły się wkrótce nasze duszy dla siebie i wspólnémi łzami uświęciliśmy dzień naszego bliskiego poznania się».

W tém miejscu przestał na chwilę czytać p. Szambelan, gdyż i jemu łzy się w oczach zakręciły — wyciągnął rękę ku Cezaremu na znak podziękowania, którą młodzieniec serdecznie ucałował — a Kornelja rzekła mu z cicha.

— O dobry mój Cezary - -jakie to szczęście być od ciebie kochanym.

Młodzieniec ścisnął jéj dłonie — Maciej cicho łzy ocierał a p. Rodziński zdziwiony i pomieszany z niecierpliwością oczekiwał końca listu — którego daléj Szambelan czytać rozpoczął.

» Od téj chwili przeniósł się Cezary do mego domu, i przez kilka miesięcy nieodstępnym był moim towarzyszem — nie domyślał się on nawet, jak długo badałem jego charakter, jak śledziłem nie tylko każdą jego czynność ale na wszystkie poruszenia serca patrzałem — probowałem — czy jego szlachetna dusza pokuszeniami i namową nie da się zniżyć ze szczytnego swego stanowiska, wyszedł zawsze zwycięzko — i śmiało ci powiem mój bracie że godny jest być twym synem — że wart jest ręki Kornelii — którą z całym zapałem młodzińeczego wieku kocha, którą miłuję najświętszém uczuciem«.

Po odczytaniu tych słów Cezary rzucił się do nóg Szambelana — Kornelija jakby pociągnięta tajemniczą siłą znalazła się także u kolan ojca.

— Błogosławieństwo Boże niech będzie nad wami! rzekł Szambelan i tulił do piersi Cezarego i Korneliję.

Po uroczystéj ciszy, gdy dusze bez słów w zachwyceniu i cichéj modlitwie leciały do Boga, p. Szambelan odchrząknąwszy daléj kończył list brata.

— »A teraz mój miły bracie muszę pomówić z tobą o naszym interesie. — Niech Bogu najwyższemu, Najświętszéj Pannie patronce i opiekunce naszéj będą dzięki że jesteś jeszcze przy życiu — nie wiész jak śmierć twoja nie tylko zakrwawiłaby moje serce, ale kamieniem grobowym przywaliłaby moje sumienie — nie jestem z tych ludzi co po zapłatę wdzięczności za dobry uczynek odsyłają do innego świata — chciałem i chcę ziemskie rachunki ukończyć na ziemi. — Twoje szlachetne serce, gotowe zawsze do poświęceń, ruiną własnego majątku, wydzwignęło mię z nieszczęścia — z pozycyi którąbym nigdy nie przeniósł. — Po rozpłaceniu się z moich honorowych długów z niewielkim pozosta-

łym kapitalikiem udałem się zagranicę — porobiwszy tu znajomości i dobre stosunki — jeszcze raz czart mnie skusił do gry — i byłem tak słaby że uległem méj namiętności, lecz tą razą fortuna mnie dopisała i kilka tysięcy dukatów zwiększyło mój kapitalik. — Wziąwszy to szczęście za przynętę czartowską, poszedłem do kościoła i wyspowiadawszy się przysięgłem w duchu przed Bogiem że nigdy w żadną grę się nie wplątam — Bóg mi dał siły żem nie został krzywoprzysiężcą — obracałem odtąd moim kapitalikiem nader szczęśliwie, wespół z bankierami robiłem wielkie anterpryzy — kupowałem papiery i wyobraź sobie mój bracie bawiąc się prawie, kapitał mój się dublował — tryplował — a wreście po kilkunastu latach urósł w piękną — okrągłą summę. — W banku leżało 400,000 złotych, a resztą daléj obracałem — summa złożona w banku była przeznaczona na spłacenie długu, który u ciebie przed kilkanaście laty zaciągnąłem. — Gdy mnie wieść doszła o twojéj śmierci, stwierdzoną w mém przekonaniu,

ukazaniem się twéj złotéj tabakiery — nie uwierzysz jak te pieniądze mię ciężyły — jaki wyrzut sumienia dręczył mię ciągle — odbierały mnie spokojność iż do rąk twych własnych nie oddałem długu, który mię wybawił od nieochybnéj śmierci i hańby, za którą pomoc wdzięczność najżywszą chowałem w mém sercu. Miałem już tę summę odsyłać Kornelii, gdy przybycie Cezarego odkryło mnie że żyjesz. — Przyjm więc miły bracie należność swoją z narosłemi procętami — wynosi ona summę **90,000** r. s. którą odbierzesz z Odeskiego banku — gdyż uważałem że te papiery będą ci najdogodniejsze — wiém że zgrzeszyłem opóźnieniem które ci wywołało pewno nie jedną troskę — znagliło do boleśnych poświęceń — pewny jestem że dobre twe serce, wśród najprzykrzejszych prywacyi a może i niedostatku, nie rzuciło nawet żadnéj skargi na brata — niech więc ono będzie tłumaczem mego opóźnienia — gdyż Bogiem się świadczę że zbierałem z ciągłą myślą uiszczenia się tobie. — Nie czyń żadnego skru-

pułu, prawie drugie tyle mnie pozostało, po mojéj śmierci i ta summa dostanie się twéj córce. — Bądźcie zdrowi i szczęśliwi — niech was wszystkich Bóg i Matka Najświętsza swoją opieką osłania — pisuj do mnie — adres mój znajdziesz u Cezarego — zdrowie moje podróży znosić nie może, dla tego wątpię abym mógł sam przybyć rzucić się w wasze objęcia. — Kochajcie mnie — i nie zapominajcie o najszczerzéj was kochającym —

Zygmunt Legnicki.

P. Marszałek Rodziński dosłuchawszy końca listu zelektryzowany tak znacznym zbogaceniem się Kornelii, zmieszany serdecznem przyjęciem Cezarego — obałamucony nagłemi wypadkami, bez pożegnania wymknął się z pokoju i bez czapki co się często wydarza noszącym perukę, leciał przez miasto do pomieszkania Hrabiny — z oznajmieniem o zaszłych zmianach w domu p. Szambelana.

Niecierpliwy p. Porucznik Gromski i niecierpliwsza jeszcze p. Kunegunda, chcąc rychléj się zaspokoić o skutku widzenia się Ceza-

rego z Kornelią — oboje dręczeni niespokojnością przybyli do Winnicy i w domu Hrabiny oczekiwali na Cezarego — gdy ten nieprzybywał, miano już za nim posyłać lecz w téj chwili wleciał zadyszany p. Marszałek Rodziński — myśląc ze przez dystrakcyję nie zdjął czapkę a czując że mu cóś siedzi na głowie, raptem po-hwycił za perukę i wszystkim przytomnym nią się ukłonił. — Nikt nie wiedział co ten szczególniejszy wybryk Marszałka oznaczał, jedni tłumaczyli zbyteczną jego radością, drudzy za oznakę rozpaczy — lecz wszyscy nie mogli się wstrzymać od głośnego śmiechu ujrzawszy wygoloną głowę p. Rodzińskiego.

— Co ci jest mój kuzynku — zawołała Hrabina.

— Wystrychnięto mnie na dudka — rzekł Marszałek.

— Nie chcąc być do niego podobnym — przerwała śmiejąc się Kunegunda — p. nawet swój czub zerwałeś.

Opamiętał się Marszałek — wsadził na

głowę perukę, lecz nowym wypadkiem był tak zmieszany iż chciał uciekać — zatrzymała go Hrabina i zapytała.

— Cóż kuzynku — czy ta wietrznica nie poczęstowała cię czasem jaką ogrodowiną, którą strawić nie możesz nie chce mi się temu wierzyć — powiedz — czyż się oświadczył.

— Nie — rzekł Marszałek — gdym według instrukcyi Hrabiny — *ligami* przechodził do *crescendo* — i miał upaść do nóg — wleciał niespodzianie jak bomba p. Cezary — rzucono mu się na szyję — ojciec pobłogosławił — i ten młokos zabierze pannę i miliony które na nią spadły.

— Jakie miliony? to hołysze! przerwał p. Gromski.

— Gdybym nie był słuchał rad Hrabiny — rzekł Marszałek — wszystko byłoby moje — teraz trudno to wynadgrodzić — bo istna korystyja na bogate panny.

— Ale wielki urodzaj na starych kawalerów — rzekła z przekąsem p Kunegunda i obróciwszy się do brata dodała.

—Zwycięstwo! zwycięstwo! panie bracie pierzchają nieprzyjacele przed Cezarkiem— jak pod Farsalią przed Juliuszem Cezarem— zamieszanie — popłoch — oczewista Farsalija.

—Zamieszanie tylko wiecznie w twojej głowie Kundziu—to nie Farsalija ale poprostu jakaś farsa.—Hrabina wołała do Marszałka.

—Mów kuzynku jak to się stało.

—Zaklinam cię na święty honor i na nieposzlakowaną uczciwość— dodał p. Porucznik—mów drogi Marszałku—co to wszystko znaczy.

—A co nie mówiłem—zawsze wyjdzie na moje—z swojéj strony ciągle powtarzała Kunegunda.

—Cóż kuzynku najdroższy—pytała Hrabina.

—Cóż miły Marszałku—wołał Porucznik.

—Mów chwal się swym tryumfem— krzyczała Kunegunda.

Ogłuszony tylą zapytaniami p. Rodziński— rzekł z gniewem.

—A czyż mię macie za warjata, abym

sam swoją konfuzyę opowiadał — dowiecie się sami — dziękuję p. Hrabinie za protekcyę.

I coraz głos podnosząc — dodał.

— Naraziłaś mnie p. na harbuza — zaafiszowałaś moje kawalerstwo — to się niegodzi — to brzydko — to....

— Tylko kuzynku — przerwała Hrabina — ze mną nie można *crescendo — piano — piano* — kuzyneczku.

Oburzony Marszałek do ostateczności ironiją i żartem Hrabiny zawołał zapyszony.

Za takie sztuki i żarty z Marszałkiem — nie odpowiadają *piano* — ale *basem.*

Nim Hrabina wzgardliwym wzrokiem wskazała drzwi źle wychowanemu kuzynkowi — p. Rodziński był już na ulicy.

Niepewność — domysły — a ztąd spory w kółku familjném wkrótce ustały — gdy p. Cezary przypomniawszy sobie rozkaz ojca by odwiedził Hrabinę, wszedł do niéj z bijącém sercem — upojony szczęściem i tylą gwałtownemi wrażeniami — Jak grad posypały się zapytania — i gdy zamęt słów ucichł na chwilę —

Cezary nim zebrał myśli jakby oszalał ze szczęścia — latał od jednéj do drugiéj osoby — ściskał — całował, nie pojmując aby ktoś o jego szczęściu nie wiedział — i z nim nie dzielił jego najwyższéj radości. — Po ponowionych zapytaniach, gdy trochę z silnych wzruszeń ochłonął, opowiadał z najdobitniéjszemi szczegółami, poznanie się zagranicą z bratem p. Legnickiego i ztąd szereg wypadków, które dopomogły mu do osiągnienia ręki ukochanéj Kornelii — i zmieniły ich przykre majątkowe położenie. — P. Kunegunda przerywała nieraz opowiadanie wykrzyknikami — porównywaniami historycznemi — i nieraz obcierała powieki napełnione łzami radości.

P. Hrabina padniosłszy oczy do nieba powtarzała.

— Niech mi kto teraz powie że niema cudów — to moje modlitwy za tą biedną sierotą wszystko zdziałały.

P. Porucznik zbiegiem opowiadania — rozjaśniał coraz bardziéj czoło — a spadek tak

znaczny prawie go rozrzewnił — i w końcu zawołał.

— Na moją nieposzlakowaną uczciwość, pierwszy raz pomyliłem się na sercu kobiety — myślałem że Kornelija wietrznica jak wiele innych, ale na honor przekonałem się dzisiaj, że ona szczérze cię kocha. — Nie cofam więc mojéj obietnicy i po dwuletniéj próbie, na wasz związek zezwalam.

Cezary ucałował kolana ojca — a p. Kunegunda wołała.

— A jam się nie omyliła braciszku — bo ja znam lepiéj serce kobiety — wy zepsuci — egoiści — wy nigdy nas nie pojmiecie — możecie celować w naukach ścisłych — ale psychologija braciszku — to nie rzecz wasza.

P. Porucznik tak zajęty był losem syna i zmianą swego położenia względem Szambelana — że nawet przemówka siostry nie wywołała sporu. — Cezary uprosił że mu pozwolono udać się napowrót do p. Legnickiego — a pozostali — radzili o dalszém postępowaniu i o zgodzie Porucznika z Szambelanem.

O DALSZYCH LOSACH OSÓB i TABAKIERY.

Nie tak łatwo przyszło do pojednania — nawet wdanie się p. Kunegundy i Cezarego którzy najszczerzéj byli kochani w domu p. Legnickiego długo było bezskuteczne. — Łzy tylko córki potrafiły zmiękczyć obrażoną szlachecką dumę — która parę lat temu boleśnie była zraniona bezwstydną interesownością pieniężną p. Gromskiego. — Chcąc upokorzyć Porucznika przystąpił Szambelan do zgody pod tym tylko warunkiem — aby p. Władysław za życia żadnego majątku nie wydzielał synowi — tak p. Legnickiemu obmierzły dostatki i interesowność Porucznika, iż mimo nalegań i próźb p. Kunegundy żadną miarą od tego warunku odstąpić nie chciał. — P.

Gromski trochę się zżymał czy szczérze— czy nie — tego nie wiémy - dość że przystał na wszystko — ucałowawszy Szambelana ze łzami, pochlebiał — słuchał z uwagą anegdot dobrze już mu znanych i w parę miesięcy błogosławił Cezarego i Korneliję.

P. Legnicki dowiedziawszy się od Macieja o przywiązaniu włościan Lewaldowa, jak chlebem w pocie czoła nabytym dzielili się z dawnym swym panem — ze znaczném wynadgrodzeniem odkupił od nabywcy całe dobra — sowicie w grunta uposażywszy włościan — oddał Lewaldów córce, zaklinając pod błogosław eństwem aby była dla nich matką. — Cezary i Kornelija zaraz po ślubie — przenieśli się do Lewaldowa, a p. Kunegunda przy nich zamieszkała wciąż dopełniając swe studyja nad Juliuszem Cezarem. — P. Szambelan z Maciejem pozostali w Winnicy — codziennie można było ich widzieć w kościele OO. Kapucynów klęczących przed obrazem Matki Boskiej — wznoszących dzięki za szczęśliwą

starość i modlących sie za trwałą pomyślność Cezarego i Kornelii.

P. Hrabina — Marszałkowa i Sędzina za wdaniem się K. Kanonika pojednały się i emulowały tylko z sobą w coraz ostrzejszych praktykach religijnych.

P. Marszałek Rodziński zamknął się na Ukrainie — powiększa majątek — i gniewnie patrzy na synowców iż kiedyś jego pracą a może i śmiercią cieszyć się będą. — Pan Porucznik nie wydalał się z Judkowiec — kilka razy jeszcze probował zostać Marszałkiem, ale napróżno piął się do tego zaszczytu nazawsze został Porucznikiem i wśród zapewnień o nieposzlakowanéj uczciwości bawił się lichwą — Moszko był najwierniejszym przyjacielem i doradzcą — a gdy mu opowiadał pod jakim warunkiem Szambelan zezwolił na małżeństwo Kornelii rzekł Moszko.

— Niemasz sprytniejszego do interesów jak JW. Pan — mówiłem oddawna że będziesz JW. Pan bogatszy od wszystkich bankierów, bo nie dbasz o ten głupi pański honor co

psuje wszystkie spekulacyje i interesa. — Można sobie o nim gadać jak JW. Pan robisz, ale broń Boże według niego postępować. — To trzeba wielkiego rozumu i umieć dobrze prowadzić interesa, aby bogato ożenić syna i nic mu nie dać — nawet aby o to proszono, żaden z naszych żydków tegoby nie dokazał. — Honorowi panowie zawsze będą goli — a JW. Panu dobrze się dziać będzie.

P. Porucznik już tą razą nie ofuknął się na Moszka za te żydowskie maksymy — uśmiechnął się tylko — znać że szachrajstwem miał już dobrze przetarte czoło i sumienie.

Na lat kilka wydaliłem się ze strón Lewałdowa i Judkowiec, nie wiedziałem co się dzieje z ich mieszkańcami. — Krążąc po świecie zdybywałem wielu Gromskich a coraz mniéj Legnickich — więcéj pobożnych w modlitwie jak w uczynku — więcéj uczonych jak ludzi serca — wiele egoizmu a mało poświęcenia. —

Patrząc na ten świat z boleścią, pomyślałem o przeszłości, o rodzinnych moich stronach i rzekłem w duchu.

—Lepiéj dawniéj było! niema jak rodzinna ziemia — tam jeśli nie masz szczęścia tó ubiegłe zawsze jest przed tobą — każdy kątek — każde drzewo — twarz każda, wita cię jak brata — wszystko zna ciebie, pamięta twych ojców i dziadów — tam ich koście i ciche domowe zasługi nie głośne w kraju ale żyjące jeszcze w sercach tych co ich czcili i i kochali. — Zatęskniłem za rodzinnym kątem i z bijącém cercem wróciłem jak syn do matki — przejeżdżając przez Winnicę, najpierwszą było moją myślą ucałować ręce zacnego Szambelana, który niegdyś z taką przychylnością przyjmował mnie w swym domu. — Zajechałem przed bramę, wyszedł poczciwy Maciej, zgrzybiały już starzec, przypatrzywszy mi się zbliska, rzucił się w moje objęcia całował i płakał — zapytałem o Szambelana

—Światłość wiekuista niech świeci nad jego duszą, rok temu jak po krótkiéj cho-

robie poszedł się połączyć z prześwietnym gronem swych przodków sławnych zasługą przed ludzmi — a świętymi przed Bogiem.

Łzy mi się w oczach zakręciły i długo stałem w milczeniu jakby pół na ziemi pół przed Bogiem — pamięć o zacnym Szambelanie wiązała mnie ze światłem, a modlitwa wznosiła ku niebu — otarłszy łzy rzekłem.

— Wiém przez jaką boleść przejść musiałeś poczciwy Macieju — sam jeden zostałeś w tym domku co ci zacnego twego pana i przyjaciela ciągle przypomina.

— Darował mi go ten dobry pan z dożywotnią pensyją nie zadługo pójdę do niego, a teraz służę mu jeszcze modlitwą i jałmużną — dostatek który mnie zostawił obracam na korzyść jego duszy.

— O wierny sługo za życia i za grobem — Bóg ci chyba twoje usługi zapłaci. — Powiedz mi co się dzieje z Kornelią i Cezarym.

— Żyją szczęśliwi — żadna troska, oprócz bolesnéj straty Szambelana nie zachmurzyła im czoła — mają dwoje dziatek — Bóg im na

wszystkiém błogosławi, bo i oni są prawdziwém błogosławieństwem biednych i własnych poddanych.

—A co się stało mój Macieju ze złotą tabakierą.

—Brat Szambelana poprzedził go rokiem, gdy ta szanowna pamiątka nie mogła już przejść w imie Legnickich - p. Szambelan zapisał ją do kościoła OO. Kapucynów, aby ją użyli na ozdoby do obrazu Matki Boskiéj, przed którą do końca życia najgorętsze modły wznosił—podobno w tych dniach mają z niéj przerabiać według woli zmarłego różne filgranowe ozdoby do szat Najświętszéj Panny.

—O mój Macieju — rzekłem — stosowny to z niéj użytek—godna jest tego szacunku—chodźmy Macieju jeszcze raz chcę zobaczyć i ucałować tę szacowną pamiątkę.

Drogą wypytywałem się o najdrobniejsze szczegóły zgonu Szambelana — żył jak prawdziwy chrześcianin a umarł jak święty. —Po obejrzeniu z tkliwém wzruszeniem u K. Gwar-

dyjana złotéj tabakiery, po gościnném jak zwykle u tych wzorowych zakonników przyjęciu — dawszy na egzekwiję za duszę Szambelana, pożegnałem K. Gwardyjana i Macieja — udałem się na cmętarz, aby na grobie łzę przychylną uronić — nieświadomość gdzie p. Legnicki był pochowany długo w poszukiwaniu zabrała mi czasu — w końcu wynalazłszy kamień prosty z napisem przeświadczającym o miejscu jego spoczynku, uklękłem na mogilniku — lecz z wielkiém zdziwieniem ujrzałem już przed sobą ze schyloną głową klęczącego Macieja — po krótkiéj modlitwie wyszedłem z cmętarza, a wiernego sługę zostawiłem na grobie swego pana.

KONIEC.

EKONOMOWA.

Kijów. Drukarnia Uniwersytetu Św. Włodzimiérza.

EKONOMOWA

POWIASTKA

PRZEZ

MICHAŁA JEZIERSKIEGO.

KIJÓW.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

1857.

ПЕЧАТАТЬ ПОЗВОЛЯЕТСЯ

съ тѣмъ, чтобы по отпечатаніи представлено было въ Цензурный Комитетъ узаконенное число экземпляровъ. Кіевъ. 1856 года, Августа 10 дня.

Цензоръ, Стат. Совѣт. *Новицкій.*

OFICYALISTÓM

GUBERNIJ:

Kijowskiéj, Podolskiéj i Wołyńskiéj.

Poświęca

AUTOR.

PRZYGOTOWANIE DO BALU u EKONOMOWÉJ.

— Hej! wstawajcie *hultaje!* czyście się blekotu ponajadali, jaki *dur* was opętał; Motro wstawaj! rozpalaj ogień w piecach, do roboty! czyż niewiész, że gości dziś się spodziewam.

Służąca wstała, poprawiła chustkę u głowy, ziewając zaczęła porządkować garnki i wpół senna jak lunatyczka, bez celu dotykała się każdego przedmiotu, udając czynność i zajęcie.

Pan ekonom Harapiński zbliżył się do leżącego pod piecem parobka i ściągnąwszy go batém zawołał.

— A *wraży synu* — spisz jak zabity, a słónko już zeszło — drew nieurąbałeś — wody nie nanosiłeś, hej! żwawo do roboty!

Parobek poskrobał się w głowę, przywykły jak widać do takowego ekonomskiego

dzieńdobry wziął siekierę i wyleciał z piekarni.

P. Harapiński daléj wrzeszczał przeraźliwym głosem.

— Hapko! chcesz żebym Cię ściągnął bizunem, czemu kaczki niepopędzisz na wodę.

— To skarbowe — Pańskie już zapędziłam odrzekła Hapka.

— Widziałem daléj mówił ekonom, że wieprz jeden chudy, pewnie go objadają.

— Ten chudy to skarbowy — nasze silniejsze jeść mu niedają — odpowiedziała Hapka.

Pobiegł do stajni — łajał — gromił — na gwałt wszędzie hałasował, przy sobie kazał swym koniom owies zasypać, a skarbowym dać po parę garncy stokłosu. — Gdy obszedł wszystkie kąty ściągnąwszy nie jednego batogiem, udał się na powrót do swego mieszkania — po téj rannéj agitacyi zawiesiwszy batóg na kołku, otworzył szafkę nalał lampeczkę piołónkówki i wychylił duszkiem, jak lekarstwo, jak powiadał, że to dla zagryzienia robaka. — Bo też ten niepoczciwy robak nad-

zwyczajnie był czynny w żołądku P. Harapińskiego, więcéj jak soliter dokuczał i ciągle mu przypominał że trzeba go zalać gorzałką.

Obtarłszy wąsy — zajrzał do pokoju żony, która rannym snem najsmaczniéj jeszcze usypiała — chrząkał, stukał, przechadzał się w przyległéj izbie, lecz te oznaki zniecierpliwienia, nie mogły przebudzić Panią ekonomowę. — Czy myśl o przygotowaniach dla przyjęcia gości, czy lampeczka piołónkówki natchnęła energiczniejszym środkiem, uchylił drzwi do pokoju żony i głosem cichym, lecz przenikliwszym od świergotania wróblów — srok i gawronów zapytał.

— Czy ty spisz Róziu?

Kilka razy syczącym głosem powtórzywszy te słowa, zbliżył się do łóżka i trąciwszy żonę powtórzył:

— Czy ty spisz Róziu.

– Śpię — śpię i spać będę – rzekła przebudzona.

— Ale Róziuniu, ty już niespisz, wsta-

waj, zapomniałaś chyba że dziś się gości spodziewamy—już po siódméj.

— Tak wcześnie? z oburzeniem zawołała Pani Harapińska, zawsze masz ekonomską naturę, chcesz kłaść się z kurami a wstawać ze wschodem słońca — idź sobie do twoiéj pańszczyzny—a daj mi pokój.

— Ale goście Róziu za dwie lub trzy godziny, mogą się zjeżdżać, będą i sądowi—

Myśl o gościach, a zwłaszcza o sądowych, wybiła ze snu P. ekonomowę—kazała okiennice otworzyć i rzekła—

— Któż będzie z sądowych?

— Pan Geometra powiatowy.

— O! ten się wiecznie włóczy za naszą Pelcią—a więcéj kto będzie?

— Będzie pan Agaton Iwanowicz.

— Ten nigdy nie odłazi od naszéj Frani, a więcéj kto?

— Będzie i Pan Podsędek.

— To trzpiot—krotofilny aż miło i z dobrą edukacyą.

— O będzie moja Róziu dużo gości

może tyle co i u dziedzica—bo i u niego dziś hulanka—dziś w pałacu obchodzą imieniny dziedzica a u nas urodziny naszéj Pelci, która zaczyna 17 roczek.

— Trzeba aby modnie się ubrały, bo może kto i z pałacu zajdzie.

— O pewno zajdzie—rzekł P. Harapiński.

— O pewno zajdzie powtórzyła P. Ekonomowa, bo on wie że to Pelci urodziny, wystąpi z jakimś prezentem. -O! dziś wiele będę miała do roboty — Ty niewiesz nawet co to *emablejować*, szczęście że moje rodzice dali mnie edukacyą, żem się nie w ekonomskim, ale w possesorskim stanie urodziła, to i dzieci jakoś uformowałam, że dobre partie mogą porobić,—ty tylko siedź cicho, zbieraj pieniądze, abyśmy mogli wyjść na possessye, a obaczysz w jakim tonie eleganckim dóm mój będzie.

— Gdyby nie twoje expensa Róziu nie tylko na possessye, ale i na dziedzictwo by się uzbierało.

— Zaczynasz rozwodić ekonomskie plen-

ty — dobre one są przed dziedzicem, ale nie przedemną — zbieraj i basta — bo ja i moje córki dłużéj ekonomstwa nie zniesiemy to abominacya.

— Bóg świadkiem że zbieram, żeby mi tylko komisarza wyfurować — lepiéj by nam było. — Ty możesz u dziedzica wiele zrobić.

— Zrobię — ale wtenczas z komisarstwa pójdziem na dziedzictwo, muszę o tém z Pelcio pomówić — bo to główka jak u jakiéj *madamy*, ale-ale — pobudź ich, bo spać jeszcze muszą, a trzeba ich *alegancko* postroić.

Pan Antoni Harapiński udał się do pokoju córek i chrząkaniem, czychaniem, rozbudził Franię i Pelcię, które razem krzyknęły.

— Ach! co papo wyrabia! — wchodzić do naszego sypialnego pokoju gdy my jeszcze w łóżkach - niech papo wyjdzie.

— Czegoż do ósméj spicie leniuszki.

— My wczoraj długą miałyśmy *okupacyę*, rzekła Frania.

— Bawiłyśmy się *lekturą* - do 12 godziny w nocy, dodała Pelcia.

— Bóg wié co wam w głowie — zawołał ojciec.

— Dokończyłyśmy już *Żyda Tułacza* — rzekła Frania.

— Rospoczęłyśmy *Tajemnice Paryża* dodała Pelcia. — Co tam za miłe awantury spać się niechce czytając.

— Po co wam te książki — lepiéj spać w nocy, a rano wstawać — rzekł P. Harapiński.

— Niech papo takich niedorzeczności nie gada — odpowiedziała Pelcia — bo gdyby mama posłyszała jak papo o naukach się wyraża, toby się słusznie gniewała.

— Papo zawsze przeciwny edukacyi — dodała Frania.

— Dajcie mi pokój z waszemi rozumami — przerwał ojciec — dziś urodziny Pelci będziemy mieli gości, wstawajcie, a na wiązanie przyniosłem ci Pelcio, dwie pary atłasowych trzewików.

— Dziękuję że papo taki pamiętny, ale pewno nie warszawskie, a rozwinąwszy dodała:

— A płe czarne, tego koloru nie lubię,

te zielone zdadzą mi się dzisiaj do mojéj różowéj sukienki, a dla Frani co papo przyniósł?

— Choć to nie jéj urodziny — ale i ona ma prezencik — i oddał jéj pąsową wstążkę.

— Grodenaplowa! zawołała Frania — czemu nie atłasowa, nic się niebłyszczy — gatunek podły — Piękna siurpryza?

— Czy ja się tam znam na tym — odrzekł P. Antoni — chciałem wystąpić jak najlepiéj i dowieść że o was pamiętam.

— Poczciwy papo! rzekła Pelcia.

— Pamiętny papo! zawołała Frania.

— Dziękujemy! obie powtórzyły, — a P. Harapiński wyszedł z pokoju córek. — Zaspokojony że w ruch wprowadził dóm cały — uradowany słówkiem żony o komisarstwie, zdumiony uczonością panien swych córek — poszedł do szafki, aby zdusić robaka, który w radości, czy w smutku w żołądku mu dokuczał; zalał go więc lampeczką piołónkówki i położywszy się na wązkiéj sofie, dumał o nadziejach lepszego losu — przypominając słowa

nieboszczki matki która zwykle powtarzała.

— O Antosia jestem spokojna, bo się on w czépku urodził.

Nie pamiętał P. Antoni jak się tam rodził, ale że dziś w czépku chodził wiedział i czuł to dokładnie:

— Lecz jak-że tu do licha nie słuchać Róziuni, pomyslał sobie—kiedy ją wszyscy konsyderują—kiedy familijantka, edukowana jak ksiądz—a z młodym dziedzicem brat za brat. — Panowie sądowi jeżdżą i w rączki całują, moje panny chodzą jak królowe, dygają jak anioły, drobniutko tańczą jak ptaszki. Tam do diabła! to nie bagatela! a to mospanie i w obywatelskim domu nic lepszego nie znajdziesz. Niech no Rózia wykłopocze mi komisarstwo, no to ja dam sobie radę.

Musnął ręką po wąsach i dodał:

— No-to wówczas będę kpem, jeśli nie będę wkrótce obywatelem.

Zerwał się z sofy i szybkim krokiem przechadzał się po izbie, a dla nabrania animuszu otworzył szafkę i już nie piołónkówki,

ale słodkiéj anyżówki wychylił spory kieliszek i dodał.

— Pal go diabli! jakaż przednia! obywatelska!

Lecz po tych wykrzyknikach poczerwieniał jak burak, rzucił się znowu na wązką sofę i wpół drzémiąc powtarzał słowa nieboszczki matki.

— O Antosia jestem spokojna, bo on się w czépku urodził.

Gdy P. ekonom, a kandydat na obywatela, porządnie rozpoczął chrapanie, jakby tysiąc żab i świerszczków zaległo mu nos i gardło, w téj że chwili P. Harapińska z córkami pijąc herbatę, wspólnie układały o porządku zabaw, jakie gry — tańce — mają po sobie następować, bo chociaż muzykę nie zamówiono, ale liczono że grzeczny P. Geometra powiatowy przywiezie z sobą skrzypce, na klarnecie grał jeden z lokajów dziedzica, którego z łatwością mogli sprowadzić, a basetla była we wsi, na któréj sam gospodarz przewybornie wtórował, — o muzykę kłopot był załatwiony.

— Ale mamo, rzekła Frania tańce rozpoczną się w wieczór, obiad skończy się o trzeciéj, między obiadem a tańcami czym czas zapełnić, aby wszystkich zaanimować.

— Będziecie się bawiły w gry odrzekła P. Harapińska — teraz we wszystkich obywatelskich domach tak się bawią.

— Zowią je *petiże* — dodała Pelcia, ja umiem ich dosyć — Pastor i P. Pastorowa, gotowalnia, w klapsy, cztéry kąty a piec piąty — w cenzórowanego.

— A brón Boże cenzórowanego! przerwała P. Harapińska, byłyście świadkami awantury P. Agatona Iwanowicza, który będzie dziś u nas; jak zaczął go pomocnik cenzórować, to tak się *rozsierdził*, że z błotem go zmieszał — i Bóg wie do czego by przyszło, gdyby Antoni ich nieułagodził niepojednał, — ta gra przypominała by mu awanturę, jak by na *piki* wyjechałybyśmy z cenzórowanym, a on tak drażliwego honoru.

— Prawdę mama mówi — rzekła Frania, cenzórowanego grać przy nim niemożna —

brak taktu byłoby z naszéj strony, a to taki miły i wesoły człowiek.

— Czy mama pamiętała aby obiad był długi, bo to teraz w modzie — zapytała Pelcia, i czy będą paszteciki do zupy.

— Będą Pelciu i to ptasiowe.

— O bróń Boże! gotów się obrazić P. Narcyz Ptasiński powiatowy geometra i tak jego ogadują że on robi plotki — albo pasztety, a tu przy nim wystąpią paszteciki ptasiowe.

— Niemożna mamo — niemożna — dodała Pelcia — on taki rozumny i dowcipny to zaraz się domyśli i słusznie obrazić się może, a P. Narcyz nie zasługuje aby drwić z niego.

— Prawdę mówicie — odrzekła matka — mnie to w pierwszéj chwili nie przyszło do głowy, zamiast więc ptasiowych będą naleśnikowe.

— Za to nikt się nie obrazi — ale jaka będzie na końcu desertowa legomina, zapytała Pelcia.

— Pączki na frytorze.

— Apfe mamo! to szlachecka legomina, niech mama każe zrobić krem z cynamonem i kąfiturami.

— Prawda-że to daleko przyzwoiciéj, rzekła P. Harapińska, tylko każę dużo dosypać cynamonu.

Gdy się skończyły narady o tańcach, i obiedzie — zaczęły się daleko żwawsze spory o strojach — lecz w końcu wszystkie strony się porozumiały i uradzono że P. Harapińska będzie miała tok z piórami marabu, suknię materyjalną w kaje żółte z pąsowym, Pelcia suknią różową, zielone trzewiki i narcyzy na głowie, Frania spodniczkę zieloną w różowe paski, kaftanik biały w żółte muszki i feronierka z fałszywych agatów na czole. Gdy córki miały odchodzić rzekła matka —

— O bałamutki — i filutki — niedarmo chłopcy giną za wami — chociaż ten układ stroju córek był niby bez myśli, lecz P. Harapińska nie w ciemię bita, a do tego sławna z odgadywania szarad i zagadek, domyślała się że narcyzy we włosach Pelci miały

być siurpryzą dla P. geometry Narcyza Ptasińskiego—a agaty na czole Frani, były na cześć P. prystawa Agatona Iwanowicza.

P. ekonomowa w pół godziny była już wystrojona, i jak indyk nadęta, z rozpuszczonémi piórami, weszła do wielkiéj pierwszéj izby, przezwanéj salonem—z podziwieniem i zgrozą ujrzała męża chrapiącego na sofie—szarpnąwszy go silnie, że aż P. Antoni stoczył się na podłogę zawołała.

— A dla Boga — to nie do wytrzymania pobudziłeś nas wszystkich, a sam spisz, gdy ja najpewniejsza że ty z batogiem pilnujesz rozkazów moich, com wydała czeladzi—precz mi stąd.

— Pani moja Róziuniu—bełkotał ekonom to niechcący zamyślałem się bardzo i zasnąłem.

— Pfe-pfe—rzekła P. Harapińska—nieumyty, brudny, spotniały, idź mnie zaraz do stawu i wykąp się.

— Ale moja Róziu woda jeszcze bardzo zimna.

Jaki mi gagacik-jaki delikacik—idź zaraz do stawu—patrzcie jeszcze dotąd w swojéj kapocie! gdy ja ubrana wyszłam do salonu—weź aksamitną kamizelkę w tureckie kaje i frak.

O co tego to niebędzie, odrzekł P. Antoni dziesięć lat jak go miałem na sobie wprawdzie nowiuteńki—ale jak w niego się ubiorę, to zdaje mi się żem goły—i że świat cały wytrzyszcza na mnie oczy.

— Otoż to wychowanie! zawołała żona cóż ja nieszczęśliwa poczne, gdy wszystkie zamiary naszego wywyższenia się, sam niszczysz swym gburostwem, i ty przy takiéj edukacyi chcesz być komisarzem, obywatelem—jeśli mnie nie będziesz słuchał nie wyleziesz nigdy z swéj kapoty i nierozłączysz się z twoim batogiem.

Krzywiąc się do płaczu i nacierając oczy dodała.

— I takie to szczęście któreś mnie przyrzekał i nieboszce méj matce—zrobiłam ofiarę z siebie—wyszłam z posesorskiego domu na

ekonomiję, znoszę wszelkie prywacyje, upokorzenia—a ty swym gburostwem do grobu mnie jeszcze wpędzasz. Ach umrzeć! umrzeć! wolę jak wstydzić się za ciebie.

— Pani moja Róziu—Róziuniu! wołał ekonom—nie płacz—nie szlochaj—bo tego nie wytrzymam, wszystko dla ciebie zrobię i wykąpię się, i frak wezmę.

Wziąwszy czapkę i grubą pałkę wyszedł z pokoju dodając—

—Tylko Róziuniu, pamiętaj o komisarstwie.

Już i dwie siostry trzymając się za ręce, pstrokato ubrane jak pętarki, weszły do salonu, były wcale nieszpetne—Pelcia blondynka, oczy miała błękitne, usta różowe, płeć białą, Frania brónetka, zrzenice czarne błyszczące, wieczny uśmiech na ustach, ząbki wyglądały jak perełki—a u obydwóch ramiona i ręce, które ile możności były obnażone, mogły służyć do studiów dla rzeźbiarza. Gdyby nie sztywne ruchy i trochę smaku w ubraniu, niewątpliwie panny ekonomówny przy świeżéj młodości i jędrnym zdrowiu, mogły by

walczyć o pierwszeństwo w piękności z obywatelskiemi córkami.

Około pierwszéj godziny zaczęli się goście zjeżdżać, różnego stopnia oficialiści napełniali salonik.—P. ekonom w brązowym fraku z długiemi po kostki połami i w aksamitnéj kamizelce, ściskał, całował wszystkich najserdeczniéj. P. ekonomowa kiwała wszystkim głową na któréj powiewały pióra i zdejmując ciągle ciasną rękawiczkę, dawała każdemu do ucałowania swoją pulchną jak bułeczka rączkę. — Panny wciąż dygały, według porównania ojca jak anioły. Nadjechały i damy, panie wszystkie prawie z piórami, a córki najwięcéj w materjalnych błękitnych, zielonych i pomarańczowych sukienkach, zasianych kokardami i kwiatami. Dzwónek pocztowy oznajmił wszystkim przybycie Agatona Iwanowicza, wleciał do salonu i po obcałowaniu różnych damskich rączek, podobnych to do bułeczek, to do hreczoszków, lub naleśników—zbliżył się do Pelci i rzekł.

— Dzień ten jest *torżestwom* dla jéj przy-

jaciół — aby panią Pan Bóg *oprzedzielił* w szereg najszczęśliwszych ludzi, i sto lat przeżywszy niech żadne smutne *proizszestwie* nie zachmurzy jéj serca.

Pelcia dygnęła — zwróciwszy się P. Agaton Iwanowicz do Frani rzekł.

— O śliczna pani! *pochodzisz* na Anioła.

Ścisnął ją za rączkę — a Frania dygnęła i zarumieniła się jak wiśnia.

Z tłumu gości wysunął się mężczyzna trzydzieści lat mający, w szafirowym fraku w białych rękawiczkach, z kastorowym białym kapeluszem w ręku i zbliżywszy się do solenizantki rzekł.

— Ach! łańcuchem nikt nie zmierzy
I cyframi ja nie zliczę,
Żaden człowiek nie uwierzy,
Ile szczęścia pani życzę —
Życia drogę nie wybiję,
Diometro i tyczkami,
Niechaj wiecznie wiecznie żyje,
Nasza Pelcia! nad Pelciami! —

Ucałował z uczuciem rączkę Pelci — a

wszyscy przytomni wykrzyknęli — brawo! brawo! P. Narcyzie Ptasiński, tęgi P. geometra, oto chwacko i krepko powinszował! wszystkie panienki zaczerwieniały się z zazdrości — a mamy pospuszczały nosy. — P. Harapińska podziękowała za tak prześliczny komplement dla córki i rzekła.

— Czy nie zapomniał P. Narcyz skrzypeczek.

Téj hańby bym nie zrobił dla Pelci nóżeczek — odrzekł P. Narcyz — a na tę odpowiedź wszystkie panienki a nawet mamy chichotały wołając.

— O jak dobry i miły P. Komornik dobrodziéj.

Przybył i P. Cyrjak Chaptyński podsędek, tłuściutki, wiecznie się śmiejący, przytuliwszy do ust swoich pulchną rączkę gospodyni rzekł.

— Moja mameczka wygląda jak królowa mameczko! to bal po formie. — Dali Pan że wytnę hołubca — zamawiam mameczkę do mazura.

Jeśli to nie z urazą będzie P. Podsędka prosiłabym abyś wziął w pierwszą parę Panię komisarzowę.

A czy ja dziecoł — niech ją bierze P. Antoni — to stosowniejsza para — będą wyglądać jak dwadzieścia marjaszy dzwonkowych — ja o raczkę mameczki upraszam.

— Dobrze, dobrze trzpiocie — rzekła P. Harapińska i pieszczotliwym klapsem obdarzyła podsędka, który złapawszy jéj raczkę kilka razy ucałował.

Dano znać że objad gotów ruszyli się wszyscy i szli parami do bardzo obszernéj izby — zwykle kilka warstatów tkackich w niéj stało i zgromadzały się tam kobiety ze wsi, dla przędzenia motków dziś przeistoczono ją w jadalną salę — gospodyni chcąc uniknąć ceremonialnego szykowania gości, zkąd nieraz śmiertelne urazy powstają zawołała głośno.

Panowie! każdy mężczyzna, obok swoiéj damy.

I tak szczęśliwie los zdarzył, że koło P. Harapińskiéj usiadł P. Cyrjak Chaptyński,

przy Pelci Narcyz Ptasiński, a obok Frani, Agaton Iwanowicz—zwijało się dwóch lokai, którzy uwolnieni przez s. p. ojca dziedzica, siedzieli na dożywotnich chatach, ofiarując w wielkich okazyjach, swe usługi ekonomowi, a za to nie raz skarbową chudobą mieli swe pola zorane—do ich pomocy dodano dwoje dziewcząt.

Gospodyni domu mrugnęła na sługi aby rozdawano zupę, ci mrugnieniem odpowiedzieli że jeszcze nie przyniesiono z kuchni—lecz po kilku chwilach, głośno rozkaz powtórzyła, a nie mogąc się doczekać porządanéj zupy z francuzkiemi kluskami, do których przyniesione naleśnikowe paszteciki stygły na półmisku—zawołała męża zaklinając, aby wybawił ją z tak okropnego oczekiwania i pobiegł sam, aby czémprędzéj przyniesiono wazę. P. Antoni leciał jak kula druzgocząc wszystko co wsród drogi stało mu na zawadzie—lecz w progu kuchni mało co nie zemdlał gdy ujrzał roztłuczoną wazę i kluski francuzkie pływające w błocie.

A! hadiuki! ja wam tu łby porozbijam co to jest? gdzie zupa — wrzeszczał z całéj siły.

— Oto, pański pies Dolot — rzekła kucharka, goniąc za kotem panny Pelci skoczył na stół, wazę rostłukł i zupa przepadła — takie zbytki ciągle ten Dolot wyrabia.

Tłukł wszystkich P. Antoni od kołka do kołka — lecz ta satysfakcyja na nic mu się nie przydała — i jak tu się pokazać przed gośćmi — jak oznajmić żonie że zupy nie ma i nie będzie.

P. Harapińska posyłała wciąż to po zupę, to po męża — przyszedł wreście P. Antoni — stanął jak winowajca przed sądem i drżącym głosem zawołał.

— Przebaczcie panowie — Bóg tak chciał abyście nie jedli dzisiaj zupy.

— Widać że Anioły układali cetle, rzekł P. Narcyz obracając się do Pelci i Frani —

To w samom *diele proiszestwie niepriatnoe,* lecz jabym cały rok był bez zupy i jadłbym zawsze *skromno* byle bym miał ciągle tak krasną sąsiadkę obok siebie.

P. ekonomwa zbladła i rzekła z cicha do sąsiada.

— Co ja poczne nieszczęśliwa!

— Każ mameczko podawać paszt-ciki, a ja gości zagadam.

Powstał P. Cyrjak Chaptyński i nalawszy szklankę wina rzekł wesoło.

— Zamiast zupy proponuję łaskawym panom wychylić szklankę tego przedniego wina, za zdrowie stroskanéj gospodyni — niech żyje! nasza czcigodna mameczka! Niech żyje! wszyscy powtórzyli i szklanice wypróżniono — tym środkiem P. Podsędek założył kamień węgielny do dobrego humoru. — P. Antoni nie dał się nikomu wyprzedzić, pił tęgo i wszystkich zachęcał. — Obiad daléj szedł w jak najlepszym porządku — tylko przy samym końcu znowu katastrofa nowa zamęciła wesołość. — Gdy roznoszono ów krem bogato przysypany cynamonem — niezręczny stary lokaj chcąc spędzić muchę siedzącą mu na łysinie, stracił równowagę półmiska i krem z cynamonem rozlał się w kilku strumie-

niach na aksamitny beret P. komisarzowéj — prawie wszyscy zerwali się od stołu. — P. komisarzowa nie mogła przyjść do siebie z pomieszania i złości, a biorąc to za afront, mimo próźb państwa Harapińskich wyjechała z ich domu. Gdy ożywiły znowu wesołość, a gdy przy zapaleniu świec usłyszano skrzypce P. Narcyza, klarnet choć nieco fałszywy lokaja, i basetlę którą stroił gospodarz, radość przychodziła do szału i zupełnie zapomniano o zupie i berecie P. komisarzowéj. Gdy u państwa ekonomstwa ochoczo rozpoczęły się tańce, zajrzymy do pałacu dziedzica, który gorzał od tyśiąca świateł.

BAL u DZIEDZICA i u EKONOMOWÉJ.

Przy długim stole oświetlonym sześcią ogromnémi kandelabrami, przyozdobionym w kwiaty i frukta, błyszczącym od srebra i złota — siedziało ze trzydziestu mężczyzn zajadając wykwintne potrawy i skrapiając je wysokiemi gatunkami win zagranicznych. — Młody i uprzejmy gospodarz P. Jerzy Kotomirski, ożywiał towarzystwo rozmową, grzecznością, zachęcając gości do różnych gastronomicznych przysmaków -- przy ciągłym brzęku widelców i nożów, przy dzwięku kielichów, najczęściéj dawały się słyszeć wykrzykniki — Przewyborne! doskonałe!

P. Pułkownik rzekł do gospodarza. —

— Niuniu! — Niuniu! —

Trzeba nam objaśnić że P. Pułkownik kochał bardzo wszystkich młodych i bogatych paniczów—brał ich pod swoję opiekę, moralizował, aby nie grali w karty tylko z nim jednym—aby przed nikim nie zwierzali się z tajników serca—tylko przed nim, a że był dobrze urodzony, przyjmowany w najlepszém towarzystwie i nie brakło mu sprytu, często pozyskiwał zaufanie młodych i nie źle mu się z tym działo—Imiona swych protegowanych spieszczał do ostateczności i tak P. Jerzy zdrobnił się na Jerzunia a z Jerzunia, stał się jakimś atomem Jerzego—to jest Niuniem.

—Niuniu! wołał—Jak uczony twój nauczyciel P. Telesfor Sokratecki pozna każde dzieło po okładce—a autora po stylu, tak ja wymienię nazwisko każdego kucharza po podaniu półmiska—a czy pijany, lub trzeźwy odgadnę po sosie.—Prawda Niuniu że tego kucharza masz od księcia Władia i ręczę ci że dziś trzeźwiejszy jest od nas—he?

— Zgadłeś pułkowniku — odrzekł P. Jerzy mam go już od miesiąca.

— *Aujourd'hui il s'est surpossé!* — jadłem często u X. Władia dodał młody hrabia L. —

— Prawdziwie dobry kuchmistrz — rzekł zwolna P. Telesfor Sokratecki — bo sam jest żarłokiem jak Boa, który często gdy mu jadła zabraknie, zdusza dozorcę menażeryi.

— Cha — cha — cha rozśmiał się Pułkownik prawda że poczciwego Władzia zadusił w końcu — Ale nie bóy się zacny mentorze, nasz Niunio ostróżniejszy i nie tak prędko waszemu Boa prowizyi zabraknie.

— *Il est capricieux et exigeant comme une maîtresse* ale co mi tam — gdy kochani panowie z jego są zadowolnieni rzekł P. Jerzy.

P. Hrabia L. powstał i wznosząc kielich do góry zawołał.

— *Vive! la bonne chair et les maîtresses!*

Oprócz P. Telesfora wszyscy młodzi i starzy na to hasło wsród gwaru spełnili kielichy.

P. Jerzy obróciwszy się do sąsiada rzekł.

P. Prezes nic nie je.

— Takiem się objadł przy śniadaniu Strazburgskim pasztetem, że nic w usta wziąść nie mogę — całego prawie pokonałem, a to aby się pomścić żeś w Kijowie na kontraktach wszystkie pasztety wykupił; nawet nie mogłem przywieść dla mojéj córki Anny, która żyje tylko pasztetami.

— To niewątpliwa prawda — mruknął P. Telesfor.

— *François* - wołał na kamerdynera P. Jerzy *fais remettre dix patés au valet de chambre de monsieur* a zwróciwszy się do Prezesa dodał.

— A teraz zgoda kochany Prezesie — a za moją nieuwagę i brutalstwo sam w tych dniach przeproszę pannę Annę.

— He! *François* krzyknął P. Pułkownik — proszę mi dać chambertynu, wszak wiesz że innego wina nie piję — i to ocieplone do 12 stopni.

A na ucho szepnął kamerdynerowi.

— Zapakujesz mnie trzy butelki chambertynu na drogę — bo jutro jadę — he?

— *Vous serez serri M. le comte* — odrzekł Franciszek i poleciał daléj.

Gwar coraz wzrastał — szampan się pienił strzelając w górę korkami.

P. Jerzy wzniósł toast.

— *Vive la joie et la bonne compagnie!*

Wszyscy się zerwali z krzeseł aby na wzajem wypić zdrowie solenizanta, a Hrabia L. zawołał.

— *Vive nôtre preux et courtois chevalier!*

Brawo! brawo! wołali wszyscy i podnosząc w górę Jerzego wołali —

Vive nôtre preux et courtois chevalier!

Wesołość podniecona szampanem coraz się wzmagała — gwar się zwiększał — a że szlachecka poczciwa natura, choćby najbardziéj, zkoszlawiona cudzoziemszczyzną odezwać się musi przy butelce wina, i tu się objawiać zaczęła w serdecznych wynurzeniach przyjaźni i wylała się z całą mocą przy ostatnim staropolskim wiwacie kochajmy się!

Wstawszy od stołu udano się do innych salonów gdzie kawa, likwory, cygara i karty oczekiwały już na gości.

P. Pułkownik rozpieczętowawszy talję kart zawołał.

— Dzieci chodźcie na lekcyę — nasłuchaliście się teoryi P. Telesfora ja was praktyki nauczę — he! *mais amis* od miesiąca *ginion* mnie prześladuje — korzystajcie — możecie ograć starego — macie sto r. s. w banku, karty stasowane — he! sztos fertieg.

Na te hasło nie tylko młodzi ale i starzy obstąpili w około stolik i każdy po kilka dukatów rzucił na kartę — szczęście było zmienne, złoto przesuwało się to do bankiera — to do poniterów — Jerzy grał z roztargnieniem, lecz bez passyi jednak kilkadziesiąt dukatów był już przegrany.

Pułkownik wołał.

— Śmieléj Panowie bo już to mnie nudzić zaczyna, — Niunia jednego się najbardziéj obawiam.

Kilka głosów się odezwało.

—Niunio *est un beau joueur*—gra prawdziwie po pańsku.

Jak kóń uderzony ostrogą, tak Jerzy obudzony tą pochwałą, podwajał i potrajał stawki—za jego przykładem poszli i drudzy, ale w téj chwili fortuna jak z rogu obfitości sypała złoto na stronę Pułkownika, a gdy się spora kupka zebrała P. Pułkownik krzyknął—*Attendez!*—i przeliczywszy 500 dukatów zawołał.

—Odegrałem się z zarobkiem *dżornata fata* bastuję.

Nieukontentowanie błysło na wszystkich twarzach—a P. Prezes niezadowolniony rzekł.

—Nie lubię takich gier dorywczych, nieporządnych—zasiądźmy lepiéj do poczciwego diabełka.

Zsunięto dwa stoły—wszyscy zasiedli prócz Jerzego—P. Telesfora i Pułkownika, który szepnął Jerzemu.

—Jeśli mnie kochasz Niuniu, grać nie będziesz—bo cię do nitki ograją—he! *mon*

ami, daj mi na to słowo — bo to nie ze mną sprawa, jak cię złapią to nie wypuszczą.

— *Ma parole* Pułkowniku — grać nie będę, bo mi łeb pęka — muszę chwilę koniecznie zasnąć, jeśli się spostrzega, to przeproś, ja wkrótce do was przyjdę.

— Dobrze Niuniu a czy co przegrałeś?

— Dwieście dukatów.

— Szkoda! nawet tego nie zauważałem, bo grasz diable po pańsku — na dziś to dosyć — *mon ami* u mnie się odegrasz.

Choć towarzystwo diabełkowe zatrzymywało P. Jerzego i koniecznie domagało się aby zasiadł z niemi, jednak oparł się naleganiom, a nie chcąc być niegrzecznym gospodarzem, przyjął udział w zabawie gości, dając Prezesowi pięćdziesiąt dukatów do spółki i rzekł odchodząc.

— Kazałem wam panowie moi zrobić dżonkę, ale dżonkę *par excellence* — nim będzie gotowa do was powrócę — moja migrena łeb mi rozsadzi jeśli na godzinkę wzbronicie się mi oddalić.

— *Allez — Allez — sans façon — Vous etes parmis vos bons amis* rzekł P. Hrabia L. i kilka za nim odezwało się prosząc aby gospodarz choć parę godzin odpoczął.

Diabełek szedł żwawo — różne uczucia zaczęły się odbijać na twarzach — radość, smutek — zazdrość — chciwość, obawa przelatywały po rysach graczów, P. Telesfor siedział zamyślony obok stolika i zauważył że nie bez racyi, grę tę nazwano diabełkiem.

Zdało mu się iż jak ćmy na światło, tak zlatują się diabełki, towarzyszyć grającym. U jednego usadowił się za kołnierzem u drugiego wygląda z zarękawa — u tamtego zawiesił się na żabotach, u innego tnie hołubca po łysinie — to znowu skaczą po stoliku, robią figle — choć gracz przeszedł, wygrał, daléj ciągnie — bo mu diabełek zakrył łapką jedno oczko karty — tamtemu szepnął w ucho — bierz! — bierz! — i chichocze że udało mu się oszukać — tamtego łechtając chciwość wrzeszczy mu z całéj siły — ciągnij daléj — przejdziesz! wygrasz! — a tym czasem łapką

wysuwa kartę z talii, która o wygranéj miała stanowić. — Ten przegrał a diabełek głaszcząc po brodzie strapionego mówi — odegrasz się pożycz u sąsiada i graj daléj. — Największy z gromady diabełków, zwinny jak wywiórka, śmieszny jak małpeczka, siedzi na puli, garnie złoto, i każdą sięgającą rękę do jego skarbów, to drażnie pazórkami, to upiecze ogónkiem — to znowu na przekor wszystkim wysypie cały talerz złota, temu który go najmniéj potrzebuje. — A gromada diabełków śmieje się do rozpuku ze złości, zawiści i przekleństwa, wywołanych tym konceptem najstarszego diabła.

Nie pojmując zamiłowania w grach hazardownych, w takowy sposób P. Telesfor tłumaczył tę namiętność — dla któréj rozsądek i rozum słabemi są wędzidłami. Może i obok urządzająca się dżonka, wpłynęła na jego imaginacyą. — Bo wystawcie sobie, przy ogniach spirytusowych zwija się kilku ludzi — ten wlewa do srebrnéj wazy kilka butelek szampańskiego wina — ten wytacza wino jak

krew czerwone—ci rzucają ananasy—pomarańcze, nad wazą na srebrnéj rzeszutce postawiono głowę cukru, ciągle oblewając ją romem, który zapalony błękitnym płomykiem roztapia cukier i gorącemi strugami płynie do napoju—w końcu na długich kleszczach przynoszą rozpaloną talową podkowę, która wrzucona do wazy parą gęstą otacza cały ten aparat. —Te przygotowania do sztucznego jakiegoś eleksiru, obok ludzi grą roznamiętnionych, czyż nie podniecą imaginacyę do szatańskich obrazów. Bo kto wie! czy dżonka i diabełek bez pośrednictwa i wpływu prawdziwych diabełków obejść się może.

Dżonka była gotowa, zaczęto ją w filiżankach roznosić, a P. Jerzy nie wracał—całe towarzystwo nie mogło się odchwalić przewybornéj dżonki—a Pan Hrabia L. zwróciwszy się do P. Telesfora rzekł.

—Wszyscy widzą *que vous êtes un homme lettré*, a jednak P. mi nie odpowiesz na jedną ważną lokucyą, ja przynajmniéj odgadnąć

téj kwestyi nie mogę — dla czego do dżonki wrzucają końską podkowę.

— Jest to szatański sposób podkowania pijących, aby po użyciu dżonki nie spotykali się i nie zataczali — odrzekł P. Telesfor.

— *Bien dit* — odrzekł P. Hrabia L. to jedyny sposób wytłumaczenia téj mistycznéj podkowy — należałoby i Niunia nią podkuć — bo po obiedzie *il a bronché* muszę go zbudzić.

Hrabia L. wstał od gry, mówiąc że jest przy swoich — że długa gra go nudzi — jednak sąsiedzi wiedzą jak kto siedzi — i wnet obliczyli że P. Hrabia ze sto dukatów jak to mówią terminem diabełkowym, spuścił do Gdańska.

Godzina minęła a P. Hrabia L. nie wracał, z towarzystwa diabełkowego znów inny poszedł szukać Niunia i Hrabiego, po chwili znów ktoś się puścił jakby za wyszukaniem nieszczęśliwego Franklina — półowa już ubyła graczów, a zawsze wysuwali się ci, którzy obładowali dobrze kieszeń złotem, a co dzi-

wnego że żaden z owych poszukiwaczów nie wracał. — Gra się zupełnie z paraliżowała, gdyż wygrani ze złotem runem, gdzieś odpłynęli, jakby do Kolchidy, zostawując smutnych towarzyszy tylko z kredkami w rękach. Usamotnieni, naczychawszy się dowoli od pyłu z kredy, w końcu poszli szukać tych, co zabrali ich złoto, w nadziei że jeszcze zdołają do gry ich zaciągnąć — wszyscy się rozeszli prócz P. Telesfora który gorżko się zadumał marząc o swym pupilu i o całym towarzystwie.

Czyż odgadliście moi czytelnicy gdzie tak ugrzązł gospodarz domu, gdzie się przeniosła złota nasza młodzież? gdzie ojcowie rodziny? urzędnicy — gdzie wykwintne i arystokratyczne całe towarzystwo, któreśmy widzieli przy stole u P. Jerzego Kołomirskiego — Oto wszyscy — tańczą — hulają — piją — umizgają się u Państwa Harapińskich.

Przed przybyciem pałacowych gości wesołość wrzała w całéj sile, P. Cyrjak Chaptyński, P. Narcyz Ptasiński i P. Agaton Iwa-

nowicz przewodniczyli tańcóm, wymyślali najdziwaczniejsze i najsztuczniejsze figury w mazurze — wybierani — poszukiwani przez wszystkie damy byli koryfeuszami balu P. Narcyz odgadł że Narcyzy na głowie P. Pelci były oczewistą manifestacyją przyjaźnych uczuć dla niego — upojony tym tryumfem rzekł zcicha do Panny Pelci.

Niech choćby jeden Narcyz z twego czoła,
Zstąpił nazawsze do twojego serca.
Wówczas człek Narcyz, Narcyza anioła,
Ach! do ślubnego zawiódłby kobierca.

Panna Pelcia nic nie odrzekła, tylko wyjęła jeden Narcyz z głowy i oddała go P. Narcyzowi — który ucałowawszy rączki za ten dar najdroższy, przypiął go do fraka.

P. Agaton Iwanowicz choć nietał. domyślny jak P. Narcyz, jednak przypadkiem wyczytał myśl przyjazną dla siebie, w Agatach umieszczonych na czole Frani — zapytał ją.

—Jak Pannie Frani pięknie z temi *Ałmazami* na głowie.

—To nie *ałmazy*.

—Jakże się zowią?

—Nie powiem panu.

—Jak mamę Panna Frania kocha niech *skaże.*

—Zaczyna się ich nazwisko na *A.*

—A *poślie*, druga *bukwa?*

—Druga *G.* trzecia *A* —czwarta *T.*

—A znam — znam — Panno Frania! to Agaton Iwanowicz.

—Nazywa się Agat.

—Tak- -tak—Ale *pochoży* na Agatona Iwanowicza.

I schylając się, dla podniesienia chustki Panny Frani, pocałował ją w kolano i rzekł.

—Ja *wlublon* w pani— i czy będę szczęśliwy?

—Zapytam się mamy—rzekła P. Frania.

Ktoś ją wybrał do tańca i na tym się skończyła miłośna rozmowa.— P. Cyrjak Chaptyński ciągle siedział przy P. Harapińskiéj, rozmawiał z nią poufale — jakby oddawna już było po oświadczeniu miłości, czy przyjaźni— bo na co nam wzierać jakie tam były sto-

sunki P. ekonomowéj z P. Podsędkiem, dość że zadowoleni byli z siebie—tańczyli jak najmłodsi i w sztucznych skokach pióra P. Harapińskiéj biły ciągle w takt po łysinie P. Cyrjaka.

Za przybyciem gości z pałacu wszystko się zmieniło – P. Jerzy ofiarował na wiązanie Pelci piękną złotą bransoletkę co sprawiło zazdrość innych panien, pokątne szepty młodych kawalerów i oziębiło zapał miłośny P. Narcyza.—Pułkownik odsadził P. Cyrjaka od gospodyni domu, a młody Hrabia L. jak przykuty siedział przy Frani i szeptał jéj cóś w ucho, co oburzało P. Agatona Iwanowicza, wszystkie inne panienki Zosia, Petronela, Anusia – Magdalena, które po pannach Harapińskich najwięcéj były poszukiwane, zmieniły swych adonisów, młodzi oficialiści musieli wyrzec się swych panien i wesołości, dla chwilowéj zabawy panów. — P. Antoni do stó› się zginał każdemu przybywającemu — a gapiąc się nieraz na tańczących JW. Panów, wtórując na basetli często huczał fal-

szywie, — przyniesiono lody i szampana z pałacu, co trochę rozweseliło apszytowanych kawalerów i złagodziło posądzenia P. Narcyza, Agatona i Cyrjaka o złych zamiarach JW. Gości.

P. Ekonomowa z zadowoleniem napatrzywszy się na zaloty P. Jerzego do Pelci szukała sposobnéj chwili pomówienia z dziedzicem — szczęśliwie się wydarzyło, bo i P. Jerzy jak widać chciał się z nią rozmówić — a znalazłszy wolne miejsce koło niéj, zajął je i rzekł.

-Jak Pelcia z każdym dniem pięknieje.

—Łaskawe to oko JW. Pana, co chce spójrzyć przychylnie na dziecko najwierniejszéj sługi — byłaby ona może i niczego gdyby nie ciągła praca — niedostatek i przykrości.

—Czegoż Pani pozwalasz biedaczce pracować — ona nie do pracy się urodziła — taki ładny buziaczek powinien mieć wszystko bez pracy -jakież ona ma przykrości.

— Zachciał P. — zwyczajne w naszym biednym stanie.

— Ale cóż takiego — powiedź Pani, potrafię wszystkiemu zaradzić — daję ci na to słowo honoru.

— Kiedy JW. Pan mię ośmiela to powiem chociaż nie zwykłam plenty przed nikim rozwodzić — bo przykro kobiecie urodzonéj w innym stanie przyznawać się do biedy, ale przed tak dobrym panem, to całe serce by się otworzyło.

Skrzywiła się P. Ekonomowa jakby do płaczu, — a P. Jerzy rzekł.

— Mów Pani — przyrzekłem ci że dla Pelci wszystko uczynię, co jéj tylko może być przyjemném.

— Dziękuję łaskawemu naszemu dobroczyńcy. — Oto z naszego obowiązku, przy lichéj penssyjce nie możemy się utrzymać. Nie przywykliśmy jak inni jego oficialiści dorabiać się majątku ze szkodą Pańską. Pani Komisarzowa jeździ koczem na resorach — a my ledwośmy się po kilku latach zebrali na netyczankę — stroi się w aksamity, a ja ledwie mogę perkalikiem obszyć moje córki —

oni P. niszczą, a my krwawo pracujémy — nie dosypiamy nocy dla dobra JW. Pana i jeszcze żeby JW. Pan wiedział jak nas komisarstwo bezczeszczą, i co wymyślają na Pana — to czasem tylko ja z Pelcią zapłaczemy i to cała nasza satysfakcyja.

— Że kradną, już dawnom ich oto posądzał — ale cóż mówią na mnie i na was.

— Oto odgrażają się że nas z dóbr Pańskich wypędzą, że my charłaki, torbotrusy a na P. wygadują że JW. P. gustuje w Pelci i nawet nie śmiem powiedzieć jakie zbytki wymyślają — Pelcia co tak jak ojca P. kocha, co tak dba o jego honor — płacze tylko biedna, czasem aż zmizernieje — że oni swemi niewdzięcznemi językami rozgadują takie rzeczy.

— Jutro ich oddalę, przyrzekam Pani tylko uspokój Pelcię niech się nie martwi, a bardziéj jeszcze niech nie mizernieje — a dla polepszenia waszego bytu, twego męża zrobię komisarzem. — P. Ekonomowa tylko co nie oszalała z radości, ściskała rękę P. Jerzego

schylała się do jego kolan — przysięgając wierność — przychylność i wdzięczność Pelci — Uszczęśliwiony był i P. Jerzy z tych słodkich zapewnień — zapomniał o migrenie — stał się uprzejmym, popularnym, witał się ze szlachtą, ściskał za rękę P. Agatona Iwanowicza — P. Narcyza wziąwszy pod rękę przechadzał się po pokoju — z P. Cyrjakiem pił i żartował. — Reszta pałacowych gości poszła za jego przykładem. — Panowie i oficialiści zleli się w jedno zgodne towarzystwo, cała różnica, iż pałacowi byli śmielsi z pannami i żartowali z oficialistów — a ci pysznili się że się ocierają o panów. Tańczono — hulano, pito aż do piątéj godziny zrana.

PANI EKONOMOWA KOMISARZOWĄ.

Nazajutrz P. Jerzy Kołomirski o 12 godzinie wstał z silnym bolem głowy — któremu towarzyszył zły humor zwyczajnie jak po każdym nadużyciu i niewczasie — P. Komisarz został odprawiony i z wielkim zdziwieniem wszystkich oficialistów P. Antoni Harapiński objął ogólny zarząd majątku. — Ze złożonych rachunków przez komisarza okazały się decessa, w każdéj umowie niedobory pszenicy i wódki, tak że roczna krestencya ledwo mogła by wystarczyć na uspokojenie nieuiszczonych kontraktów — P. Harapiński działając według instrukcyi żony, zarzucił niezdolność plenipotenta, zmowę ze stroną przeciwną, niepilność, a napodstawie tych oskarzeń,

może i słusznych plenipotencya została odwołaną, a wydaną podsendkowi P. Cyrjakowi Chaptyńskiemu — P. Agatonowi Iwanowiczowi naznaczył skarb roczną pensyję z ogromną ordynaryją, aby się zajął energicznie wypełnieniem przez włościan powinności inwentarskich — okazały się niedokładnośeie w mapach ekonomicznych, dla porządku cały majątek potrzebował przemiaru, uproszono P. Narcyza Ptasińskiego aby się zajął tą pracą, zwłaszcza iż wprowadzone płodozmiany przez swego poprzednika, żądał nowy rządca zmienić na trzy pólowe gospodarstwo. — Pierwsze chwile objęcia rządów odznaczyły się wielką czynnością, przezornością i uspokoiły P. Jerzego iż nieporządek który już w znacznéj części zrójnował jego majątek, dzwignięty zostanie energicznym i uczciwym zarządem nowego komisarza.

Po obiedzie zwykł był zawsze P. Telesfor przychodzić do pokoju swego dawnego ucznia i paląc cygaro, otwartą rozmową, przestrogami, dopełniał sumienny obowiązek przy-

jaciela. — Z największą delikatnością i cierpliwością naginał go ku dobremu i chronił od błędnych zasad zepsutego towarzystwa, do których z łatwością lgnęło serce P. Jerzego — Czasami udało mu się nie jedną wadę sprostować, odwrócić od niesumiennego postępku — przekonać o błędnym sądzie niedoświaczonego młodzieńca — lecz z bolem serca spostrzegał P. Telesfor iż im więcéj jego przywiązanie do Jerzego wzrastało, tém coraz bardziéj wpływ jego malał, a ludzie rozpustni i pochlebcy dla jawnych lub ukrytych korzyści, często jednym żartem ironią zwracali go z dobréj i szlachetnéj drogi.

P. Jerzy Kołomirski leżąc na sofie i nacierając głowę kolońską wodą rzekł do P. Sokrateckiego.

— Niemiłosierdnie głowa mi boli kochany P. Telesforze.

— Jest to zwykły skutek każdego nadużycia odrzekł P. Sokratecki.

— Ależ kochany Telesforze — musiałem przyjąć gości w dzień moich imienin — jestem

młody, majętny, wchodzę w świat, muszę szukać dobrych stosunków i jednać sobie przyjaciół.

— Nie przeczę ci kochany Jerzy. Uważam gościnność jeśli nie za cnotę, to za zaletę z któréj wiele cnót wyrasta, szczera uprzejmość, życzliwość, która jest jéj cechą, stanowi formę braterskiéj jedności, która w życiu zmieniać się powinna na chętną pomoc i usługę dla każdego. Stół otwarty niech oznacza otwarte serce, uczęstowanie gościa tym co dóm ma najlepszego — niech będzie upewnieniem braterskiéj miłości. — Bo jakaż może być zasługa napoić i nakarmić tych co nie są ani spragnieni ani głodni — lecz u nas kochany Jerzy często, nie miłość, ale próżność zgromadza biesiadników do stołu — zbytkami, rzadkościami kupowanemi na wagę złota, staramy się nie o przyjemność, ale o podziw gości — w lichym jadle szukamy oznaki jakiejś wyższości nad drugiemi. — Gościnność jest chwalebną póki się nie przerodzi w przepych i zbytek, wówczas cechą uprzej-

mości zmienia na najniedorzeczniejszą próżność.

— We wszystkiém kochany P. Telesforze musisz wyszukać złą stronę, przynajmniéj o próżność — dumę — nie możesz mię posądzać — wczoraj dałem dowód że wszystkich ludzi uważam za równych sobie, przyjmowałem w mym domu najlepsze towarzystwo naszych okolic i wraz z niém szczérze bawiłem się u Harapińskich, tańczyłem z moiémi oficialistami — piłem ze szlachtą, zdaje mi się, że pochwalisz ten postępek i teraz o dumę mię nie posądzisz.

— Mówiłem ci nieraz kochany P. Jerzy że uważam za złe największe ze strony Panów, odtrącanie pogardliwe od siebie uboższą szlachtę; póki węzeł polityczny i moralny ich z nami jednoczył, póki opieka pańska czuwała nad niémi — póty cnoty, oświata i wiara uszlachetniała ich ubóstwo. — Za ojcowską opiekę wypłacali się oni wiernością i sumiennością — za braterskie przygarnienie do siebie służyli gorliwie, wcielając się całym sercem, całą

rodziną do domów, którym usługi swe poświęcali. — Prócz materyalnych korzyści, węzeł moralny jednoczył panów z sługami — i to było jedyną tamą od zepsucia — nadużyć, które się wyległy gdy zostawieni sobie samym, ci tylko za kawał chleba zaczęli sprzedawać swą niezależność. Gdy dawniéj pokoleniami szlachta służyła swym panóm, dzisiaj choćby nielegalnym środkiem, każdy myśli o z panoszeniu się, aby jak najprędzéj wyjść z niewoli pańskiéj. — Lecz chcąc temu złemu zaradzić, zbliżenie się do ubogiéj szlachty nie zawisło na tańczeniu z oficialistkami, na piciu ze szlachtą — na podniecaniu ich próżności — zachęcaniu do niepotrzebnych zbytków. Garnąć ich należy dobrym przykładem — przychylną radą — pomocą w wychowaniu ich dziatek — opieką w złych przygodach — tym tylko środkiem ufność i miłość powrócona zostanie. — Wczorajszą hulankę u Harapińskich uważam nie tylko za niepotrzebną, ale i za szkodliwą obóm stronóm - Katechizm nas uczy że w uczynku, intencya za-

sługę nam przynosi, czyż to nie jest najświętsza prawda. — Niechby wszyscy Panowie uderzyli się szczérze w piersi i wyznali, jaka była ich intencya we wczorajszym uczynku — czy między uboższą bracią, rozsieli słowa prawdy, przychylności — czy zgorszenia i zepsucia! Co było owocem otarcia się z młodemi szlachciankami? oto może starli resztę wstydu i niewinności z ich serca — czy utwierdzili kogokolwiek w cnocie, czy stali się pokusą do występku? Piękneż to apostolstwo, szlachetnaż to missyja dzisiejszych Panów. O! straszna P. Jerzy odpowiedzialność przed ludźmi i Bogiem, przywdziewać się szatą cnoty i dobrego uczynku, dla rozsiania zepsucia i dogodzenia własnym namiętnościom.

Zarumienił się P. Jerzy, jakby człowiek którego skrytą myśl odgadnięto — przeszedł się parę razy po pokoju i rzekł. —

— U ciebie P. Telesforze wszystko olbrzymieje — gdzie nie możesz dopatrzyć poświęcenia się — cnoty — zaraz widzisz egoizm

i występek, nie chcesz zrozumieć, że młodość ma swoje przywileje. — Gdy przyjdzie starość może i ja będę rozsądniejszy — lecz dziś ten sam rozsądek byłby dziwactwem i śmiesznością.

— O mój Jerzy — nigdy nie jest zawcześnie pracować nad pokonaniem złych namiętności — niedbalstwo nad udoskonaleniem swego ducha, wprowadza w nałóg złego, rozsądek wówczas staje się najlepszym sługą namiętności, i jedno mu tylko pozostaje własność uniewinnienia nieprawego postępku przed własnym sumieniem.

— Nadto jesteś surowy P. Telesforze przecież wiem że nie jestem łotrem — kocham moich bliźnich, nie jednemu zrobiłem z szczerego serca pomoc i usługę — brzydzę się sknérstwem i dopełniam jak mogę moich obowiązków.

— Jesteś mój kochany Jerzy hojny za wiele i zamało — strwoniłeś już wiele ojczystego majątku — zaciągnąłeś dług bankowy na całych dobrach, prócz tego długi prywatne

zaczynają go obciążać, gdzież się tak wielkie summy podziały? zabrali je pochlebce, fałszywi przyjaciele, zjedli sąsiedzi — zkorzystali kupcy — jakiż ślad pozostał twéj hojności? — Czy czujesz radość w twém sercu, żeś kogo prawdziwie uszczęśliwił? czyś podał rękę biednéj uciśnionéj wdowie? czyś przytulił sieroty? dopomógł do wychowania ubogiéj młodéj szlachty, która małą twą pomocą mogłaby zapewnić los sobie i swéj rodzinie — czy podupadłym krewnym zapewniłeś byt pomyślny? — O dla tych byłeś za mało hojny! — Gdyby twa hojność nie wylała się na zbytki, lecz na prawdziwą pomoc bliźnim, nie żałowałbym twéj rozrzutności — one by nie zniszczyły twój majątek i miałbyś przynajmniéj pociechę patrząc na żyjące świadectwa twoich dobrych uczynków. — Kochany Jerzy zamknij twą rękę na zbytki, a otwórz ją dla prawdziwie nieszczęśliwych — bo inaczéj strwonisz wszystko i zamiast wdzięczności pozyskasz pogardę twych światowych przyjaciół — zajmij się szczérze urządzeniem

twych dóbr, nie dozwól kradzieży — nie daj się oszukiwać twym oficialistóm — bo jeszcze czas uratować majątek, który szybkim krokiem dąży do ostatecznego upadku.

P. Kotomirski zadumany — w milczeniu przechadzał się szybkim krokiem i rzuciwszy się na sofę rzekł.

— Mój Telesforze spokojne mam sumienie, bom nikomu źle nie uczynił. — Masz słuszność że trzeba mi się wziąść do gospodarstwa, bo co raz bardziéj czuję ubytek w dochodach. — Pierwsze kroki już zrobiłem — odprawiłem dawnych oficialistów, oddałem zarząd majątku czynnemu gospodarzowi — prawda kochany Telesforze żem trochę zawiele roztrwonił, lecz mam nadzieję ten uszczerbek zapełnić bogatém ożenieniem sie.

— Daj Boże aby ci Harapiński służył wiernie mój Jerzy — odrzekł P. Telesfor — nie śmiem go posądzać, lecz zdaje mi się że mu źle cós z oczów patrzy — po jego postępowaniu przekonać się będzie można. — Zasmuciłeś mnie, kochany Jerzy, myślą po-

prawienia interesów bogatém ożenieniem— Jest to środek nieprawy, bo zawisł na oszukaństwie własnéj majątkowéj pozycii—jest to czynność nieszlachetna, zaprzedania siebie za pieniądze, jest to grzéch wielki, znieważenie sakramentu krzywoprzysięstwem.—Środek niestety! dziś powszechny który w swych skutkach wyrodził niewiarę małżeńską i stargawszy zobopólny szacunek, związek uczucia przemierził na bezwstydną pieniężną spekulacyję—O! wierz mi kochany Jerzy—że takowy środek poprawienia interesów, szczęścia przynieść nie może — szukaj z pośród towarzys.wa do którego należysz osoby, nie majątku — Bóg ci dał stanowisko niezależne, pocóż wybór twój masz czynić zależnym — posag niech będzie warunkiem podrzędnym — szukaj rodzinę nie zepsutą cudzoziemskiemi wyobrażeniami—lecz gdzie mieszka szacunek dla cnoty, miłość bliźnich i bojaźń Boga — nie na chwilową kochankę—ale na wieczną towarzyszkę twoją—na matkę twym dzieciom wybieraj żonę, miłość dla niéj, a nie pieniądze niech będą

jedynem ogniwem twego związku. P. Jerzy rzucił się na szyję swego dawnego nauczyciela i całując go serdecznie rzekł.

—Chociaż jesteś nadto surowym dla mnie, choć chcesz rzeczy niepodobnéj, abym był starym i nie dzieckiem wieku w którym się urodziłem, jednak czuję że wszystkie twe przestrogi i rady z szczeréj twéj dla mnie przychylności wypływają. — O ile będzie w méj mocy korzystać z nich nie zaniedbam, i godząc nasze żądania, ożenię się z osobą która będzie posiadać wszystkie przymioty a oraz i znaczny majątek.

—Nie pragnę tylko twego szczęścia, i pociechy abym cię widział dobrym, zacnym i użytecznym krajowi—Bóg ci odebrał rodziców kochany Jerzy, któż jeśli nie ja przypomni ci ich słowa i przestrogi. któż cię osłoni od burz i zepsutego powiewu wiejącego na ciebie ze świata.—Czém cię obdarzyć mogę? jeśli nie prawdą; tym gorzkim napojem, którego żadne już ręce nie śmieją

podać tobie — mój Jerzy niech ci smutno nie będzie na sercu.

— Od ciebie mój drogi przyjacielu każdą przestrogę mile zawsze przyjmę, bo wiém że w mojém szczęściu całe twe szczęście się zamyka.

Jeszcze raz rzucił się Jerzy na szyję P. Telesfora — obadwaj rozrzewnieni znaleźli prawdziwą słodycz w serdecznym uścisku przyjaźni — P. Sokratecki wkrótce się oddalił, a P. Kołomirski zadumany rozbierał w myśli wszystkie słowa swego dawnego nauczyciela. — Dopóki one brzmiały w jego uchu, póty najszczérsze rozbudzał w sobie postanowienie, — odmiany życia, poświęcenia własnych przyjemnostek użytecznéj pracy. — Czuł nie raz przesyt światowych uciech — nęcił go świat uczuć i prawdy, do którego wzywały go rady zacnego nauczyciela. — Lecz gdy się on tylko oddalił, ponęty różnych namiętności głuszyły najchwalebniejsze postanowienia, tłumaczył sobie że takowe zasady choć piękne ale niezgodne z naturą ludzką, że w życiu

nie dały by się zastosować, że nigdy młodości uszczęśliwić nie mogą, że dosyć będzie czasu wprowadzić je w użycie, wówczas gdy lata ostudzą namiętności — jak prawie wszyscy młodzi gotowi do poświęcenia, mało dbając nie tylko o własne szczęście ale i o życie, odważni do zewnętrznych zwycięztw, trwożliwi zaś do zwyciężenia samych siebie, tak i P. Jerzemu brakło odwagi do pierwszéj walki z sobą samym, dla tego wszystkie szlachetne postanowienia, wraz z słowami P. Telesfora prześlizgały się mu tylko po duszy, nie niszcząc bynajmniéj rdzę która coraz szerzéj okrywała mu serce.

Nowy obowiązek P. Harapińskiego, znaglał go iż codzień musiał bydź na pańskich pokojach. —Urząd komisarza zupełnie go odmienił — zawsze umyty — wygolony — zamiast kubraka, nosił brązowy rajtfrak — gdyż mimo nalegań żony do fraka żadną miarą nie mógł się przyzwyczaić — zamiast batoga, którego tyle lat przywykł zawsze trzymać w ręku, sprawiła mu żona trzcinową laskę z bron-

zową gałką, choć przeklęty robak ciągle mu w żołądku dokuczał, zalewał go już nie piołunkówką, ale przewyborną anyżówką — a co tygodnia jakby minister, z portfelem pod pachą napakowanym rejestrami i projektami, wchodził bez awansowania się do gabinetu dziedzica — w początku był trwożliwy, nowe dygnitarstwo nadawało mu prawo *tabóretu*, to jest siadywania w obecności dziedzica, z nieśmiałością, jak gawron na gałęzi zawieszał się na samym rogu krzesła, za każdém słowem Pańskiém powstawał i z wielką bojaźnią objawiał zdanie sprzeczne z dążnościami P. Jerzego — lecz po kilku tygodniach, czy otarcie się ciągłe z Panem, czy instrukcye żony, czy użycie przed każdą sessiją podwójnéj porcyi anyżówki uzbroiły go w odwagę. — Wtéj chwili z podniesioną głową szedł śmiało przez kilka pokojów, na uniżone ukłony służby i podwładnych mu oficialistów, nie raczył zwrócić najmniejszéj uwagi, dopiero u pańskich podwoi schylił uniżenie czoło i złożywszy portfel na stole, zasiadał przy nim i rozpoczął

dziedzicowi zdawać sprawę z swych nowych rozporządzeń.

—Po tym wielkim nieładzie i zniszczeniu prawdziwie tatarskim, rzekł P. Komisarz, trochę się przyprowadza do porządku — rozpusta się ukróciła, starych złodziei się rozpędziło — oficialistom zmniejszyłem pensyję — gracialistóm dałem zatrudnienie — poddanym odebrałem futory i uszczupliłem sianożęcie — co wszystko podwyższy dochód skarbu JW. Pana.

— Ale mój P. Antoni czy z téj przyczyny nie ma narzekań — bo ja tego bardzo nie lubię.

— Niech JW. Pan będzie spokojny, nie bez tego żeby z początku nie było pisku, bo próżniakom porządek się nie podoba, ale późniéj błogosławić będą JW. Pana.

— Dziękuję ci mój P. Antoni, twoje usiłowania mogą zwiększyć dochody — ale ogólnych interesów nie poprawią — P. Cyrjak przedstawił mi stan majątku — mamy znaczne długi, kredyt zachwiany, processa niepokończone, żąda 3000 r. s. na koszta prawne,

dochodami ani można mieć nadzieje byśmy wyszli z przykrego położenia. — Poradź co na to — bo inaczéj będzie źle z nami — może dobra wypuścić w dzierżawę, lub część ich sprzedać.

— Myśli JW. Pan że wierny jego sługa nie zastanawiał się nad rzeczywistym położeniem majątku. — Dzierżawę wypuszczać nie można, bo to ostateczna dezolacija — sprzedanie dóbr osłabia kredyt. — P. Cyrjakowi Chaptyńskiemu trzeba niezwłócznie dać żądane pieniądze na koszta prawne, — bo niepoparciem processu krocie przegrać możemy. — Na to wszystko trzeba mieć pieniądze, musiemy zwiększyć kredyt, ale go nie osłabiać.

— Powiedź więc P. Harapiński jakim to sposobem być może.

— Jest tylko jeden ratunek, trzeba nam w jak najprędszym czasie zbudować cukrowarnię.

— Ależ taka antrepryza wymaga ogromnego kapitału i ciągłych nakładów.

— Bagatela JW. Panie. — Cukrowarnię

nikt nie stawia za własne pieniądze — ta spekulacija obraca się kredytem, kupcy dają z góry pieniądze, machiny biorą się na kredyt robi się kontrakt na cukier, część kapitału rafinerija wylicza z góry z jakimś tam ustępstwem na pudzie. — A przychodzi rok urodzaju na buraki, wszystkie awanse się pokrywają — i w dalszych latach każdo rocznie cukrowarnia może przynosić JW. Panu czystego dochodu po 30,000 r. s.

— Prawdę mówisz kochany P. Antoni, dawno o tém marzę — ale zawsze mię nie dopuszczał do téj antrepryzy P. Telesfor.

— Co JW. Pan masz go słuchać, jemu się zdaje że on zawsze guwernerem, może on po książkach i rozumny, ale do gospodarki mu się nie wtrącać — to nie jego rzecz. — Dobrze jemu że pieczone gołąbki przychodzą do gąbki — ale skąd się one biorą, to jemu ani w głowie. — Jeśli fantazyja JW. Pana go trzymać, niech siedzi, ale niech się nie miesza do gospodarstwa.

— On z dobrego serca rady mi daje, lecz

nie jestem obowiązany go słuchać, osobliwie w rządzeniu majątkiem—ale powiedź mi P. Antoni czy to pewno że zyski są tak olbrzymie z cukrowarni.

—Sto przykładów JW. Panu bym przytoczył, że przez cukrowarnię podupadli Panowie wyszli na magnatów—ale wiedząc że JW. Pan więcéj wierzysz drukowanym ogłoszeniom, jak jawnym dowodom—przyniosłem JW. Panu kilka numerów Dziennika Warszawskigo, którego moja Pelcia ma ciągle od P. Ptasińskiego, któremu P. Pocztmejster udziela—tam JW. Pan znajdziesz jak wół wydrukowano—jakim sposobem JW. Pan Gomułka wystawiwszy cukrowarnię bez żadnego kapitału, pożyczając za 2½ procenta miesiącznie, przyszedł do rocznéj intraty 60,000 r. s.

—A to rzecz przedziwna, jeśli to wszystko przyprowadzisz do skutku, wdzięcznym ci będę na całe życie, Bóg mi natchnął myślą powierzyć ci rządy majątku, ty jeden wyprowadzić możesz z przykrego położenia.—Numera

gazety, gdzie jest o JW. Gomułce zostaw mi do odczytania a ja je sam oddam Pelci.

P. Harapiński przedstawił P. Jerzemu już projekt do wybudowania na wielką skalę cukrowarnię,—summy w rachunkach chociaż były ogromne, lecz nie potrzebował gotówki, wielkie koszta pokrywały się tak dowodnie— tak do przekonania większemi jeszcze dochodami iż P. Jerzy bez wielkich namysłów zgodził się aby w ten moment przystąpiono do uskutecznienia projektu i w tym celu kazał sporządzić ogólną plenipotencyę na imię P. Harapińskiego, do zawierania kontraktów, umów i zaciągania na ten cel długów.

P. Komisarzowa z córkami oczekiwała powrótu męża z wielką niespokojnością, nie byli pewni czy zręcznie P. Antoni przedstawi projekt cukrowarni, wypracowany przez P. Cyrjaka Chaptyńskiego i Narcyza Ptasińskiego— czy według instrukcyi potrafi z lekka zachwiać przeważny wpływ P. Telesfora na dziedzica, aby w przyszłości samowładnie

mogli go owładnąć — P. Antoni wszedłszy do domu obstąpiony przez żonę i córki zawołał.

— Teraz wyznaję że to nie bagatela, rozum mojéj P. Rózi, — wszystko od *a* do *z* tak się stało jakieś ułożyła. — Nic nie pojmując o cukrowarni, plotłem mu bez zająknienia coś mię wyuczyła — przytém jak siekierą podciąłem starego bakałarza, a jak odczytał projekt, to ledwo nie rzucił mi się na szyję, i kazał mi wydać plenipotencyją specialną do zawierania umów i zaciągnienia długów.

— A co — a co wołała, P. Harapińska — słuchaj mnie a wyjdziesz na człowieka.

— A co widzisz papo jak edukacya potrzebna — dodała Frania.

— A co przekonał się papo że mamy rozum — rzekła Pelcia.

— Papo został z naszéj łaski Komisarzem — wołała Frania.

— A dziś został specialnym Papo, przerwała Pelcia.

— No — no jeśli tak daléj pójdzie rzekł

P. Antoni to się sprawdzi co nieboszczka matka zawsze mówiła. — O Antosia jestem spokojna bo się on w czépku urodził! — Wyrobiłem P. Chaptyńskiemu 3000 r. s. a Gazety sam dziedzic z podziękowaniem odniesie jutro Pelci. . . . . .

— Spodziewałam się po jego ugrzecznieniu — rzekła P. Pelcia — że nas odwiedzi, za tyle dowodów naszéj przyjaźni dla niego, to się nam należało.

— Czemu Papo nic nie wyrobił dla P. Agatona Iwanowicza, dodała Frania przecież on jest przyjacielem naszego domu.

— Bądź spokojna — odrzekła matka, on sam nie zaspi gruszek w popiele, otrzymał już znaczną pensyję — a późniéj i o nim pomyślemy.

Zadowolenie z siebie było ogromne we wszyskich członkach rodziny. — Pani Komisarzowa urządzała dóm na coraz wykwintniejszą stopę. — Kupiono kocz z foderdachem — do sieraczkowych surdutów u lokaja i furmana dodano żółte wypustki. — Dziewczynie

przyznaczonéj do usług panien sprawiono pończochy i trzewiki. — Zamyślano o nowém umeblowaniu domu, o sprowadzeniu lampy do salonu. — Panny Komisarzówny oddały się wyłącznie strojom i czytaniu — przy szczęściu zaczęła się w nich rozwijać żądza talentów. — Frania kupiła sobie gitarę, brzękała już kilka ukraińskich piosnek, kilka mazurków i polek i akompaniowała Pelci do śpiewu, która głos swój wykształcać zaczęła usilnie — a że ogród pałacowy przytykał do komisaryi, wieczorem obie siostry napełniały gaje muzyką i śpiewem. — To patrząc na księżyc — nuciły znaną pieśń »wypłyń, wypłyń z zaobłoku« — to w rzewnych tonach śpiewały »Jakiż to chłopiec piękny i młody — Jakaż to obok dziewica?« — A gdy przyszło wyśpiewać wiersz balady »Lecz czy dochowa przysięgi«? głos ich wzmocniony uczuciem, tak był silny i rozległy, iż odbijał się o ściany pałacu dziedzica i nie raz Panny Komisarzówny usłyszawszy jakiś szelest w przyległym klombie, spłoszone jakby pojawieniem się ducha ucie-

kały do swego mieszkania. — P. Harapiński całą zmianę swego położenia, zasadzał na dawnym i pogardliwym obchodzeniu się z podwładnemi mu oficialistami — a odwiedzając co raz częściéj szafkę z przewyborną anyżówką — przemawiał z rozrzewnieniem do niéj.

— Róziunia myśli że to ona mnie uczy rozumu — a nie wie że byłbym w obecności dziedzica wiecznie głupi, gdybyś — ty jedyna moja protektorka nie dodawała mi odwagi.

I po wynurzeniu swéj wdzięczności wychylał zwykle podwójną porcyję, z znanym nam wykrzyknikiem.

— Pal go diabli jakaż przednia! obywatelska!

WIZYTA w SĄSIEDSTWIE.

Pan Jerzy Kołomirski przypatrzywsy się zblizka interesom, poznał raz pierwszy, że największy majątek utracić można — a gdy źródło dochodów wyschnie nie pojmował życia; przerażony widmem ubóstwa straszniejszym od śmierci, pocieszał się dwóma środkami poprawienia zawikłanych interesów i całą nadzieję szczęśliwéj przyszłości oparł na cukrowarni i bogatym ożenieniu się — odczytywał z uwagą projekt podany przez P. Harapińskiego, sprowadzał rachunek, kilka arkuszy papieru zapisał cyframi, i co raz jaśniéj się przekonywał że burak go zbawi, wreszcie oczywisty przykład P. Gomułki, przykład drukowany którego P. Jerzy nie miał

cierpliwości doczytać do końca, nie był że dostateczną rękojmią najszczęśliwszego pomysłu założenia cukrowarni—tytuł sam tego artykułu o pomyślności zapewniał. Chcąc być pewniejszym jeszcze kapitału obrótowego, a może marząc w przyszłości o rafinerii, postanowił koniecznie bogato się ożenić. Na pierwszym planie była Panna Anna Leliwska, córka znanego już nam Prezesa, jedynaczka, piękna, dobrego rodu, mówiono trochę w sąsiedstwie o jéj kaprysach, o wychowaniu cudzoziemskim, że Angielki—Szwajcarki i Francuzki tak zmąciły, skrzywiły jéj umysł i wysuszyły serce, iż dziwnemi zdaniami odstraszyła już nie jednego pretendenta.—Lecz P. Jerzy trzymał się najrozciąglejszéj tolerancii, nie mógł tylko odstąpić dwóch warunków piękności i bogactwa, a oba te przymioty posiadała Panna Anna,—kilka panien miał jeszcze na drugim planie—bo były lub mniéj ładne, lub mniéj bogate.—Zaczął więc P. Jerzy jak każdy dziś młody kawaler, o zjednanie sobie serca najbogatszéj.

W pięknym powozie na telegrafach, z kamerdynerem francuzem, przybył P. Jerzy do Kożówki rezydencyi P. Prezesa Leliwskiego — oprócz domowego towarzystwa które się składało z P. Prezesa i Pani Prezesowéj, z Panny Anny ich córki i z trzech niegdyś guwernantek, a dziś przyjaciółek Miss Mery, M-lle de Jacabelle i M-a Thourne, kilka sąsiadów i sąsiadek z córkami napełniały salony. — Między temi gośćmi była P. Podkomorzyna z córką Izabellą wielką muzyczką i synem 25 letnim ukrytym pretendentem do Panny Anny, który torował sobie drogę przez Pannę de Jacabelle. — P. Marszałkowa przywiozła córkę wielkiéj pobożności: — ciągle mortefikującą swe ciało na korzyść ducha, który jak mówiono miał być daleko piękniejszy od jéj ciała. — Była też i siostra rodzona gospodyni domu, P. Jenerałowa z piękną Zosią i z synem Alfredem, który jako poeta kochał się tajemnie w Miss Mery a robił sobie matrimonialne interessa przez protekcyię P. Thourne, która miała wielki wpływ na P. Annę.

Pan Jerzy chociaż nie mógł się poszczycić protekcyą exguwernantek, jednak wiedzieli nie tylko Państwo Prezesostwo i sąsiadki — lecz słyszały guwernantki i panienki że Pan Jerzy ma 2000 dusz, co zalecało najwymówniéj młodego kawalera i rzucając jakiś urok na jego osobę, skłaniały wszystkich do arcygrzecznego przyjęcia. — Po ukłonach, ściśnięciu rąk, dyganiu, rozmowa zaczęła się zawiązywać, roztaczać i płynąć bez przerwy jak huczący strumień — Na jedną chwilę nikomu wyrazów nie zabrakło — gradem leciały z ust każdych — nie wiele było myśli w słowach, lecz P. Prezesowa biorąc to za dowód najwyższego wykształcenia, na jedną sekundę nie dała upaść rozmowie. Gdybyśmy chcieli ją powtórzyć, cały rozdział musielibyśmy napisać po francuzku, z małemi makaronizmami angielszczyzny i niemczyzny, które Miss Mery i P. Thourne wprowadziły do *żargonu* czysto paryzkiego, upowszechnionego w Kożówce przez P. de Jacabelle. Dla uniknienia owéj pstrokacizny po książkach, całą rozmowę to-

czona w salonie państwa Prezesostwa przełożywszy na nasz język, zaco pewnoby dasały się damy z Kożówki, a Miss Mery, M-lle de Jacabelle i P. Thourne okrzyknęłyby mię gburem i barbarzyńcą — lecz że w Kożówce nie czytają książek polskich, nie dowiedzą się zapewne że śmiałem spolszczyć ich słowa.

Pani Prezesowa, prędko, o ile tylko drganie języka wydołać może, mówiła do Pana Jerzego.

— Czyż to się godzi zapominać o przyjaciołach — o sąsiadach — już miesiąc upływa jak miałam przyjemność oglądać go w mym domu, to jest prawdziwa niewdzięczność, bo P. Jerzy wié dobrze jak go szanujemy i kochamy. — Prawda że P. wszystkim wystarczyć nie możesz, bo każdy chciał by spędzić choć kilka chwilek w najmilszym jego towarzystwie.

— Niezawodnie — dodała P. Podkomorzyna w jego towarzystwie i zabawić się i nauczyć się wiele można — dzisiejsza młodzież nudna pedancko — impertynencko milcząca — P.

jesteś wzorem dla naszych synów. P. zaczynasz nową erę, wskrzeszasz zapomnione już życie salonowe.

P. w swoich ruchach — przerwała Jenerałowa — przypominasz mnie, naszą złotą młodzież pod blachą — elegancya — dobry ton —. uprzejmość dla płci pięknéj — jak by wyniosłeś z salonów X. Józefa — bagatela! — Prowincya nasza będzie Panu wiele winna, bo chrapowata nasza młodzież przy nim nabierze poloru bagatela!

— Nieprawda siostro — rzekła Prezesowa do Jenerałowéj. — Jak P. Jerzy przypomina swą matkę — ten cud piękności.

— Niezawodnie — podchwyciła Podkomorzyna.

— Istotnie — odrzekła Jenerałowa też same duże czarne oczy, ten sam uśmiech co tylu czarował — bagatela!

Pan Jerzy za każdym komplementem kłaniał się damom, a złapawszy trochę dłuższy przestanek, który pozwolił mu otworzyć usta — rzekł.

—Panie mię psujecie, mógłbym się wbić w dumę, że przedstawicielki najlepszego towarzystwa, raczyły mię uszczęśliwić swémi pochwały, na jakie zasłużyć sobie jeszcze nie mogłem i nie umiałem.

—Po co ta skromność przerwała P. Prezesowa—Pan wie że ja pochlebiać nie umiem.

—Niezawodnie — dorzuciła Podkomorzyna.

—Najświętsza prawda—rzekła Marszałkowa—my się tém brzydzimy—pochlebstwo to grzéch, nieprawdaż Klaro?

Panna Klara córka Marszałkowéj nie podniósłszy spuszczonych oczów odrzekła.

—Pochlebstwo wiedzie do kłamstwa, kłamstwo do grzéchu śmiertelnego, a grzéch śmiertelny do piekła.

Panna de Jacabelle trąciła łokciem Pannę Annę. — Pani Thourne Zosię, a Miss Mery Alfreda i uśmiech szyderski jak iskra elektryczna przebiegła po wszystkich ustach.

Panna Anna śmiejąc się zawołała.

—Twoje piekło Klaro coraz więcéj mi się podoba—diabełki twoje muszą bydź grzeczni, gdy umieją pochlebiać—kłamią, więc obdarzeni są bujną imaginacyą, siedzą w piekle za grzéchy śmiertelne, dowód że są namiętni—gdyby nie te bajeczne rogi i ogony grzeczni i przyzwoici byliby kawalerowie.

—Gdyby jak dawniéj chodzili po świecie dodała M-elle de Jacabelle podbiliby nasze serca.

Tak mało kawalerów jest dzisiaj rzekła P. Thourne, że i oni przydaliby się w naszych salonach.

Pan Alfred Poeta zawołał.

—Lepiéj sprowadzić Panie Anioły z nieba, oni umieją kochać.

—Miłość aniołów jak nasz Poeta Moor przedstawia, rzekła Miss Mery, zanadto ckliwa.

—A Lamartinoska w upadku anioła bardzo nudna—dodała P. Jacabelle.

—Do takich heretyczek jak wy—rzekła Panna Klara nie zlecą aniołowie—święci i pobożni mogą tylko mieć styczność z niemi.

— Odstępujemy ci tych nudnych kawalerów — przerwała Panna Anna.

Panna Izabella muzyczka rzekła.

— Ja staję w obronie Klary, bo mówią że aniołowie prześlicznie śpiewają.

Niebo jest to wieczną harmoniją, a piekło najkompletniejszą dyzharmonija — ci tylko będą w pie le co nie mają w sobie organu muzycznego.

Pan Jerzy jednym uchem łowił dziwną rozmowę panien — a drugim musiał słuchać dalszych komplementów — P. Prezesowéj — Podkomorzyny, Marszałkowéj i Jenerałowéj — gdy już wszystkie przymioty i zalety Jerzego były mu przed oczy w olbrzymich rozmiarach przedstawione, zaczęły nasze matrony chwalić się wzajemnie, ściskać, całować, oświadczać się z najszczérszą przyjaźnią, rozrzewniać się nad cnotami każdéj zosobna. — A P. Jerzy spostrzegłszy że na chwilę przestał być feniksem i bohaterem szanownych matron, z myślą — o jakże one się szczerze kochają! przybliżył się do grona panien.

P. Kołomirski usiadł przy P. Annie powiedziawszy jéj kilka grzecznych frazesów, był pochwycony w swéj myśli przez grono panien i exguwernantek, które zaczęły sypać jak z rogu obfitości pochwały o zaletach i rozumie P. Anny — nie wypierając się z należnych jéj hołdów, P. Anna wywzajemniła się chwaląc, to talent muzyczny P. Izabelli — to świętość Klary — to piękność Zosi — to rozum swoich exguwernantek. Jak by za danym tym hasłem jedna drugą zaczęła wywyższać i ubóstwiać się wzajemnie. — Przywołano wszystkich do herbaty — a P. Jerzy szedł za niemi z myślą: —

O jakże one wszystkie są dobre, i jak się kochają wzajemnie!

Po herbacie rozproszono się po ogrodzie P. Jerzy podał rękę P. Annie — a oddaliwszy się nieco od towarzystwa rzekła.

— Musiałeś Pan w duchu pękać ze śmiechu gdym sypała pochwały tym koczkodanom, Klara wygląda jak zakrystjan — matka jéj myśli że Jezuicką minką potrafi ułowić bo-

gatą partyę. brzydzę się hipokryzyą.—Zosia ładniutka ale głupia, ciocia sama kokietka—Izabella myśli że artystka, a uszy mię puchną gdy zacznie bębnić na fortepianie, jeszcze przy jéj matce trzeba chwalić i słuchać z uwagą—moje guwernantki zle że dotąd żadnego kawalera nie złapały w swe sidła—biedna Miss Mery myśli że Alfred w niéj się kocha, M-lle de Jacabelle mizdrzy się do Pana—a P. Thoure skacze koło mego ojca, to prawdziwa męka być w ich towarzystwie.

—Jak Pani potrafiłaś tak trafnie uczynić spostrzeżenie rzekł P. Jerzy.

—Cóż dziwnego mam lat 18 i mówią że mi rozumu nie braknie.

—Panie Jerzy!—P. Jerzy! wołała Jenerałowa.

P. Kołomirski się zbliżył i wziął ją pod rękę.

—Byłam najszczerszą przyjaciółką twéj matki—rzekła Jenerałowa otwarcie—więc z jéj synem mogę pomówić, spostrzegasz za-

pewno jak Prezesostwo cię łapią do Anny, bagatela! — Boże cię uchowaj wchodzić w te związki — Prezes szuler — Prezesowa choć moja siostra, bagatela — jednak muszę ostrzedz syna méj przyjaciółki, że jest najsławniejsza komerażnica — Anna bez żadnych zasad — bez serca — to ładniutkie monstrum strzeż się by cię nie złapała.

Naprzeciw Jerzego i Jenerałowéj biegła Zosia uśmiechając się.

— Wiem czego się śmiejesz Zosiu — bagatela — rzekła matka przed przyjacielem śmiało mówić można — śmiejesz się z Anny.

— Któż by się nie śmiał z téj warjatki — odpowiedziała Zosia, pozwolono mieć kobiecie trochę kokieteryi, ale tak się rzucać komu na szyję — gwałtem, jak ona P. Jerzemu, to trzeba wszelki wstyd zetrzyć z swego czoła przysięgnę że przed P. Jerzym musiała nas dobrze ogadywać.

— Trochę było niewinnego żartu odrzekł Jerzy.

— Znamy jéj żarty — bagatela! przerwała

Jenerałowa, równają się one świętym potwarzam Marszałkowéj i słodziutkim szyderstwom Podkomorzyny, uciekaj P. Jerzy od tego towarzystwa—bo cię skłują swemi żądłami—bagatela!

—Nie sądzę aby to była bagatela.

Rozmowa długo toczyła się na téj że saméj osi, bryzgając błotem na wszystkich znajomych, gdy z przeciwnéj ulicy w téjże chwili wychodziła P. Marszałkowa z Klarą.

—Cóż kochane panie tak samotne bagatela! rzekła Jenerałowa—pewno jakaś narada o gdzieś cierpiącym w ukryciu,—lub Klarcia musiała odmawiać swe pacierze—modląc się wśród tak cudownéj natury, modlitwy prosto lecieć muszą do nieba osobliwie z ust takiego aniołka jak Klarcia.

—Pomódl się czasem za mną dodała Zosia.

—Zosiu—rzekła Jenerałowa, ciocia cię oddawna szuka w ogrodzie bagatela! chodźmy do niéj a P. Jerzemu zostawmy pryjemność rozmowy, która każdemu leje spokój i pociechę do serca.

Jenerałowa z córką odeszła — a P. Marszałkowa rzekła do Jerzego.

— Przechadzałyśmy się samotnie z Klarą, rozmowy tych dam światowych tak nas nurzą, tak męczą, iż potrzebujemy czasami wypocząć i westchnąć za niemi do Boga aby ich nawrócił, — to poprostu Sodoma i Gomora.

— Ach mamo — boję się żeby Bóg nie tylko piekłem po śmierci, ale i w tém życu wielkiém nieszczęściem ich nie skarał.

— Nasłuchałeś się już P., rzekła Marszałkowa — intrygi potwarzy — Anna musiała nas wszystkich ogadać — Jenerałowéj nikt w téj sztuce nie zrówna, wszystkich czerni i w końcu dodaje że to *bagatela.* — Podkomorzyna z swoim przysłowiem, *niezawodnie* potakuje wszystkim kłamstwom Prezesowéj.

— Wyznam Pani odrzekł P. Jerzy — że oszczerstwem się brzydzę i nawet nie zwracam żadnéj uwagi na potwarze.

— Bo P. dobry, bo P. święty — przerwała P. Marszałkowa.

— O Pan otrzymasz za to nadgrodę

wieczną i doczesną — dodała Klara — o jak bym rada zbawić duszę Anny, lecz ona sama z uśmiechem wybiéra się do piekła, mówi że diabli mają być przyjemni, o! żadne poczciwe i szlachetne serce nie może ją kochać.

— Wiem ja o jéj zamysłach — rzekła do Jerzego Marszałkowa — lecz znam zacne zasady Pana i pewna jestem że brzydkość jéj ducha nie może się mu podobać — Panu potrzeba towarzyszki pobożnéj cnotliwéj i świętéj.

P. Podkomorzyna chodząc po ogrodzie zwoływała całe towarzystwo do salonu, gdyż już córka P. Izabella zaczęła jakąś wielką fantazyę z warjacyami, spotkawszy się z Jerzym i Marszałkową rzekła.

— Jeśli chcecie posłuchać cóś cudównego biegnjice prędko do salonu, Izabelka egzekwuje teraz przecudowną muzykę, *niezawodnie* podniesie to waszego ducha i zachwyci jakby śpiew aniołów. — Jerzy podał rękę P. Podkomorzynie, która scicha mu rzekła.

— Jestem *niezawodnie*, wybawicielką P.

umarłbyś zapewnie z nudów gdybym nie przyszła ci w pomoc. — Nic nieznośniejszego jak pobożne niewiasty żyjące nie w klasztorze, lecz na świecie. — Te straszydło, Klara niby się kocha w aniołach, a łapie wszystkich młodych kawalerów, zarzuca bezwstyd i kokieteryę Annie. — A sama moralnie jest zdeprawowana. — Co za wychowanie! niezawodnie, godni tu wszyscy jedni drugich — co Pan sobie myślisz że mię z Izabelko zastałeś w ich towarzystwie — niezawodnie czynię to z bojaźni ich języków padalczych.

— Przyznam się Pani rzekł Jerzy, że — tyle kofidencii odebrałem iż zapomniałem kogo chwalono lub ganiono — śpieszmy bo słyszę cudowną muzykę Panny Izabelli.

Niezawodnie — że jest dziś najpierwszą artystką Hantzelt się zachwycał, Liszt warjował — Katski się zdumiał, a tu na wsi cała moja roskosz że wszystkie panie pękają z zazdrości — chodźmy — chodźmy — Pan słysząc wielkich artystów, mając wznioślejszego ducha — niezawodnie jéj grę zrozumiesz.

Wszyscy już słuchali w salonie gry Panny Izabelli, gdy wszedł Jerzy z Podkomorzyną, uśmiesh szyderski przelatywał po wszystkich ustach przy ciągłych wykrzyknikach jakby z wieży babilonowéj *ravissant, admirable, werywell, wunderschön* i t. d.

M-lle Jacabelle szeptała cóś w ucho Jerzemu—P. Thourne czyniła z swéj strony różne dowcipne spostrzeżenia. Miss Mery odciągnąwszy P. Kołomirskiego z oblężenia koleżanek, zaczęła po kolei śmiać się ze wszystkich, ogadując nie tylko swą elewkę, dóm który ją karmił i dogadzał wszystkim kaprysom, ale szkalowała zuchwale cały nasz naród, dodając zwykły przymiotnik upowszechniony przez zagraniczne exkucharki i exszwaczki—*les barbares.*

Wieczorem P. Jerzy pożegnał towarzystwo—Prezes obiecał przyjechać na partyjkę, skarżąc się iż kobiety nie dały mu słowa do gościa przemówić — a Pani Prezesowa odprowadzając P. Jerzego rzekła.

—Przebacz mi P. te kilka godzin nu-

dów — zastałeś nieszczęściem grono parafianek, które trzymały cię w ciągłém oblężeniu, lecz cóż robić żyjąc na wsi trudno o dobrane towarzystwo, musiemy każde tolerować — przyjedź P. Jerzy gdy będziemy sami, ubawiemy się ich kosztem, bo to oryginały jakich już nie widać. — Dajesz mi Pan słowo że wkrótce nas odwiedzisz.

— Spełnię z największą przyjemnością rozkaz Pani.

Ścisnął jéj rączkę, i wiedząc o zwyczaju Prezesowéj że czasem w sieniach gawędą swoją przetrzymała nie raz gości po parę godzin, nie czekając podziękowań i nowych komplementów, pośpiesznie wskoczył do powozu.

Panu Jerzemu jakby tartak usadowił się w głowie — ciągle mu cóś stukało, bębniło w uszach, zdało mu się że miliony słów jeszcze z Kożówki lecą ku niemu — a dwa wyrazy *niezawodnie* i *bagatela* zmieszane z pasażami hucznemi P. Izabelli, towarzyszyły mu aż do domu. — Trochę wypocząwszy,

zaczął się przechadzać po pokoju, i myśleć nad wrażeniem jakie na nim uczyniono i jakie on czynił w Kożówce. — Po ścisłym rozbiorze rzekł do siebie.

— Co mi tam, że te baby się jedzą — powiem jak Jenerałowa to *bagatela* ale że wszystkie mamy życzą mię mieć za zięcia, a wszystkie panny oddałyby mi swą rękę, powiem jak Podkomorzyna — że to *niezawodnie.* — A oto mnie właśnie idzie. mam prawo wyboru, Zosia najmilsza i będzie miała piękny posag, ale Jenerałowa ma dożywocie, a gdy przyjdzie do wydzielenia cóś córce — powie że to *bagatela* i jakąś istotnie bagatelą zbyć mię gotowa — Izabella takoż nie uboga — ale artystka, a artyści nie dbają o pieniądze, braciszek 25 letni gotów wmówić że taki talent nie potrzebuje posagu, a Pani Podkomorzyna powie *niezawodnie* — Klara będzie może najbogatsza, — bo te miłosierdne panie dobrze ładują worki, i jakiemiś tam okruszynami skarbią sobie niebo, ale wątpię czy posag pozwolą mi użyć na moje spe-

kulacye, może pomyśli przed śmiercią legować swój kapitał na klasztory. — Panna Anna wcale nieszpetna twarz pełna życia i wyrazu, majątek pyszny, jedynaczka — wielkie słowo! Powiadają że zaraz wyznaczają półmilona złotych, a później wszystko — lecz z tego półmiliona trzeba dać baserónki exguwernantkom nie opłaciwszy komory nie można wywieść towaru. — Kto widział trzymać ich aż troje, z jedną trzeba się obliczać na franki, z drugą na reńskie, z trzecią na funty sterlingi — kłopot nie mały, ale wielkie to słowo — jedynaczka!

Przechadzał się w milczeniu P. Jerzy i po długim namyśle rzekł sam do siebie.

— Ożenię się z Anną najpewniejsza szansa, z Prezesem żyję w przyjaźni pomówię z nim kiedyś otwarcie, i rzecz będzie skończona — do guwernantek użyję Pułkownika.

Gdy tak marzył P. Jerzy Kołomirski — wszedł P. Telesfor Sokratecki a po dość serdecznym przywitaniu zapytał.

—Cóż kochany Jerzy — wesołoś czas przepędził w Kożówce.

—Przewybornie przyjęto mię jak królewicza — pochlebiano — skakano — zaproszono, zastałem Zosię — Izabellę — Klarę, wszystkie chciały mię ująć grzecznościami wiem że zostawiłem w Kożówce najlepsze wrażenie, a może pobudziłem nie jedne serduszko do zazdrości.

—Znam całe te towarzystwo — odrzekł P. Telesfor — nikt tam nie jest tak uprzejmie przyjęty jak bogaty kawaler. — Niech by się dowiedziano o twoich interesach, o wiele ostudziłby się zapał do twoiéj osoby - Powiedz mnie czyś się którą szczerze nie zajął?

—Najlepiéj podobała mi się Anna, zdaje mi się że cóś nakrztałt miłości, roznieca się dla niéj w mym sercu.

—Uwierzył bym temu, gdyby miłość mieszkała w głowie—powiedziałeś sobie że się trzeba żenić, że tym związkiem poprawisz swe interesa, kto wie, może oni też same mają myśli—oszukujecie się wzajemnie, i to

jest jedyny zgodny węzeł który was łączy — Bo niesposób kochany Jerzy abyś czuł miłość dla osoby któréj wychowanie było tak źle prowadzone — jakieś awanturnice zasiały w jéj sercu pogardę dla własnego kraju, szyderstwem oziembiły wiarę najfałszywszemi teoryami ostudziły serce. — Rozmawiałem nieraz z Anną i znam tę młodą latorośl bez kwiatu — bez woni — pod którą gładką korą kryje się same robactwo.

— Przestań kochany Telesforze — bo twoje słowa mię jętrzą i bolą — nienawidzisz wszystkich kobiet w ogólności i chcesz bym został jak ty starym kawalerem — lecz to napróżno ożenić się muszę, a Panna Anna podobała mi się najszczerzéj — mam pełne lata rodzice nawet zostawują dzieciom wolę wyboru — zkądże przywłaszczasz sobie prawo tego moralnego dyspotyzmu.

— Bo kocham ciebie mój Jerzy, bo znam dóm Prezesostwa z całą ich koteryją najdoskonaléj bo znam ciebie i wiem że tam szczęścia nie znajdziesz.

—Ty jesteś tylko dla mnie ptakiem złéj wróżby — pozwól niech zacznę się rządzić własnym rozumem. — Gdybym ciebie P. Telesforze nie słuchał dawno bym już nie miał interesów — zawsze byłeś przeciwny założeniu cukrowarni — a przekonałem się dowodnie, że tylko fabryka ocali mi majątek — Jeśli chcesz ażebyśmy byli w zgodzie — uwolń mię od rad w spekulacyach i małżeństwie.

—Sumienie moje nakazuje ci ostrzedz gdy idziesz blizko przepaści — rzekł smutnie P. Telesfor — z bolem serca widzę że nie wierzysz mym słowom — jeśli nie masz we mnie zaufania próżne byłyby moje przestrogi — rób więc co chcesz — lecz błagam cię kochany Jerzy przyrzeknij mi, na cienie twych rodziców — iż gdy sam przejrzysz jasno że stoisz nad przepaścią, gdy broń Boże cierpienia jakie uciskać cię będą — wówczas przywołaj twego starego nauczyciela, może Bóg pozwoli jeszcze wywieść ciebie z błędnéj i przepaścistéj drogi, którą sobie obrałeś, może będę w możności przynieść ci jakikolwiek ratunek,

Łzy się kręciły w oczach Telesfora a P. Jerzy zmiękczony rzekł.

—Uspokój się poczciwy Telesforze któż nademnie wié lepiéj co mnie szczęście zapewnić może—ty myślisz że twój uczeń jest doskonałością, że tylko doskonałoście mogą się mu podobać—mam wady i umiem je w drugich pobłażać. — Anna nie jest tak zepsuta jak ci się wydaje—jak ją kiedyś liepiéj poznasz będziesz z niéj zadowolniony.— Słuchać cię będę mój Telesforze we wszystkiém, wyłączam tylko jakiem ci mówił spekulacyę i małżeństwo.—A gdybym miał jaki zawód—czy w jednym czy w drugim, daję ci słowo że będę zawsze szukał pociechy w twém dobrém i przychylném dla mnie sercu.

Wkrótce się rozeszli po téj rozmowie — Jerzy z prawdziwą radością, że się zdobył na zrzucenie z siebie kajdan starego nauczyciela, P. Telesfor ze smutkiem rodzicielskiego przeczucia o przyszłość ukochanego Jerzego.

PANI EKONOMOWA OBYWATELKĄ.

Minęło kilka miesięcy P. Kołomirski odwiedzał często sąsiadów w Kożówce i zawsze najmiléj był przyjęty — jednak jeszcze nie przyszło do formalnych oświadczeń. — Przyjaciele jak zwykle odwiedzali, grali diabełka i pili szampana — P. Telesfor już więcéj nie wspominał o cukrowarstwie i małżeństwie — Fabryka się wznosiła sprowadzono machiny — obszary zasadzone burakami nieźle wyglądały, wszystko szło dawnym trybem — życie dość wesoło ubiegało, rozświetlone najprzyjaźniejszemi nadziejami. — Jedna była tylko zmiana choć nie widoczna — choć ukryta — jednak trapiła P. Jerzego. — Kassa niegdyś pełna, stała pustką — leżało tylko w niéj kilka wor-

ków miedziaków, ledwo wystarczających na rozpłacenie się tygodniowe z plewaczami.— Skrypta się mnożyły, bankierowie podwajali procenta — Żydki oblegali komisaryę — lecz jeszcze nie weiskali się do pałacu — pocieszał się P. Jerzy że P. Gamułka musiał przez taką koléj przechodzić, póki mu cukrowarnia nie przyniosła 60,000 r. s. czystego dochodu *) Cierpliwości! cierpliwości! wołał ciągle P. Chaptyński — upewniał P. Komisarz że wszysko idzie przewybornie — żydki upewniali że burak zbawi JW. Pana.— A Pan Jerzy powtarzał w myśli.

— Tak burak i Panna Anna. Gdy kilka miesięcy nie zrobiły żadnéj powierzchownéj zmiany w życiu P. Kołomirskiego, a przykrości spekulacyjne wynadgrodzone były złotą, obfitą nadzieją. — W domu P. Harapińskich

*) Pan Jerzy nigdy żadnego artykułu nie miał zwyczaju doczytać do końca a tytuł i pierwsze strofy hazardowne JW. Gamułki, zrodziły w nim przekonanie iż najszczęśliwiéj doprowadzi swą antrepryzę, płacąc po 2" procenta miesięcznie.

zaszły wielkie odmiany i cieszono się nie nadzieją, ale złotą rzeczywistością. — Dóm umeblowano, sprowadzono pożądaną lampę, która oświetlała bawialne pokoje, a przez nieumiejętność usługi przykrym swądem napełniała powietrze, truciczkami ciągle tłumiono czad olejny, ztąd rodzina Harapińskich codziennie żyła w atmosferze wędzonek. — Stalowe noże i widelce zastąpiono srebrnemi, twarde sofy wydęły się sprężynami — przybyły portrety familijne w złoconych ramach i S. Magdalena o dwóch światłach. — Po rogowych stolikach stały porcelanowe wazoniki ze sztucznemi spłowiałemi kwiatami, cała rodzina w téj chwili była zebrana w sypialnym pokoju P. Komisarzowéj, gdzie zwykle najważniejsze odbywały się narady.

Frania i Pelcia siedziały na mahoniowéj kanapie — matka w wygodnym fotelu, a ojcec nie mogąc nawyknąć do sprężyn, które go zawsze straszyły, usadowił się na kufrze okrytym pięknym dywanikiem — Pani Harapińska rzekła poważnie.

— Chociaż wam dałam przyzwoitą edukacyę i kontenta z was jestem, jednak muszę wam udzielić niektóre przestrogi. — Widzicie że moim staraniem pozycya nasza się zmieniła, trzeba więc się do niéj zastosować — zamknęłam drzwi przed nosem wszystkim dawnym naszym znajomym, bo ta zgraja oficialistów nie dla was, pozwoliłam bywać w naszym domu P. Chaptyńskiemu P. Ptasińskiemu i P. Agatonowi Iwanowiczowi, bo to ludzie z edukacyą, urzędnicy i mogą wyjść na obywateli.

— A wyjdą na obywateli — przerwała Pelcia — Pan Narcyz Ptasiński ma już kocz nowy, a jaki alegant, to aż miło.

— A Pan Agaton Iwanowicz dodała Frania — jak pięknie ubiera swego kuczera, mówił mi że przedstawiony został do krzyża.

— JP. Cyrjak Chaptyński — rzekła P. Komisarzowa — pójdzie wysoko — był podsędkiem — jak pokończy interesa P. Jerzego, zostanie na przyszłe wybory sędzią. — Wreście ci ludzie są nam potrzebni, trzeba z niemi

być grzecznie — lecz że już nie jesteście dziećmi, a Bóg wam dał i piękność i pozycyę, mogę otwarcie z wami pomówić.

—Niech kochana mama mówi otwarcie— przerwała Pelcia.

—Niech kochana mama wierzy że my już nie dzieci—dodała Frania.

—My wszystko rozumiemy — zawołały obydwie razem.

—Widoczna rzecz — daléj mówiła P. Komisarzowa, że Narcyz stara się o rękę Pelci—a Agaton Iwanowicz o Frani, nic w tém niema złego, bo to ludzie z edukacyą, ale zapowiadam wam, że z przyrzeczeniem nie można się śpieszyć, bo Bóg wié jeszcze jak my wysoko pójść możemy, lepsze partye mogą się dla was wydarzyć.

—A mama sama mówiła że my już nie dzieci, my już możemy stan odmienić— przerwała Frania.

—My się nie śpieszymy—rzekła Pelcia— ale oni się śpieszą, emablują, emablują, a potém pytają się czy będą szczęśliwi, to my

aż ráki popieczemy a oni tylko całują i powiadają że mamę będą prosić o naszę rękę.

—Bardzo rozsądnie robicie—rzekła matka—odsyłajcie ich zawsze do mnie—bo widzicie, że z ekonomostwa wyszliśmy na komisaryę, po dwóch latach zapewno wasz ojciec może być obywatelem—potém urzędnikiem, wtenczas marszałkowicze starać się o was będą.

—A mama potem zechce—przerwała Pelcia zrobić Papę Jenerałem, i znowu każe nam czekać.

—A my nie dzieci—mamo, my wszystko rozumiemy—dodała Pelcia.

P. Antoni który przez ten czas drzémał na kuferku—ocknął się usłyszawszy o Jeneralstwie i zawołał.

—Róziuniu! ja nie chcę być Jenerałem, na miłość Boga! uwolń mię od tego—daj Boże kupić nam wioskę—i basta.

—Lepiéj siedź cicho rzekła P. Harapińska—ty byś był wiecznie ekonomem gdyby nie ja—musisz być obywatelem—urzędnikiem,

zbieraj tylko pieniądze, to twoja rzecz — a ja wami wszystkiémi pokieruję.

P. Antoni zamilkł — a P. Komisarzowa daléj mówiła do córek.

—Nic nie mam przeciw P. Narcyzowi i Agatonowi, jednak śpieszyć się niema potrzeby — wy zawsze dobrą partyę zrobicie, mam przy tém moje widoki, przed wszystkiém powinnyście być wdzięczne P. Jerzemu — on wiele już dla nas zrobił — trzeba koło niego emablejować.

—Kiedy on tylko koło Pelci emabluje, rzekła Frania.

—Wiem ja o tém, mówiła poważnie matka, niech że Pelcia stara się go przyhołubić do siebie, on w tobie Pelciu do szaleństwa się zakocha — będziesz miała prezęciki — później jak zagramy, będzie musiał skakać—a potém kto wié co się stać może.

—Raz, mamo, wieczorem w ogrodzie — przerwała Pelcia zdybał mią P. Jerzy wziął mię pod rękę i spacerował ze mną długo, ręce moje ściskał, całował—gadał mi wiele

o miłości i tak pięknie, że aż miło było słuchać.

—Cóś z tego niebespiecznego może wyniknąć—mruknął P. Antoni.

—Ty nic nie rozumiesz rzekła żona.

—O co to Rózuniu, to rozumiem.

—Tobie zawsze jakieś głupstwo w głowie.

—Bo z tego Róziuniu jakieś nie potrzebne głupstwo wyrodzić się może.

—Milcz—Antoni—ty zbieraj tylko pieniądze, ja tém wszystkiém sama zaderyguję.

—Papo zaraz ma jakieś sprośne myśli—że aż my raki piec musiemy—rzekła Pelcia.

—Jak byśmy były bez edukacyi i cnoty—dodała Frania.

—Jak byśmy były prostaczki—zawołały obydwie siostry.

—Widzisz jak ciebie zkonfundowały, rzekła P. Harapińska do męża.

I daléj zaczęła mówić o koniecznéj potrzebie rozniecenia miłości dziedzica, że to jest jedyny środek dopięcia jéj ukrytych celów—zalecając przytém córkom cnotę, która

także potrzebną jest do jéj zamiarów. — Obie siostry z zadowolnieniem słuchały przestróg matki i obie jakby chcąc dowieść że skorzystały z jéj nauk, poszły do ogrodu i w cieniu drzew zaczęły śpiewać »Jakiż to chłopiec piękny i młody.« — Gdy wyszły córki P. Harapińska rzekła do męża.

— Ty jak jaki prostak zawsze z jakiemś głupstwem musisz się wyrwać przy córkach.

— Ba ja myślałem że te miłostki z Panem niebezpieczne.

— Z jakim panem? to twój pan chyba, ale nie nasz — zawsze tłumaczysz się stylem ekonomskim — a *ón* jest sobie P. Jerzy Kołomirski a moja córka P. Pelagia Harapińska, taka dobra szlachcianka jak i *ón*, że bogatszy to nie sztuka — *ón* może zbankrutować, a my mamy pieniądze i będziemy lepsi obywatele jak *ón* — a cóż dziwnego, jeśli P. Jerzy Kołomirski zakocha się w Pelci, będzie się starał o jéj rękę i jeśli za naszym zezwoleniem się z nią ożeni.

— Ale Róziuniu co tobie w głowie —

naco nam tak wielkiego pana za zięcia— jakbym ja gadał wtenczas do niego—co to z nim robić?

—Co za wielki pan—czy ty ślepy Antoni--czyż nie widzisz że jego państwo potrwa nie więcéj rok lub dwa, w interesach po uszy, już nawet i nam się zadłużył— nie wiem jak odbierzemy? przyjdzie się mu dopłacić i wziąść jaką jego wioskę, póki żydzi resztę majątku nie rozszarpią.

—Ta to tak niby Róziuniu, ale na cóż nam zięć goły.

—P. Chaptyński obiecał mi iż przy rozbiorze majątku, urwie cóś od żydów i to będzie stanowić jego fundusz, zawsze pańskie ostatki, mogą być szlacheckim kapitalikiem— a przytém gdy Bóg pobłogosławił naszéj pracy—gdy będziemy obywatelskim domem-- gdy możemy córki wyposażać, trzeba nam alijencyi.

—Jakiéj alijencyi Róziuniu?

—Nic nie rozumiesz alijencyi—to jest trzeba się pobratać z panami.

—Kiedyż on będzie goły Róziuniu.

—Goły, nie goły — taki cóś z łaski P. Chaptyńskiego i naszéj mieć może—ale zawsze jest to pańskie dziecko — ma stosunki familijne które będą nasze, będziemy krewni grafów—przy majątku pozyskamy konsyderacyę — możemy być wówczas brat za brat z grafami i wtenczas pokażemy co to Harapińscy.

—Niby to tak Róziuniu — lecz czy to wszystko się uda, może się z jakąś Panną bogatą ożenić—mówią że dojeżdża do Prezesówny.

—Wiém o tém, lecz to mu się nie uda, to moja rzecz — a ty pilnuj naszych interesów—słuchaj rad moich i P. Chaptyńskiego i zbieraj póki można.

—Tak Róziuniu — drzeć łyko póki się daje—o to się nie troszcz—to dobrze rozumiem.

Odebrawszy niektóre jeszcze zlecenia od żony—odszedł P. Antoni a przechodząc koło ulubionéj szafki splunął i wychylił lampeczkę anyżówki.—Gdy zdusił robaka — wesoło zaraz mu się w głowie zrobiło lżéj na

sercu i zaczął pojmować rozumne postępowanie Róziuni i rzekł wesoło.

— No jeśli i to się nam uda — to niedarmo nieboszczka moja matka zawsze mówiła »o Antosia jestem spokojna, bo on się w czépku urodził.«

— Pan Jerzy Kołomirski zwabiony słowiczym głosem Panien Harapińskich, ukrył się w pobliskim klombie, chcąc podsłuchać ich rozmowy, lecz obie siostry choć tą razą usłyszały szelest między krzakami, nie zlękły się bynajmniéj — a Pelcia jakby w zamieszaniu się kilka słów pochlebnych powiedziała Frani o P. Kołomirskim. — Uszczęśliwiony P. Jerzy tym tryumfem zbliżył się do panien i pewny wzajemności, zaczął rozmowę na temat uczuciowy. — Panny komisarzówny były biegłe w téj materyi nie brakło więc wątku, czasami nawet ustępy z przeczytanych romansów wciskały do rozmowy, lub kilko sztambuchowemi wierszykami popierały swe zdania, — a że były ładne i wesołe, dziwy które prawiły

nie były bardzo rażące, wreście P. Jerzy nie dbał o ich rozum — nie badał piękności ich ducha, patrzał im tylko w świecące oczy i w świeże lica, które namiętnie go rozmarżały — Dla Pelci widocznie był grzeczniejszy, Pelcia tajemném ścisnieniem ręki dziękowała mu za każdą oznakę przychylności dla siebie, po długiéj przechadzce odprowadził je do komisaryi, gdzie do późnéj nocy zabawił. Od téj chwili codziennie prawie spotykał się w ogrodzie. P. Harapińska uszczęśliwiona była przyjmując u siebie P. Kołomirskiego i starała się stanąć z nim na stopie dobréj zażyłości i spoufalenia się. — P. Antoni tylko nie mógł przywyknąć do tak dostojnego gościa, na każde słowo wstawał przed dziedzicem tytułował go JW. Panem, za co codziennie miał dobrze głowę zmytą od żony. — Nie tyle pomogły jéj strofowania, jak zbawienne lekarstwo, które mu zawsze dodawało odwagi i gdy zoczył idącego dziedzica, podwójną porcyę anyżówki nabierał animuszu, mrucząc pod nosem.

—Pal go djabli! — czyż ja nie wiem że szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie.

Interesa coraz bardziéj gmatwające się, zatrzymywały P. Jerzego ciągle w domu— kredytorowie nie przestawali już na pomówieniu z P. Komisarzem, domagali się widzieć osobiście dziedzica, żądali ciągle ustnych zapewnień—nowych podpisów, dołączenia procentów do kapitału—od których nowe procenta podwajały należne im summy.—Żydzi niegdyś tak potulni—którzy zdejmowali czapki przy bramie JW. Pana, dziś śmiało dążyli do pałacu, szwergotali w sieniach, zasiadali w wygodnych krzesłach w kancelaryi Jerzego, pili herbatę — nudzili swemi wymaganiami, a zuchwalsi wyrzucali mu jego nieakuratność— musiał każdego ułagodzić — bo płacić czém nie było, każdemu zwrócić expens podróży i prezętami to z drew, to ze zboża, utrzymywać dobrą harmonija, póki buraki i Panna Anna nie wyprowadzą go z tak nieznośnego położenia.—Kto przeszedł przez podobne tortury pojmie co się działo w duszy P. Koło-

mirskiego. — Wiedział że postępowanie jego było dziecinne — nierozsądne, a bał się żydowskich krzyków i ich prześladowania. — A jeśli kto wié, co jest prześladowanie żydowskie, będzie pewno pobłażającym na wszystkie nierozsądne ofiary, któremi się nie jeden u nas okupuje od ich męczeństwa — po księgach rachunkawych, prowadzonych z wielką akuratnością, gdzie i ćwierć kopijki nie była zapomniana, stan majątku nie był zatrważający; ogromne wprawdzie były długi, ale też i wielkie summy znajdywały się w remanencie fabrycznym, to w budowlach, to w kotłach, to w rurach, workach, kościach, ocenione i porządnie podsumowane, prawie równały się długom. — Jak wiele cukrowarów tak i P. Jerzy pocieszał się to summą remanentową, która jak oko w głowie świeci zawsze po księgach fabrycznych, nie mogąc się nigdy przekonać, że to nie jest oko, ale bielmo na oku, które zawsze zasłania dojrzeć rzeczywistą prawdę w cukrowarskich rachunkach.

Po dziennym zmęczeniu szukał P. Jerzy wieczorem rozrywki w domu P. Harapińskich — towarzystwo P. Telesfora nie mogło mu przynieść żadnéj pociechy, gdyż i on coraz był smutniéjszy, cierpiał za Jerzego i przypominał mu swe przestrogi i przepowiednie, które ziszczać się na nieszczęście zaczęły. — A P. Jerzy potrzebował zapomnienia, durzenia się — pochlebstwo i swawolna miłostka były antydotem trucizny którą nosił w swych piersiach.

P. Harapińska przyjmowała już P. Jerzego nie jako gościa, ale jako domowego przyjaciela; o ile dóm P. Kołomirskiego się wyludniał i upadł, o tyle stawał się świetniejszym dóm Komisarza. — Tłumaczyła P. Harapińska tę zmianę w swych interesach sukcesyą która spadła na nią po jakimś bezdzietnym wujaszku, co chodząc po possessyach u wielkich Panów, dorobił się znacznego kapitału — tym wujaszkiem mistycznym, kto wié czy nie był sam P. Jerzy, przynajmniéj ów kapitał co tak uświetnił dóm Państwa

Harapińskich niezawodnie był z nim w najbliższym pokrewieństwie. — Ta sukcessya dała nawet powód do lekkiéj wymówki — mówiła nieraz P. Komisarzowa: —

— Widzisz P. Jerzy że uczciwą pracą człek się nigdy niczego nie dorobi, pracowaliśmy u Pana i ledwo nam na życie wystarczało, nie żałujemy naszych starań bez nadgrody, bo szczerze kochamy P. Jerzego — zato Pan Bóg wynadgrodził i wzbogacił nas sukcessyą.

Pan Kołomirski rozrzewniony był tą bezinteresownością i przyrzekał, że za poprawieniem się jego interesów nie zapomni wywdzięczyć się za tak szlachetną przyjaźń dla niego.

P. Harapińska patrząc na kłopota P. Jerzego zaczęła mu dawać swoje rady — i te byłyby może najrozsądniejsze, gdyby tylko uskutecznić się mogły. — Radziła mu aby zrobiwszy sobie kredyt u jakiego obywatela, spłacił wszystkie długi żydowskie, które tyle mu przynoszą nieprzyjemności, deskrydytują

i w końcu całą fortunę pochłonąć mogą — czuł P. Jerzy zbawienną radę, lecz zniechęcony ciągłém niepowodzeniem, nie wierzył aby u kogokolwiek tak znaczny kredyt mógł uzyskać. Pani Komisarzowa wzięła na siebie doprowadzić tę pożyczkę do skutku, za pośrednictwem P. Ptasińskiego, P. Chaptyńskiego, i Agatona Iwanowicza. — A że nie było kapitału obrótowego do prowadzenia cukrowarni na któréj całe złote nadzieje były oparte, zaproponowała sprzedanie jednéj wioski.

— Mam pieniądze gotowe — rzekła, uczciwość moja nie pozwala mi się bawić lichwą — wreście to jedyny fundusz moich dzieci, chciałabym aby pamiątka po moim wujaszku była trwalsza i na starość aby był kąt własny. — Pelcia życzy sobie mieć własny ogródek — chciałabym jedną wioseczkę kupić z majątku P. Jerzego.

— Czyż chcecie mnie porzucić, zawołał P. Jerzy.

— Broń Boże! dopóki uzna P. Jerzy że jesteśmy mu potrzebni przez przyjaźń dla

niego nie odmówimy zajęcia się jego interesami i wspierania naszą radą wierz mnie P. Jerzy, że Antoni jest umęczony ode mnie i dopóty będę mu dokuczała, póki nie wyprowadzi Pana z interesów, a gdy to się stanie miło będzie i mnie i Pelci — mieszkać w jego sąsiedstwie.

—Dziękuję ci moja kochana Pani, przerwał Jerzy—za twą zawsze stałą przychylność dla mnie, i jeśli nie macie zamiaru mię opuścić z prawdziwą przyjemnością odstąpię wam wieś jedną—wreście to będzie i dobrodziejstwem dla mnie bo gdybym nie znalazł nigdzie kredytu, co jest wielkiém podobieństwem, fabryka dla braku kapitału obrótowego stać by musiała, przepadłaby cała kompanija — na któréj oparta nadzieja wyjścia z interesów.

Bardzo prędko ukończył się targ o jedną z najlepszych wiosek P. Kołomirskiego--Brakowało dziewięć tysięcy r. s. może by się one i znalazły ale P. Harapińska chciała tym środkiem podać sposobność P. Jerzemu wy-

wzajemnienia się za usługi, które jak nieraz mówiła, były bez żadnego wynadgrodzenia.— Nie omyliła się w swéj rachubie—P. Jerzy zakwitował z niedopłaconych 9,000 r. s. przyznaczając je na wyprawę dla Frani i Pelci.—Obie siostry po sto razy dziękowały, *emablejowały* jak nigdy—a P. Antoni z radości pocałował dziedzica w kolano — za co wieczorem musiał być dobrze wyłajany — Pelcia odprowadziła P. Jerzego aż do fórtki ogrodowéj—przy pożegnaniu oboje byli roztargnieni, Pelcia uradowana z wyprawy— Jerzy zadowolony że mógł się wywdzięczyć poczciwym Harapińskim za wierne usługi.— Czy ze szczęścia, czy z roztargnienia, czy umyślnie, czy niechcący—pocałunek P. Jerzego spoczął na różowych usteczkach Pelci. Trochę się zmięszała — lecz nie rozgniewała, co dobrą wróżbą zakończyło szczęśliwy dzień dla P. Kołomirskiego.

Nazajutrz P. Cyrjak Chaptyński spisał przedugodne punkta, podpisali się za świadków P. Narcyz Ptasiński i P. Agaton Iwanowicz—

A tak P. Harapińscy z ekonomstwa i Komisarstwa przyszli nareście do obywatelstwa.

P. Antoni krzyczał — basta! basta! Róziuniu — bał się może Jenerałostwa, lecz czynna żona śmielszym jeszcze krokiem daléj dążyła do celu — Nie była pewną jakiém uczuciém P. Jerzy kocha Pelcię — trwożyła ją Prezesówna i inne panny w sąsiedstwie, do wszystkich więc domów gdzie były panny na wydaniu, wysłała P. Cyrjaka — Narcyza i Agatona — aby się starali pozyskać kredyt dla P. Kołomirskiego w summie kilka kroć sto tysięcy złotych na spłacenie lichwiarskich żydowskich długów. — Napróżno wszyscy trzéj przedstawiali, że przy dyskredycie, nikt tak znacznego kapitału nie powierzy P. Jerzemu, lecz uporu P. Harapińskiéj przeprzyć nie mogli, musieli przyjąć nieprzyjemne zlecenia do wskazanych im domów, choć byli pewni swego niepowodzenia — lecz cóż by nie uczynił P. Chaptyński dla mameczki — P. Ptasiński dla Pelci — P. Agaton Iwanowicz dla

Frani — a wszyscy trzéj w duchu uwielbiali życzliwą jéj pryjaźń dla P. Kołomirskiego.

Gdy się P. Telesfor dowiedział o sprzedaniu jednéj z najlepszych wiosek P. Harapińskim i o tak hojnym prezencie dla ich córek, wpadł do P. Jerzego i nalegał aby cofnął zgubną dla niego sprzedaż — lecz było już zapóźno, prozby — błagania — były bezskuteczne, chciał go P. Telesfor przekonać, że zrobił krok nierozważny i rzekł.

— Sam dążysz do twéj ostatecznéj ruiny. — Byłem zawsze przeciwny założeniu cukrowarni, lecz gdy ją już postawiłeś, sprzedajesz wieś z najlepszym lasem, który tylko jeden w całym twym majątku może dostarczyć opału twéj fabryce.

— Gdy będę potrzebował poczciwi Harapińscy las mi napowrót odstąpią — odrzekł P. Jerzy — stało się, słowa mego nie przemienię, potrzebowałem pieniędzy i to jest jeden z najdogodniejszych interesów który mogłem uczynić — a żem kilka tysięcy r. s.

darował, należało poczciwym sługóm wynadgrodzić ich wierną przychylność.

—Teraz się przekonywam, że ani są poczciwi—ani wiernie ci służą—jak wszyscy co cię otaczają tak i oni dbają tylko o siebie—nie zadługo—co nie daj Boże, wypędzą cię z majątku, i praca twoich przodków przejdzie w ręce tych szurgotów którzy złodziejstwem się zpanoszyli.

—Dla tego że byli biednymi—odrzekł P. Jerzy—a teraz poczciwą pracą i spadkiem przyszli do lepszego bytu — rzucasz na nich P. Telesforze haniebne potwarze, jakaś nie właściwa duma i zazdrość ciągle miota twém sercem—i chcesz abym podzielał twe fałszywe zdania.

—Ty mię posądzasz kochany P. Jerzy, o dumę i zazdrość—ja miałbym czego-kolwiek zazdrościć Harapińskim—zazdrościć ich głupoty, ich szachrajstwa i kradzieży.

—Przestań P. Telesforze, bo to mię obraża — chciałbyś każdego co mnie sprzyja

oddalić odemnie—wiedz że nie ścierpię abyś zpotwarzał najlepszych sług moich.

—Jerzy opamiętaj się, ja żyć nie mogę w téj jaskini łotrów.

—Jak ci się podoba—świat szeroki—odrzekł z gniewem P. Jerzy.

—Jerzy—kochany Jerzy—giniesz lecisz w przepaść—któż ci poda przyjazną rękę?

—Dam sobie radę proszę się o mnie nie troszczyć.

I z gniewem wyszedł P. Kołomirski z pokoju — a P. Telesfor ze łzami w oczach udał się do swego pomieszkania.

PIERWSZA WYPRAWA DZIEDZICA.

Pan Telesfor Sokratecki był uderzony w najtkliwszą stronę serca, bez rodziców i blizkich krewnych — a z wzniosłą dnszą i z kochającym sercem, potrzebował choć jedną istotę na świecie która by zapełniła jego sieroctwo. — Ciągłe poświęcenie się naukom i praca nie dozwoliły mu nawet marzyć w młodości o roskoszy rodzinnego życia, stosunki jego ze światem były rzadkie, nie mógł więc zjednać sobie serdecznych przyjaciół. — Wszyscy go otaczali szacunkiem, lecz brakło mu przywiązania bez którego żywiołu, kochające serce istnieć nie może. — Przyjąwszy obowiązek nauczyciela w domu P. Kołomirskich, przywiązał się całém sercem do swego ucznia —

ukochał go jak by własne dziecię.—Kilkonastoletnie wychowanie Jerzego, polecenie jego opiece, czyż nie było dostatecznym węzłem zjednoczenia tych dwójga serc nazawsze.—Dziś ze starganémi siłami, znękany nie powodzeniem Jerzego – z rozpaczą w duszy, że złemu zaradzić nie może—dziś w nadgrodę przywiązania prawie wygnany został z domu ukochanego ucznia, nie mógł znieść obelgi P. Telesfor, niesprawiedliwość i niewdzięczność nie zdołały jednak osłabić przywiązania—czekał kilka dni cierpliwie czy Jerzy nie przyjdzie rzucić się mu na szyję—czy nie przeprosi za chwilę uniesienia się—O jakby rad wmówić w siebie że Jerzy go jeszcze kocha, że godny jest jego przywiązania.—Lecz kilka dni upłynęło a P. Kołomirski nie raczył się nawet dowiedzieć czy żyje stary nauczyciel.—Bez zawiści i gniewu, lecz z głęboką raną w sercu wyjechał P. Telesfor Sokratecki do pobliskiego miasteczka i tam osiadł aby choć z daleka patrzéć na dalsze postępowanie Jerzego i w razie jego

opamiętania się lub w nagłéj jakiéj potrzebie zawsze być gotowym do poświęcenia się dla niewdzięcznego ucznia.

Gdyby P. Jerzy słuchał tylko popędu własnego sarca, dawno na kolanach błagałby przebaczenia P. Telesfora, lecz o całém zajściu z P. Sokrateckim dowiedziała się P. Harapińska, pochlebiało jéj, że P. Jerzy stanął w obronie zacności jéj domu. Nienasycona w swéj zemście, starała się wszelkiemi sposoby rozjątrzać go coraz silniéj na P. Telesfora, bojąc się aby kiedykolwiek nie przyszło z nim do zgody -- nienawidziła go Komisarzowa i bała się jego wpływu, uszczęśliwiona więc z jego oddalenia — rzekła raz do P. Jerzego.

— Widać że takie jest zrządzenie abyśmy z P. Jerzym nazawsze pozostali — bo otwarcie mu powiem że gdyby P. Sokratecki się nie oddalił, mybyśmy musieli wyjechać, bo ten stary ma największą przyjemność na wszystkich szczekać — a poczciwych ludzi jak wściekły kąsa — nie śmiałam

wymagać od P. Jerzego oddalenia tego bakałarza — darmojeda — lecz Pan Bóg go ukarał.

— Ach! P. Jerzy dodała Pelcia — ja go się tak bałam jak upiora, nigdy się mi nawet nie ukłonił — a gdy raz mię zdybał w ogrodzie, mruknął po swojemu »a czego waćpanna włóczysz się po ogrodzie« — aż mnie mrówki przebiegły po ciele i ze strachu zapłakałam — a teraz już niczego bać się nie będę.

P. Jerzy zapewnił Pelcię i jéj matkę iż przepraszać go nie myśli — że tak mu dokuczył, iż dopiero teraz wolniéj oddycha — mimo jednak takich upewnień odzywał się głos tajemny w sercu, że najlepszemu przyjacielowi niewdzięcznością się odpłacił.

Grzecznoście P. Harapińskiéj, stosunki coraz bliższe — życzliwsze, z ładną Pelcią dały mu zapomnieć o przykrém poróżnieniu się z P. Telesforem, a kredytorowie którzy coraz natarczywiéj blokowali podwoje pałacu, przypominali mu ciągle że trzeba się rozwiązać jak najprędzéj z interesów. — Cukrowarnia

za parę tygodni miała już posypać złoto, kapitał obrótowy był gotowy — na wyjednanie kredytu nie wiele liczył — zamyślał więc stanowczo oświadczyć się pannie Annie i posagiem uwolnić się od oblężenia kredytorów.

Pożegnawszy więc P. Harapińskich, zmyśliwszy przed niémi jakiś pilny interes, wyjechał P. Jerzy z domu na parę tygodni.

Jak zwykle grzecznie był przyjęty P. Kołomirski, z całego towarzystwa coś my poznali w Kożówce; zastał P. Jerzy P. Jenerałowę z piękną Zosią. — Prezesostwo byli uprzejmi — exguwernantki ciągle go oblegały, a P. de Jacabelle najsilniejszy attak przypuszczała do jego serca. Jenerałowa wspominając że była przyjaciółką matki P. Jerzego, oświadczała się ciągle z przywiązaniem swém dla jéj syna — P. Anna była trochę zimniejszą — a trzymając się bezustanku towarzystwa Zosi, utrudniała mu stanowczą chwilę pomówienia na osobności.

Postępowanie Anny tłómaczył sobie P. Jerzy wrodzonym przeczuciem dziewic, któ-

rych chwila oświadczeń się młodzieńca trwoży, i choćby najsilniéj kochały, radeby odciągnąć ostateczne nie cofnione zezwolenie. Z tą skromnością i bojaźnią piękniejszą jak zwykle wydała mu się P. Anna i choć Zosia czarowała go milutką swą twarzyczką — jednak mając w myśli dobro ogólne, to jest interes kredytorów postanowił dziś prosić o rękę P. Anny.

Wiedział dobrze P. Kołomirski że P. Prezesowa była głową domu, że jéj wpływ — jéj słowo, było najprzeważniejsze, znalazłszy więc ją samą na balkonie, odważnie przystąpił do wynurzenia swych uczuć — Prezesowa sama dała sposobność zwrócenia rozmowy na przedmiot najgłówniejszy — zapytując go.

— Czego P. Jerzy dziś jest smutniejszy jak zwykle — to nie dobrze, nie trzeba się poddawać cierpieniom bo wiém że jakaś troska, niepewność, musi ciężyć mu na sercu.

— Są Pani chwile w życiu w których człowiek mimo całéj energii — mimo najsilniejszéj woli upada na duchu.

—To niedobrze P. Jerzy—trzeba zawsze mieć nadzieję—ona w każdym interesie prowadzi do pomyślnych skutków.

—Dziękuję Pani za jéj pociechę—lecz czy wszyscy tu równie dobrą nadzieją mię pocieszą.

Ręczę Pana że wszyscy—bo wszyscy w tym domu szczérze go kochają i ubolewają nad jego smutkiem.

—Pani mi tém słowem uszczęśliwiasz—rzekł Jerzy i ucałował kolana Prezesowéj—która daléj mówiła.

—I Pan mogłeś wątpić o naszéj przychylności dla niego? to nie dobrze P. Jerzy mieć tak mało zaufania w przyjaciołach, pojmuję smutek Pana—niepewność—patrzałam w mém życiu nie na jednego już młodzieńca co był w położeniu Pana—żałowałam próżnych ich łez—a nieraz rozpaczy—jedna chwila przyszła i wszystko zmieniła.

—Pani jesteś moim opiekuńczym aniołem, wlewasz utracony pokój do méj duszy.

—Rok jeden — drugi — i będziesz P. spokojny.

—Jak to rok Pani—rok męczarni—to wieczność.

Już też niesposób w jednéj chwili odzyskać co się straciło, ale praca usilność—szczęśliwe obróty—mogą położenie jego zmienić i pokój Panu przyniosą. — Gdyśmy się dowiedzieli o pańskiéj ruinie, uczuliśmy ten cios jakby jakie własne nieszczęście, bo wszyscy tu go szczérze kochamy—a wreście odgadłam na jego twarzy ten niepokój, niepewność—tę boleść co złe interesa wiodą za sobą—O nie trać Pan nadziei, jeszcze stan jego majątku poprawić się może.

P. Jerzy pobladł—nie wiedział co miał odpowiedzieć—lecz P. Prezesowa wywiodła go z przykrego położenia i daléj mówiła.

—My ci mamy dziękować P. Jerzy że się na nas nie gniewasz—żeś przyjechał do nas mimo żeś my odmówili twemu Chap—Chap Chaptowiczowi czyli Chaptyńskiemu kredytu kilka kroć sto tysięcy na spłacenie twoich

lichwiarskich długów — lecz wierzaj mi że z najszczérszą chęcią byśmy ci pożyczyli — ale w téj chwili w ciągu roku — trudno zebrać tak znaczny kapitał.

— Zupełnie to mię nie obraża — przybąknął pomieszany P. Jerzy.

— Dziękuję ci za twą wyrozumiałość P. Jerzy — nie uwierzysz jak cię tu wszyscy kochamy i przyznam ci się gdyby nie układy familijne którémi zobowiązani jesteśmy naszą córkę Annę wydać za naszego synowca, innego bym nie chciała zięcia — lecz Anna będąc jedynaczką musi uledz despotyzmowi mego męża, który oddawna zawsze marzył aby majątek został w naszym imieniu. — To było powodem że nigdy ani mnie, ani Annie przez myśl nawet nie przyszło dać ci kiedykolwiek najmniejszy cień nadziei.

P. Jerzy przypominał sobie postępowanie Anny i Prezesowéj jak go sami ciągnęły łapały — nagliły do starania się o Annę — chciał już oburzenie swoje wypowiedzieć — gdy P. Prezesowa rzekła.

—A wreście P. Jerzy—ja i Anna poznałyśmy od razu kim twoje serce jest zajęte, Zosia moja siostrzenica zawróciła ci głowę. — Nadzieja że przynajmniéj z pokrewnisz się z nami, pocieszała mię zawsze, mówiłam nie raz o tobie z moją siostrą i Zosią—dowiedziałam się że Panna cię kocha — Jenerałowa życzy cię za zięcia.—O ile mogłam robiłam ci interesa, może bez twojéj wiedzy—o ruinie twego majątku zdaje mi się że dokładnie nie wiedzą — domyślają się iż masz długi, lecz to nic nie przeszkodzi, bo któż dzisiaj bez długów—Panna zakochana więc wszystko pójdzie pomyślnie — odgadłam że przyjechałeś tu w tym celu — a widzisz P. Jerzy że ja dokładnie znam serca ludzkie.

Dziwném było położenie P. Kołomirskiego, gniew, oburzenie, miotało jego sercem—chciał nieraz jakąś impertynencyją zakończyć tę rozmowę, lecz wówczas wydałby się z swémi zamiarami iż marzył o jéj córce, a była chwila najwłaściwsza wyprzeć się uczuć dla Anny, przelatywał mu w myśli to obraz czarującéj

Zosi — to widział szpony kredytorów wystawione na rozszarpanie jego majątku a Jenerałowa była bogata — Zosia mogła mieć posag wystarczający na spłacenie jego długów — zkombinował że Prezesostwo odmawiając mu córkę będą popierać jego zamiary i Jenerałowéj. — Zawstydzeniem Prezesowéj wytknięciem jéj przewrótności — oburzył by ją na siebie i nie dostawszy Annę, utraciłby i Zosię — a Zosia była piękniejsza i przyjemniejsza od Anny a przytém i posażna. — Wszystko więc zawisło od jego odpowiedzi trzeba było bezwstydnie skłamać, a taka obłuda nie mogła przeleść mu przez gardło. — Gdy taką walką dręczony był P. Jerzy i milczenie zadługo się przeciągało — rzekła Prezesowa.

— Biéda z témi zakochanemi ludźmi — wynurz mi się szczerze prędko bo jeśli chcesz abym ci dopomogła, twych odkładać oświadczeń się Zosi nie można; jutro będziemy mogli z Jenerałową otwarcie pomówić.

Jerzy ucałowawszy rękę Prezesowéj odpowiedział stłumionym głosem.

—Zupełnie się oddaję pod twe rozkazy Pani, oddawna Zosię kocham, będę najszczęśliwszy jeśli uczucia moje przyjmie łaskawie.

—Dobrze więc P. Jerzy—bądź dobrych myśli jutro się oświadczysz. Nadeszły guwernantki i przerwały rozmowę.

P. Kołomirski przez resztę dnia, był milczący, ciągle się zamyślał—nie odpowiadał na tysiączne zapytania guwernantek, wpatrywał się w Zosię i zdało mu się nieraz, że ją najszczérzéj kocha—noc całą nie mógł zasnąć, to dziwił się przebiegłości Prezesowéj—to odmianie jaką dostrzegł w postępowaniu Anny—porównywał ją z Zosią i cieszył się w duchu że bez jego myśli przeznaczenie wiodło go do szczęścia, którego dostrzedz z razu nie umiał.—Choć niewyspany lecz rzezwiejszy—weselszy udał się nazajutrz do salonów. Prezesostwo byli najgrzeczniejsi—Anna zaczęła się nanowo przymilać Guwernantki swoim zwyczajem mizdrzyły się i wszystkich ogadywały—Pani Jenerałowa tylko była poważniejsza, a swawolna Zosia po-

smutniała. — Domyślał się Pan Jerzy po téj zmianie iż Prezesowa musiała siostrze objawić jego zamiary — a gdy się zapytał o skutku jéj wstawienia się — rzekła.

— Są małe trudności — lecz chyba Pan sam je usuniesz — mam jednak nadzieję że się wszystko dobrze skończy, korzystaj Pan z dobréj sposobności — Jenerałowa jest sama w moim gabinecie nie trać więc P. i chwili.

P. Jerzy ścisnął przychylnie dłoń Pani Prezesowéj i udał się do jéj gabinetu.

Pani Jenerałowa z listem w ręku siedziała zamyślona gdy wszedł P. Kołomirski.

— Może przeszkodziłem P. Jenerałowéj — rzekł P. Jerzy trochę pomieszany.

— Bagatela! syn mojéj przyjaciółki nie jest dla mnie obcym, kocham go jak moje własne dziecko.

P. Jerzy ucałował najczuléj rączkę P. Jenerałowéj i rzekł.

— Dobroć Pani dla mnie jest tkliwa pamięć dla méj matki, dowody przychylności

które odbierałem od niéj ośmielają mię pomówić z nią otwarcie.

—Bagatela—bardzo proszę—nie cierpię tajemnic — co w sercu to i na ustach tak najlepiéj—cóż P. ma do mnie—bagatela.

—Wcale tu nie o bagatelę idzie.

—Domyślam się—dziś z rana siostra moja cóś mi wspominała o zamiarach Pana.

—A więc wiész Pani o wszystkiém, a upadłszy do kolan P. Jenerałowéj zawołał.

—Oddawna najczystszém uczuciem kocham P. Zofję—błagam Panią o najwyższe moje szczęście—zmiłuj się Pani nie odmawiaj mi jéj ręki.

—Bagatela,—bagatela—ale czemuś Pan wprzódy nie pomówił otwarcie z Zosią.

—Zdaje mi się że pozyskałem jéj przychylność.

—Ani wątpię—tak być musi.

—A więc czynisz mi Pani nadzieję.

—Nie nadzieję—bagatela—ale że szczerze Panu sprzyjamy oto zaręczam. lecz jedna przeszkoda—bagatela.

—Jaka — przerwał Jerzy — pewno Pani mówiono o mych złych interesach to zawiść — zazdrość, kłamstwo.

—Był wprawdzie jakiś u mnie Pański tutumfacki — Ptasikowski, czy jak tam się zowie—żądał bagateli—lecz nie miałam gotówki, bardzom żałowała że nie mogłam mu być użyteczną — nawet méj siostrze o tém nie wspomnę — bo to bagatela — a psuć P. Jerzemu może.

—Jeśli nic moje interesa jakież mogą być przeszkody — mów Pani.

—Bagatela — od dwóch dni moja Zosia już po przyrzeczeniu, chowam tę siurpryzę dla mojéj siostry — nic jéj o tém nie wspominałam—a dziś ma przyjechać tu P. Hrabia L. i odbędziemy zaręczyny — bagatela — siostrunia dostanie migreny, że Zosia młódsza, a prędzéj wychodzi od Anny i za Hrabiego — bagatela.—Jeśli chcesz czytaj list Hrabiego L. wszak go znasz, wkrótce powinien nadjechać—ale kochany P. Jerzy czemu się nie starasz o P. Annę.

P. Jerzy tak był pomieszany, że nie słyszał zapewne słów Jenerałowéj — wybiegł do ogrodu i krętemi uliczkami dostawszy się do stajni bez pożegnania wyjechał z Kożówki.

Ten podwójny zawód w nadziejach P. Kołomirskiego tak go zmartwił iż dostawszy gorączki, parę tygodni musiał przeleżéć w łóżku. P. Harapińska z Pelcią ciągle odwiedzały i najtroskliwiéj doglądały chorego — chociaż P. Jerzy zamilczał o przyczynie choroby. P. Harapińska wiedziała doskonale powód jego zmartwienia — lekarstwa przyjmowane z rączek Pelci, ciągła jéj przytomność, powróciły mu zdrowie. — P. Narcyz Ptasiński i Agaton Iwanowicz zawsze uprzejmie witani przez P. Komisarzowę i jéj córek domagali się co raz usilniéj o stanowcze zezwolenie — Agaton przywiózł nominacyją na sprawnika i patent na otrzymany krzyż w petlicy — co tak zawróciło głowę Frani iż upadłszy do nóg matce prożbami i łzami wymodliła dla siebie ukochanego Agatona

Iwanowicza, który otrzymawszy solenne przyrzeczenie zawołał.

— Z takiego szczęścia można się *zdurzyć*, — *Jeho wysoko-prewoschoditelstwo proizwioł* mnie w sprawniki — a wysoka miłość *oprzedzieliła* mnie w narzeczonego takiego anioła jak Panna Frania — przytym *krest* przy boku a *bumaszki* w *karmanie* — dziś najszczęśliwszy jestem.

P. Frania nie mniéj była szczęśliwa i na znak nie cofnionéj woli rodzicielskiéj i wspólnéj miłości — narzeczeni ucałowali się na wzajem w przytomności rodziców.

Napróżno padał do nóg i P. Narcyz Ptasiński — próżno Pelcia wołała.

— Ja starsza od Frani — a mama mię trzyma w domu; to wstyd dla mnie — ja tego nie przeżyję.

P. Narcyz próżno nalegał chodził to do ojca — to do matki — P. Antoni nic nie mówił, patrzał tylko w oczy Róziuni czekając jéj dycyzyi która rzekła poważnie.

P. Narcyz niech będzie wyrozumiały, nie

zgadza się to z pozycyją naszą dzisiejszą — by córka obywatelska wychodziła za powiatowego Jeometrę — gdy P. zostaniesz guberskim Jeometrą, wówczas jeśli Pelcia zechce, pobłogosławiemy ją z Panem.

P. Ptasiński uręczał że już poszło przedstawienie — lecz nic to nie pomogło, P. Haraapińska zawsze odkładała do czasu nominacyi.

Z bolem więc serca pożegnał się P. Ptasiński i pośpieszył do gubernskiego miasta starać się i forsować o gubernskie Jeometrostwo — uspakajał Pelcie P. Agaton.

— Niech P. Pelcia *nie bezpokoitsia, ischodatajstwujet* on *awans*, on bojki do tego — a jak zostanie gubernskim Jeometrą, to miléj taki będzie pocałować *jeho wysoko-blahorodie.*

Pelcia tak była zbałamucona przez matkę, iż nie wiedziała czy z tego opóźnienia ma się cieszyć czy smucić. — Lubiła P. Narcyza lecz i P. Jerzy nie był jéj sercu obojętny, nie śmiała roić aby on został jej mężem, jednak tyle jéj zawsze prawił o miłości, matka

ciągle powtarzała że ona zrobi świetną partyję, iż przez czas nim P. Narcyz zostanie guberskim Jeometrą — postanowiła doświadczyć do jakiego stopnia P. Kołomirski ją kocha. — Dla młodéj panienki niebezpieczne to doświadczenie — lecz Pelcia była odważną.

Wielki solenny dzień zabłysnął, dla P. Jerzego, z olbrzymiego komina dym poszedł w górę — machiny zahuczały — zaświstała para, dzwonią blachy, piszczą pompy — sto gardł wrzeszczy — cukrowarnia najszczęśliwiéj rospoczęła swoją kompaniję — P. Kołomirski z P. Antonim całą dobę siedzieli w fabryce, póki na własne oczy nie spostrzegli skrystalizowany cukier — jak matka gdy ujrzy nowonarodzone dzicię, tak po wielkich troskach i bolach, raduje się serce przedsiebiercy, gdy może na język położyć własny cukier i osłodzić gorycze poczecia, lecz nie masz róży bez cierni — tym cierniem byli żydzi, którzy równie interesowani jak i P. Jerzy, jak muchy obsiadali kotły i suszalnie, pilnując łakomie towaru który miał się narodzić, wynikały

więc spory, któren z nich pierwiéj satysfakcyję odbierze — przychodziło nawet do bójek — sprawy wciąż wytaczały się do pałacu, malkontenci grozili aresztowaniem cukru — stąd wieczna burza huczała nad głową P. Jerzego — Arędarz który zwykle w podobnych krytycznych położeniach ważną rolę odgrywa, za obiecaną nadgrodę wziął na siebie ułagodzenie wzburzonych umysłów. — Jak zaczął cały dzień w pałacu z niémi szwargotać i umawiać, że tą gwałtownością, sobie tylko cały interes popsują — i opóźnią odebranie swych długów — jak zaczął głaskać wszystkich kupców po brodach i namawiać się z każdym na osobności — udało mu się wreście ostudzić zawziętość kredytorską — lecz nie dość na tém, trzeba było okazać jakąś nadzieję nie tylko rychléj satysfakcyi, ale że i nadal będą mogli korzystać z nierządności P. Kołomirskiego — oznajmił więc wszystkim pod wielkim sekretem iż P. Jerzy zaręczył się z jakąś wielką magnatką, i w krótkim czasie posagiem nie tylko wszystkich opłaci, ale i kupi przyległe

mu miasteczko. — Ta nowina rozbroiła wszystkich żydów — nabycie miasteczka w którém po większéj części mieli oni swoje domy — styczność ciągła z nowym dziedzicem zachowanie z nim dobrych stosunków — zawiązanie nowych interesów — szybko prebiegły po ich głowach. W mgnieniu oka obliczywszy ztąd wszystkie nadal korzyście, z pogardy dla P. Kołomirskiego przyszli do najgłębszego uszanowania dla JW. Pana, ucichły krzyki i gdy przerażony P. Jerzy ujrzał kilku żydów wciskających się do jego kancelaryi, z zdziwieniem spostrzegł największą pokorę w ich ruchach i głosem pełnym uszanowania rzekli.

— My tylko przyszli pożegnać się z JW. Panem — kapcany tylko śmieją bezpokoić JW. Pana — my będziemy cierpliwi i dokuczać JW. Panu nie będziemy — bo delikatny charakter JW. Pana wszystkim jest znajomy — prosiemy tylko o nas nie zapominać.

I skłoniwszy się najuniżeniéj wszyscy opuścili nietylko pałac, ale każdy krakowską bryką odjechał do miasteczka.

Nie chciał wierzyć swoim oczóm P. Jerzy, nie mógł się domyśléć jakim sposobém został uwolniony z téj niewoli Jerozolimskiéj. — Aredarz wyjaśnił całą przyczynę, zachęcał P. Kołomirskiego aby naprawdę pomyślał o ożenieniu się bogatém — a jakie ztąd zbawienne skutki wypłyną, pokazał dowodnie, w oddaleniu na tę myśl samą, wszystkich kredytorów — wynadgrodziwszy aredarza za cudowną potęgę jego słowa, pożegnawszy go uprzejmie, zaczął głęboko rozmyślać nad swym położeniem.

Tak był zrażony pierwszą kawalerską wyprawą, że nie sądził aby jeszcze się kiedykolwiek odważył probować szczęścia w bogatém ożenieniu się. Lecz myśl rzucona przez aredarza i złagodzenie nią rozjuszonych kredytorów wydobywała mu następujące uwagi.

— Trzy rzeczy stanowią szczęście na ziemi — pieniądze — pieniądze i pieniądze. — Czemuż nie mam o nie się postarać — poszukać, czyż tak błogi stan nie wart trochę trudów? Dóm pusty znowu się zaludni przyjaciółmi —

mój *Français* przybiegnie napowrót, kucharzo sprowadzę. — Będą mi wszyscy nadskakiwać — kochać — znowu przed złotą moją aureolą czołem bić będą — może i Telesfor do mnie powróci — w szczęściu nie wstydziłbym się mu pokazać.

I na te wspomnienie zasępiło się mu czoło jakąś boleścią i łza dawno niewidziana zwilżyła mu powieki.

— Trzeba — trzeba się ożenić — majętnych panien jest wiele — nie mogę zrywać stosunków ze światem — pojadę się rozerwać, rozpatrzyć, dowiedzieć — Izabella nieszpetna, Podkomorzyna zawsze mi sprzyjała — Klara pobożna i bogata, ona pewno nie dba o majątek — pozna że nie mam złego serca — wszak Marszałkowa sama mnie z przychylnością radziła abym wybrał sobie żonę pobożną — cnotliwą — świętą — jutro pojadę odwiedzić Podkomorzynę i Marszałkowę.

I znowu pokrzepiony w nadziejach, wyjechał P. Kołomirski z domu na drugą kawalerską wyprawę.

DRUGA WYPRAWA DZIEDZICA.

O cztery mile od P. Kołomirskiego mieszkała P. Podkomorzyna, rzadko ją odwiedzał P. Jerzy, gdyż powszechnie dóm jéj uznano za arcy nudny. Jedyném jéj zamiłowaniem było wychowanie dzieci, wprawdzie najchwalebniejsze to zajęcie każdéj matki — ale P. Podkomorzyna nietylko się sama zajmowała edukacyą, lecz wszyscy krewni — sąsiedzi, każdy ją odwiedzający musiał być świadkiem kilkogodzinnego egzaminu pojętnych i nie pojętnych dzieteczek — a resztę czasu trzeba było poświęcić na dysputy o różnych systemach wychowania. – Jeśli mówiono o książkach, to tylko o dziełach Berquina, Tasta – Aimé-Martin — i Tańskiéj –

Przytém dziatki P. Podkomorzyny były śmiałe, każdemu czy kto chciał, czy nie chciał deklamowały bajki francuzkie, niemieckie i polskie, całowały gości — kapeluszami ich się bawiły — zdejmowały z rąk pierścionki i przypatrywały się guzikom od koszul.

P. Podkomorzyna miała chwalebny zwyczaj mniejsze dziatki zostawiać w domu, aby drogiego czasu nie trwoniły — znał więc P. Jerzy P. Izabellę i jéj brata, ale nie wiedział że w gniazdeczku jest jeszcze dwóch braciszków i dwie siostrzyczki. — Gdy po pierwszém przywitaniu otoczyły go aniołki i zaczęły syllabizować napis fabrykanta umieszczony w głębi kapelusza, dowiedział się dopiero wówczas że P. Izabella miała tak liczne rodzeństwo. Zamiary więc starania się o jéj rękę upadły, usiłując ograniczyć swoję wizytę na kilkogodzinnéj bytności. — P. Jerzy był śmielszy, przyjemniejszy, bo odrazu zrzucił z siebie charakter konkurenta — z P. Podkomorzyną rozmawiał o edukacyi, z Izabelą o muzyce, z jéj bratem o poezyi — pieścił aniołki

które usiłowały zrobić sobie hojdałkę z nóg jego.

Bywają na człowieka pory fatalne — nieprzyjemności ścigały P. Jerzego — doświadczył nawet w domu P. Podkomorzyny małego niezadowolenia, chociaż był bezinteresowanym gościem — chociaż starano się najmiléj zabawić.

Służący oświadczył że obiad gotów, P. Podkomorzyna podała rękę Jerzemu i posadziła koło siebie — obok usiadła P. Izabella, daléj jéj brat najstarszy i guwern[illegible] — a koniec stołu zajęły grzeczne aniołki.

— O tak jak P. widzisz — rzekła Podkomorzyna — żyję sobie szczęśliwa z mojemi dziećmi — niezawodnie, że to najlepiéj dla matki, bo też są wielkie nasze obowiązki.

— I najpiękniejsze — odrzekł P. Jerzy.

— Niezawodnie — pokolenia całe od nas zależą, co my zasiejemy, ludzkość z tego plon zbiera, niezawodnie.

— Pani jesteś szczęśliwa, że Bóg ją obdarzył tak pojętnemi dziećmi, że na dobrém

gruncie, cnoty, talenta z łatwością się przyjmują.

– Już to niezawodnie że Bóg dał mi dziatki z najlepszémi skłonnościami, nie mówię to o starszych, bo je P. znasz i w oczy się chwalić nie mogę – niezawodnie – ale spójrzy P. na te czworo aniołków, ani ich słychać przy stole – jakie grzeczne – posłuszne – jak każdego gościa chciałyby ubawić, przyjemnym słówkiem zniewolić dla siebie – niezawodnie to jedyna roskosz dla serca matki.

– Dobry kierunek wychowania, przynosi P. zasłużoną pociechę.

– Niezawodnie – jestem matką, znam me obowiązki.

Daléj przedłużała się rozmowa co w tak moralnym kierunku i wszystko szło najpięknićj – najpomyślniéj aż do pieczystego – P. Jerzy wciąż rozmawiając to z Izabellą – to z Podkomorzyną z przyniesionego mu półmiska wziął skrzydełko kapłóna z pępuszkiem – półmisek daléj stół okrążał a zatrzymawszy się w gronie dziatek powitany był jakims widocznym niezadowoleniem. Żadne nie

wzięło pieczystego i z gniewem odtracały półmisek iż sługa ledwo go mógł w ręku utrzymać — szmer coraz głośniejszy powstawał, czujna matka na dobre obyczaje mrugała, groziła palcem, lecz te wszystkie telegraficzne znaki nic nie pomogły — dziateczki chórem najprzerazliwéj zabeczały. Zawstydzona matka kaprysami dzieci, chciała przynajmniéj okazać gościowi dowód ich posłuszeństwa i wybrawszy Ignasia zapewnie najrozsądniejszego i najposłuszniejszego rzekła.

— Ignasiu — powiedź niezawodnie czego płaczesz — lecz dziecię upornie milczało.

— Powiedź Ignasiu — bo cię każę wziąść od stołu, niezawodnie

Ignaś tą pokutą przerażony, wskazując palcem na P. Jerzego — rzekł, przerywanemi od płaczu syllabami.

— Jak-że-ja-nie-mam-pła-kać kie-dy ten du-reń *) wziął pę-pusz-ka.

*) Przepraszam łaskawych czytelników za ten wyraz, lecz cały ten wypadek jest w najsumienniejszéj wierności przedstawiony.

Zmieszana Podkomorzyna wołała.

— Niezawodnie — niezawodnie — wypadek nadzwyczajny — precz dzieci od stołu.

Gromadka z wielkim piskiem i krzykiem powstała, nastąpiły najserdeczniejsze przeprosiny Podkomorzyny, zapewniała że pierwszy raz taki nieprzyzwoity wyraz z ust dzieci usłyszała — Ma się rozumieć zwalono to, na obcowanie ze służącémi a P. guwerner przy téj zręczności długą odebrał reprymendę. — Po obiedzie P. Izabella złagodzić chciała nieprzyjemny dzwięk epitetu, którym obdarzono P. Jerzego i jak prawdziwemu amatorowi i znawcy zaczęła egzekwować fugi Bacha, ledwo dokończyła tę uczoną muzykę P. Jerzy wziął za kapelusz i pożegnał gospodynię, lecz jeszcze był na chwilę zatrzymany, przyprowadzono dzieteczki z zaczerwienionémi od płaczu oczkami i kazde musiało gościa przepraszać i całować. — Pogłaskawszy najczuléj aniołki skoczył śpiesznie do powozu, lecz za bramą spostrzegł że suknie jego okryły się pierzem — zrzucił kapelusz i ujrzał w nim całe gniazdo

i kilka jajek wróbli, przez miłe dziateczki ułożone w jego nowym *gibusie*.— Klął rozgniewany P. Jerzy całe gniazdo Podkomorzyny i z ciągle mu brzmiącym w uszach epitetem, z fugami Bacha i z wyrazem niezawodnie, leciał śpiesznie powtarzając.

—Niezawodnie — nigdy już tam noga moja nie powstanie—to najniezawodniéj.

Śpieszył P. Kołomirski do P. Marszałkowéj, która o trzy mile mieszkała od Podkomorzyny.—Słońce miało się ku zachodowi, marzył o P. Klarze i jéj posagu, jako o ostatecznéj nadziei bagatego ożenienia się, mimo że leciał ile konie mogły wyskoczyć, po dziewiątéj dopiero wieczorem stanął przed domem P. Marszałkowéj.—Drzwi były już zamknięte, kilka minut głośnego szturmu zdołało wywołać starą służącę, która odryglowawszy dobrze okute podwoje— zdziwiona ze świécą w ręku zawołała prawie z przestrachem.

— Jezus-Marya — co Pana o téj porze sprowadza, czy nie jakie nieszczęście—może P. potrzebujesz jakiego ratunku.

—Chciałbym się widzieć z P. Marszałkową odrzekł P. Jerzy.

—Jezus-Marya! o téj porze? to musi sprowadzać P. cóś nadzwyczajnego.

—Jako sąsiad chciałem tylko oddać moje uszanowanie P. Marszałkowéj i P. Klarze.

—I P. Klarze?—powtóryła służąca i badawczym wzrokiem zmierzyła P. Kołomirskiego.

Chcąc zakończyć rozmowę posunął się P. Jerzy do drzwi wiodących do salonu.

Na miłość Boga — wołała służąca — nie wchódź Pan — tam są wszyscy zgromadzeni na modlitwy, dziś właśnie zaczęłyśmy nowennę.

—Puść mię Pani — ja modlitwie nie przeszkodzę.

—A czyż P. jesteś katolik.

—Ależ moja P. jestem Rzymsko-aposotolski katolik.

—Będziesz więc modlić się z innémi.

—Ależ będę moja Pani.

—Niech że P. wié—że to nowenna na ntencyę P. Klary.

—Dobrze—dziękuję za przestrogę.

I nie słuchając dalszych słów staruszki, nie bez lekkiéj jednak przemocy wszedł P. Kołomirski do salonu.

Rzeczywiście zastał tam P. Jerzy kilkanaście osób klęczących—P. Klara głośno czytała modlitwy—nikt się nie obejrzał na przybyłego gościa, który chwilkę postawszy, ukląkł w ciemnym kącie.

Po skończonéj nowennie nastąpiły inne modlitwy, o których nigdy P. Jerzy nie słyszał—zaczynały się od słów P. Klary.

—Módlmy się za tych co nie słuchają rad moich i przestróg mojéj matki.

Druga.

—Modlmy się za tych co nie są tak jak my oświeceni we wszystkich prawidłach wiary, którzy nie zgłębili jak my ś. Teologię i wszystkie dekretalia papiezkie.

Po tych modlitwach rzekła P. Klara.

—Z ogólnych przejdźmy do szczególnych modlitw.

Miały one następujące tytuła.

Pierwsza.

—Módlmy się za Annę, która jak mniemamy opętaną jest przez czarta.

Druga.

—Módlmy się za Jenerałowę, u któréj wszystko jest bagatelą—która wciąż kłamie i na naszą pobożność rzucać śmié potwarze.

Trzecia.

—Módlmy się za Podkomorzynę, która w bałwochwalskiéj swéj miłości dla dzieci, bluźni nazywając je aniołkami—a wszystkie kłamstwa potwierdza słowem: niezawodnie.

P. Kołomirski usłyszawszy modlitwę na intencyą P. Podkomorzyny i przypomniawszy sobie wypadki tylko co odbytéj wizyty, nie mógł się wstrzymać od śmiéchu—dusił się—a w końcu głośno parsknął—chcąc pokryć ten mimowolny wybuch śmiéchu, zaczął udawać głośne kichanie—wnet wszystkie oczy zwróciły się ze zgrozą w kąt gdzie klęczał

P. Jerzy — poznawszy go Klara zakończyła wieczorne modlitwy a domownicy się rozeszli.

Ani P. Marszałkowa, ani jéj córki zupełnie nie były zmieszane przytomnością Jerzego przy modlitwach, bo brały za rzecz najnaturalniejszą najchwalebniejszą wyjawienie publiczne cudzych grzéchów i ułomności. — Rozumiały iż mogły lepiéj osądzić sumienie każdego jak sam grzésznik, iż same nie mając żadnych grzéchów, powołane były od Boga do wybawienia dusz od mąk czyscowych, gdzie wszyscy znajomi, według ich sądu, mieli kiedyś zamieszkać.

Dość więc uprzejmie przyjętym był P. Kołomirski. — Dzień następny przeszedł na teologicznych rozmowach — chociaż P. Jerzy znał dobrze zasady naszéj wiary, lecz dyskussye były tak subtelne, błędnym rezonowaniem najrzeczywistsze prawdy tak powikłane i powykrzywione, iż zdawało mu się że te święte niewiasty zupełnie jakąś inną religiję wyznają. — Dwa dni bawiąc, przy ciągłych

modlitwach i dysputach, chciał P. Jerzy dowiedzieć się ich zdania o małżeństwie — po długich sporach kończyła P. Marszałkowa dyskussyę temi słowy.

—Dla mojéj Klarci jeślibym kiedy żądała aby wstąpiła w stan małżeński, życzyłabym sobie koniecznie aby wybrała męża, bróń Boże nie tylko niespokrewnionego choćby w dziesiątym stopniu, ale nawet wzbroniłabym wybierać w rodzinach które z nami, lub z naszémi przodkami byli powiązani przyjaźnią, lub jakimkolwiek węzłem moralnego spowinowacenia.

—Nie mogę sobie wytłumaczyć tego życzenia P. Marszałkowéj—zdaje się że kościół zachęca i uświęca każde szlachetne uczucie.

—O mój Panie Jerzy — chociaż słowa P. mię bolą, lecz nie dziwią, — Bo dzisiaj mało kto chce przeniknąć myśl kościoła, niektórzy trzymają się litery, a lenią się rozumowaniem przedrzeć się do głębi myśli— a tam istotne znaczenie—tam tylko spoczywa prawda.

—Prawda naszéj wiary jest tak jasna, tak pojętna równie dla uczonych jak i dla prostaczków—rzekł P. Jerzy—iż nie potrzebuje ani filozoficznych, ani mistycznych zaciekań się—rozumowanie najczęściéj wyradza herezyę.

—A wstydź się P. Jerzy, stawać w obronie głupców—późniéj to ci wyjaśnię, teraz rozwinę myśl opartą na wierze o małżeństwie, spodziewam się że wiesz P. Jerzy iż kościół nie pozwolił na kojarzenie się małżeństw w rodzeństwach, z przyczyny iż między rodzinami istnieje już węzeł moralny, który je łączy wspólnym interesem, naturalnym pociągiem krwi i sprzęga w społeczną gromadkę.— Małżeństwo będąc uznane za ogniwo jednawcze, bez świętokradstwa nie może więc być udzielone tam, gdzie jest już zjednoczenie rodzin, czy krwi, czy ducha.— Pokrewieństwo krwi, czy ducha, to jedno—a kto wié czy węzeł ducha nie jest rozciąglejszy i silniejszy—jeśli więc jakie rodziny zjednoczyły się czy przyjaźnią, czy miłością duchową, czy nawet wspólnością wy-

obrażeń, tam już małżeństwo być nie może — bo łączność ducha, równa łączność krwi, jest już ustalona — a tém samém dopełniona główna idea jednania rodzin — powinowactwo moralne istnieć więc nie może w małżeństwie, bo naćóż co raz złączone, drugim węzłem związywać. — Zatém życzyłabym Klarci, szukać męża w rodzinie obcéj dla nas i krwią i duchem, a najlepiéj w nieprzyjaźnéj dla nas, aby się wypełniła zasadnicza myśl zjednoczenia spółeczności przez małżeństwo.

Chociaż niesłychanie dziwném wydało się Jerzemu rezonowanie P. Marszałkowéj, ale zważywszy na własny interes i nie wiedząc czy P. Marszałkowa uznaje go za spokrewnionego duchem, czy nie — czy lepiéj by wyszedł na opozycyi czy na potakiwaniu, zamilkł. — Postanowiwszy wprost z ust P. Klary dowiedzieć się jak jest położony w jéj sercu. — Wybrawszy więc stosowną porę zapytał ją.

— Który stan Pani uważa najświętszym.

— Każdy jest święty — jeśli jest zrozumiany.

—Pani chcesz powiedzieć jeśli go sumiennie z miłością wypełniamy.

—Proszę P. Jerzego nie poprawiać słów moich—gdyż ja wiem co mówię i nigdy się nie mylę. — Pan jak wszyscy zepsuci, każde powołanie chcieliby oprzeć nie na nauce, ale na uczuciu, na miłości — to błąd — to herezya!

—Proszę Pani mi objaśnić, co ma być podstawą małżeństwa, jeśli nie wspólny szacunek i miłość.

—Słyszałam jak matka moja tłumaczyła Panu, co jest małżeństwo — nie chcę więc mu tych że samych słów powtarzać.—Z kilkodniowego Pańskiego tu pobytu widzę że się Pan nie oddajesz ascetycznym książkom, we wszystkiém więc się z sobą różnimy—żadnéj wspólności ducha z sobą nie mamy.

—A więc jeśli Pani masz też same wyobrażenie o małżeństwie co i jéj szanowna matka, to mię Pani pocieszasz nadzieją że sprzeczność ducha i brak spowinowacenia krwi w naszych rodzinach, zechcesz Pani

dla szczęścia mego, a może i dla zbawienia zapełnić węzłem jednawczym.

Panna Klara bez najmniejszego zmieszania się—rzekła.

—Rozumiem—P. żądasz méj ręki.

—Tak jest Pani—byłbym najszczęśliwszy z ludzi.

—To źle P. Jerzy, nie powinieneś szukać szczęścia na ziemi.

—Byłbym najszczęśliwszy, gdybym się zjednoczył z osobą tak świętą jak Pani.

—Pojmuję—lecz jest jedna przeszkoda.

—Jakaż nie dręcz mię P. powiedz.

—I Pan się nawet nie domyślasz—to oznacza zatwardziałość w grzéchu.

—O! nigdy nie odgadnę.

—Przeszkoda jedna—lecz największa—że P. zostajesz w grzéchu śmiertelnym.

—Jakim? powiedz Pani.

—Masz P. ich dwa—pierwszy żeś zmarnował dar Boży, majątek—jakbyś nie cenił Jego dobrodziejstwa, a tém samém odrzucał Jego łaskę i opiekę nad sobą—a kto ucieka

od Boga ten lgnie do czarta, a kto słucha czarta ten będzie w piekle. — Drugi grzéch — dowiedziałam się o nim niedawno, pewna kobieta młoda — panna zapewne nieszpetna, odwiedza go w domu — domyślam się znając dzisiejsze zepsucie że myślą grzészysz — a intencya to samo co uczynek — a za podobny występek nie znajdzie nikt miłosierdzia — i żywcem możesz być porwanym do piekła.

P. Jerzy nie wiedział czy to szczérość zanadto posunięta, czy żart z niego złośliwy, rozgniewany chciał już odejść gdy P. Klara zatrzymując rzekła.

— Jednak przez gruntowną świadomość nauk, wiém o możebności naszego zjednoczenia się.

— Nie rozumiem subtelności rozumu P. obu rzekł gniewnie P. Jerzy.

— Oto zjednoczę się z Panem modlitwą — ułożę ją sama i z mojémi domownikami, jak za tylu grzészników tak i za Pana odmawiać je codzień będziemy.

— To jest nie tylko przed ludźmi, ale

i przed Bogiem chcesz mię ogadywać, a ja Pani powiadam, że kobieta bez serca jak Pani najprędzéj będzie w piekle.

P. Jerzy stuknął drzwiami — wyszedł trzęsąc się cały od gniewu i w kilka chwil opuścił dóm P. Marszałkowéj. — P. Klara usłyszawszy o piekle, zemdlała — a przyszedłszy do siebie, kazała uderzyć w dzwon umieszczony na pałacu, który domowników wzywał na pacierze i gdy się zgromadzili, zaczęła głośną modlitwę témi słowy.

— Módlmy się za P. Jerzego, największego łotra na ziemi, który miał odwagę grozić nam piekłem — a jeśli modły nasze nie odwrócą od niego najsroższych mąk piekielnych — wówczas niech się wola Jego stanie.

P. Kołomirski znurzony, rozgniewany — zrażony wrócił z drugiéj kawalerskiéj wyprawy, stanęły mu w myśli słowa P. Telesfora który przepowiedział iż gdy dowiedzą się, owe Panie tak mu niby sprzyjające, o utracie jego majątku, wówczas uwielbienie swe dla jego osoby ostudzą. — Porównywał P. Jerzy

grzecznoście, zabiegi jakiémi wprzódy był obsypywany, z dzisiejszym chłodnym przyjęciem, którego owocem zawsze i wszędzie był *harbuz*. — Nieszczęśliwe powodzenie tłómaczył zrazu jakimś fatalizmem, wypadkowym zbiegiem okoliczności, lecz przypomniał sobie że wszędzie ubolewano nad jego położeniem majątkowym, i zamiast miłości wzbudzał litość we wszystkich sercach, uczucie najstraszniéjsze dla kawalera, które choćby było osłodzone najpiękniejszemi słowami, jest przepowiednią — bezżeństwa. — Bo litość chwilowym jest tylko wrażeniem, które nie mieszka, lecz przebiega tylko przez serce, a jeśli w niém dłużéj się zatrzyma, to rozum ten gospodarz naszego jestestwa, wnet staje jako oskarzyciel, zarzuci osobie wzbudzającéj to uczucie, próżniactwo, własną winę lub głupotę — a serce przekonane, zawstydzone, zapomni o biedaku. — Rozumiał dobrze P. Jerzy, wielką różnicę między litością tą błyskawicą serca po któréj najczęściéj wybucha gróm oskarzenia — a miłością, tym światłem wiecznie trwałym, które

ożywia, rozświetla każde nieszczęście, i poświęceniem każdą ranę goi.

Nie był złym w gruncie P. Jerzy, pojmował więc prawdziwą miłość, lecz świat zaraźliwym swym powiewem wcześnie go objął, pokazał mu swe uciechy, rozpalił w nim namiętności, które zdarły piękną szatę jego ducha, a nagą rzeczywistość nie mógł inaczéj przestroić, tylko zbytkiem — próżnością, bogactwem. — Lecz gdy bogactwa nie stało, gdy nie mógł brzydotę zakryć blaskiem złota, które do tyla zwodzi głupców że nieraz je biorą za prawdziwą piękność — gdy spójrzał w głąb siebie, zadrzał zawstydzony — lecz miłość własna wnet zakryła mu oczy i niedozwoliła oskarzyć siebie. — Opuszczony od przyjaciół, odtrącony od świata, który go przed chwilą uwielbiał, zawiedziony we wszystkich nadziejach, chciał wynaleść środek odurzający, chciał się upić jakimś opium moralnym — spiritus dla ciała, a namiętności dla ducha, stały się dla niego narkotykiem sprawującym odurzenie — zapomnienie.

P. Kołomirski nie mógł się w domu utrzymać, kredytorowie dowiedziawszy się przez arędarza miejscowego o bezskutecznych zabiegach P. Jerzego, zdradzeni w nadziejach, oburzeni iż zostali oszukani bogatym ożenieniem—podwoili swą natarczywość, która zmieniała się w grubiaństwo. Brakło P. Jerzemu energii do odparcia gromady lichwiarzów, do zamknięcia im drzwi przed nosem, czuł się ich dłużnikiem, a do tego rozjątrzenie wywołałoby processa i sparaliżowałyby możność wyjścia z długów za pomocą dochodów z cukrowarni.—Dla uniknienia więc mąk i tortur kredytorskich, do dnia wymykał się do Państwa Harapińskich i nie wracał jak późną nocą.—Przebiegłość żydowska zwąchała ten odwrót strategiczny, zaczęli więc szturmować do komisaryi, ale P. Antoni pokrzepiony anyżówką, wychodził do nich z sękowatą pałką i bez ceremonii wypędzał ich z swego domu—zuchwalszemu kupcowi ufnemu w swój brzuch i mniemane bogactwo, podskubał resztki nie ostrzyżonych pejsów—

gwałty żydowskie więcéj go bawiły jak gniewały, a sękowata pałka stała się wkrótce takim postrachem iż lichwiarze od oblężenia komisaryi odstąpili. — P. Kołomirski był wdzięcznym P. Harapińskiemu za tak szczére poświęcenie się w jego sprawie i dostrzegł co go tak mężnym czyniło. — Dla zahartowania więc i swego serca, zaczął wspólnie z P. komisarzem odwiedzać znaną nam szafkę a anyżówka cudów w charakterze P. Jerzego dokazywała. — Gdy jednego razu powróciwszy w nocy do siebie, zastał w swym pokoju leżącego kredytora, który nie chciał z miejsca się ruszyć, krzycząc mu gwałtu! nad głową, wyniósł go na swych barkach i z potężnym szturchańcem wyrzucił go aż za bramę — widząc żydzi zmianę polityki odpornéj, na zaczepną — pierszchnęli, a usadowiwszy się w powiatowym miasteczku rozpoczęli procesa. — W tém nowém przykrém położeniu jedynie protekcya Państwa Harapińskich broniła go od tysiąca nowych ugryzków, wywołanych zetknięciem się z sądowemi juryz-

dykcyami. — P. Chaptyński chociaż miał plenipotencyę od P. Kołomirskiego, jednak nie był szczérym obrońcą gdyby nie rozkaz P. Harapińskiéj, a wiémy że P. Chaptyński niczego dla *mateczki* odmówić nie może — biegał więc po sądach — pisał — krzyczał — chociaż półroczna zalegała mu pensya w kasie P. Jerzego, miał wprawdzie swoje złote czasy P. Chaptyński, wiele nachapał z majątku P. Kołomirskiego, ale to się już zapomniało, i dziś nie poświęciłby swych trudów, bez sowitéj nadgrody — a tę widział w przyszłości, którą miał otrzymać od P. Harapińskiéj — bronił więc P. Jerzego od spraw wekślowych i zarzutów kryminalnych, któremi żydzi wciąż straszyli. — P. Agaton Iwanowicz zostawszy sprawnikiem i narzeczonym Frani, za rozkazem P. Harapińskiéj ile mógł utrudzał wykonanie wyroków sądowych, z wielkim kosztem uzyskanych przez kredytorów — zawsze cieszyli się żydzi dobrą rezolucyą, ale do jéj wykonania nigdy przyjść nie mogli — bo wykonanie było w ręku P. Agatona Iwanowicza,

a Frania zaklinała go na swoją miłość, aby z żadnym uzyskaniem nie przychodził do majątku P. Kołomirskiego. — Tak więc Państwo Harapińscy stawali się coraz potrzebniejszémi P. Jerzemu — widział w nich swoich obrońców — protektorów — zdawało się mu, że nie oni jemu, lecz on im wdzięcznym być powinien na całe życie.

Do wszystkich nieszczęść, przybył nowy kłopót który odejmował wszelką nadzieję wyjścia z interesów. — Kocioł parowy, to serce cukrowarni, które nadaje życie wszystkim arteriom fabryki — pękł — i explozyą swoją popsuł główniejsze machiny — większa połowa buraków nie była wyrobiona, a poprawienie trudno było zamyślać, gdyż pieniędzy na rychłe awansa zabrakło, i nim by się nawet poprawy dokonały, buraki przez ten czas zgnić by musiały. — Ten wypadek zasmucił wszystkich — P. Jerzy rozpaczał jak dziecko, ledwo Pelcia mogła go uspokoić — P. Antoni chodził długo zamyślony, jakby dumał nad sposobem ratunku, a po rozważnym namyśle rzekł do Jerzego:

—To darmo — widać że P. w czépku się nie urodził — trudno zaradzić — bo gdzie cienko tam się rwie — jedyny środek, na frasunek dobry trunek.

I obaj poszli do szafki — a P. Jerzy potrójną porcyę wychylił anyżówki.

—No łebski P. Jerzy — kocham ciebie — rzekł uradowany P. Antoni, i obaj serdecznie w półpiani uścisnęli się.

P. EKONOMOWA CHORĄŻYNĄ.

O biada na tym świecie! bogactwo wiedzie do rospusty, a ubóstwo do rospaczy— pieniądz wyradza pychę — pogardę, a nędza zazdrość i zawiść — po jednéj i po drugiéj drodze człek dąży do upadku i zepsucia.— Powszechnie utrzymują, że łatwiéj być dobrym w nędzy jak w bogactwie, niewierzcie temu! bogaci mają czas filozofować i oni wymyślili tę maksymę.— Nie tylko dla ciała, ale i dla ducha najniebespieczniejsze jest ubóstwo, jeśli kto przejdzie czysty — nie skalany przez cierniową drogę nędzy.— O! ten jest świętym niewątpliwie — ubogi ma też same żądze, namiętnoście co i bogacz — lecz nędza ma w sobie cierpienia które nigdy

pojęte, zrozumiane nie będą przez możnych — one są hieroglifami spisane dla ich oczów, Bóg tylko umie je czytać i dla tego ubogim i nieszczęśliwym wiele przebaczy. — Po ciemnéj, ślizkiéj drodze naszego żywota upadniem zawsze w przepaść jeśli iść będziemy za słabym tylko promykiem naszego rozumu, a nie uchwycimy za pochodnię wiary, która jedna rozświetlić może niebezpieczeństwa naszéj wędrówki.

P. Jerzy nie był bez wiary — lecz brakło mu silnéj woli, która dana nam jest jak oręż, do odparcia nieprzyjaciół naszego ducha — miecz w pochwie trzymany nie odstraszy wroga, trzeba walczyć, chcąc zwyciężyć — a walka to godło naszego żywota. — Sprawiwszy hart ducha, poddał się P. Jerzy głuchéj rozpaczy, usiłował tylko szukać zapomnienia swéj boleści — chciał się odurzyć namiętnościami, pił więc coraz silniéj z P. Antonim, i roznamiętniał się obok Pelci — P. Harapińska z zadowoleniem patrzała na usposobienie P. Kołomirskiego i przystąpiła do wykonania

dawno osnutych zamiarów — wzięła więc P. Chaptyńskiego przyjaciela domu, do przypuszczenia stanówczego ataku.

Po sutym śniadaniu u Państwa Harapińskich, po kilku kieliszkach anyżówki, siedział P. Kołomirski obok Pelci, rozmowa toczyła się wesoło, wolne słówka jak błyskawica krew elektryzowały. — P. Jerzy całował ją w rączki — nachylał się do ucha, coraz bliżéj się przysuwał, a że krew to nie woda, rozpłomienił się niepohamowaną żądzą i objąwszy Pelcię uściskał ją najserdeczniéj w oba rumiane policzki, aż łoskot pocałunków przerwał rozmowę P. Harapińskiéj z P. Chaptyńskim.

— A to się niegodzi — krzyknęła z gniewem P. Harapińska — takiéj sromoty w moim domu nie pozwolę. — Cóż to sobie P. myślisz? Czy Harapińscy mają być gorsi od Kołomirskich? czy Pelcią można pomiatać jak prostą dziewczyną? Panna Pelagia jest obywatelką — posażną panną i z dobrą edukacyą.

— Przepraszam — przepraszam — kochaną

Panię — odrzekł zmieszany P. Jerzy — to wcale nie w złéj myśli — nie w złych intencyach.

— O intencyach P. jeszcze nie wiem — przerwała P. Harapińska — ale nie pozwolę aby cnota była znieważoną, dla tego rozkazuję Pelci, nigdy na osobności nie być z Panem. — Pan jeszcze zdolny ją uwieść i to będzie nadgroda za naszą przyjaźń, za naszą protekcyę którą daliśmy w każdym razie P. Jerzemu.

P. Kołomirski przepraszał — lecz P. Harapińska wyszła rozgniewana pociągnąwszy Pelcię za sobą.

— Oto żem sobie narobił — rzekł Pan Jerzy do Chaptyńskiego.

— Źle to się stało — odrzekł P. Podsędek, źle to prawda, ale ja może mateczkę przebłagam, przeproszę.

— Zmiłuj się Chaptyńsiu załagodź tę sprawę.

— Trzeba koniecznie przeprosić — bo gdy P. Jerzy rozgniewa ich na siebie, to wówczas będzie zupełnie zgubiony — oni jedni go

bronią od smutnéj ostateczności, mniejsza że dłużnicy majątek zabiorą, ale gdy nie wystarczy na ich satysfakcyę mogą przyjść do osoby i zamknąć go w więzieniu. — Świat — pańskie arystokratyczne towarzystwo nie poda wówczas P. rękę, wyprą się nawet jego znajomości, bo któż się z nich przyzna że ma dawnego kolegę w turmie. — Oni jedni mogą swym wpływem go ratować i nie dopuszczą do ostateczności.

— Panie Chaptyński — czyż ta ostateczność stać się może?

— Niestety! prawo stoi jak wół — a czyż to już jeden panicz siedział w więzieniu.

— Ach! mój Panie — ja tego bym nie przeżył, prędzéj sobie życie odbiorę.

— Nie rozpaczaj P. Jerzy — jeszcze do tego nie przyszło.

— Ale mówisz że przyjść może — ta myśl sama mię zabija.

— Czyż nie można na to poradzić — ożeń się P. weź posag, i unikniesz nieszczęść — grożącego wstydu, a może hańby.

—Probowałem już Panie—lecz wszędzie zostałem odmówiony.

—Zwykle tak się dzieje u Panów—hołubią bogatego kawalera, ale broń Boże gdy mu się noga pośliźnie, gdy się dowiedzą o długach, zamykają mu zaraz drzwi przed nosem.—Lepsza poczciwa nasza szlachta, nie zakłada zacności człowieka li-tylko na majątku.

—Ja bym już ożenił się i z szlachcianką byle miała pieniądze, bylebym uniknął moich przykrości—a może i hańby.

—Czemuż P. nie szukasz między szlachciankami.

—Nastręcz mi Chaptyńsiu będę ci najwdzięczniejszy.

—Czyż P. sam sobie nie znajdziesz—ale jeśli P. żądasz, podam myśl moją—tylko to niech będzie w jak największym sekrecie, bo ja się boję by mię nie wmieszano w jakie intrygi—a mnie to naco!

—Mów—mów—kochany Chaptyńsiu, obaczysz że cię usłucham.

—Najprzód przeproś Pan P. Harapińskę.

—Ale ma się rozumiéć.—

—Zapewnij ją, że niémi nie pogardzasz.

—A broń mię Boże, to dobrzy ludzie—poczciwi.

—Że twój postępek P. Jerzy z P. Pelcią, dowodzi ufności jaką masz w jéj uczuciu dla siebie.

—Sądzę że ona szczérze mię kocha.

—Daj P. dowód że równie ją kochasz, że jéj rodziców i ich dóm szanujesz.

—Jakiż dowód? zdaje mi się że widzą że jestem ich przyjacielem.

—To nie dosyć.

—Cóż mam czynić.

—Poprosić o rękę Pelci.

P. Jerzy cofnął się z zdziwienia o trzy kroki i rzekł.

—A cóżby na to świat powiedział.

—Wierz mi P. Jerzy, że mniéj będzie krzyczał, niż jak się dowie że kredytorowie zapakowali P. do turmy.

—Ależ jak tu oczy pokazać.

—Jak P. zostaniesz bez majątku, co musi nastąpić — obaczémy czy świat ten modny popatrzy na P., wszyscy go będą unikać— goły krewny lub przyjaciel nie uwierzysz jak im zawadza, woleliby mieć brodawkę na nosie, jak hołysza w domu.—A P. dbasz o ich opinię.

Czyż Pelcia może wyprowadzić mię z mego położenia?

—I bardzo może—Pelcia ma wyznaczonych sto tysięcy złotych oprócz wyprawy—a po najdłuższém życiu rodziców będzie miała najmniéj drugie tyle, a kto wié czy nie więcéj.—Gdy Pan się połączysz z Harapińskiemi, wówczas będzie się można wziąść i do pańskich interesów—sprzedać majątek, potargować się z lichwiarzami, okroiłoby się może i Panu ze sto tysięcy złotych—razem z posagiem utworzyłoby się 300,000 złotych, a to wcale dobry początek — nie z tym ludzie poczynają a przychodzą do milionów. — Będziesz Pan bez długów, spokojny, szczęśliwy—odetchniesz po swoich biedach, a gdy Pan Bóg pobło-

gosławi i dorobisz się miliona, obaczysz jak hrabiowie powrócą do P., jak będą pić jego zdrowie i podrzucać go w górę na swych rękach. — Powróci P. do dawnéj wziętości — a przytém Pelcia — dali Pan że ładna i nie głupia.

P. Jerzy przechadzał się szerokim krokiem po pokoju, tarł czoło, a po namyśle rzekł.

— Pelcia ładna i szczérze mię kocha, może ją więcéj lubię jak wszystkie kobiety które dotąd poznałem, jedna tylko wielka nieprzyjemność, jéj nazwisko tak źle brzmiące.

— Przeto wyszedłszy zamąż ona go zmieni — a na kartach wizytnych, jeśli jest taki kaprys pański, niech nie kładzie swego nazwiska. — Wreście co komu do tego, jak tam kto z domu — jest szlachcianka, obywatelska córka i basta — byle spokój i pieniądze, reszta głupstwo.

— O prawdę mówisz kochany Chaptyńsiu. Dziś się Pelci i jéj matce oświadczę.

— Tylko jeszcze jeden warunek, gdy otrzymasz P. przyrzeczenie, co się spodziewam,

bo Pelcia go bardzo kocha — niech to pozostanie w największéj tajemnicy, niech aż do ślubu który może wkrótce nastąpić, nikt się nawet nie domyśli o jego zamiarach.

—Dlaczegoż to P.—poco ta tajemnica.

—Widzi Pan, może być z tego mała awanturka, P. Ptaśiński ma nadzieję otrzymać rękę Pelci, zwlekano mu ile można, i kazano mu się starać o gubernskie Jeometrostwo, gdy go otrzyma ponowi żądanie, pocóż więc te wszystkie nieprzyjemne dla *mateczki* korowody. — Niech on sobie stara się o swój urząd, a my tymczasem cicho wyrobiemy indult, przyjedzie po harapie.—Pelcia już będzie panią Kołomirską i bez hałasów wszystko jak najlepiéj się ukończy—ja awanturami się brzydzę, P. Narcyz to poeta, desperat — mógłby się do mnie przyczepić—a mnie to naco?

—Po téj rozmowie P. Jerzy poszedł do pokoju P. Harapińskiéj—P. Chaptyński zacierał ręce z ukontentowania, że tak zgrabnie i skutecznie przysłużył się *mateczce*, ale Pan

Chaptyński nie zwykł darmo służyć, miał on swoje widoki.

Łatwo P. Kołomirski otrzymał przebaczenie, znikła z serca uraza gdy P. Jerzy Pelci i jéj matce oświadczył swe zamiary, które z radością były przyjęte, i jak Pan Agaton Iwanowicz po przyrzeczeniu ucałował Franię, tak P. Jerzy w przytomności matki i ojca uściskał różowe usteczka Pelci.

— Teraz całuj ją sobie ile chcesz — rzekła P. Harapińska.

— Och Róziuniu! Róziuniu! jaki ty masz rozum wołał rozrzewniony P. Antoni.

Jaka radość ogarnęła rodzinę Harapińskich łatwo sobie wystawić! — Z Ekonomstwa przeszli na komisarstwo — z komisarstwa uzyskali obywatelstwo, a dziś łączą się z najpierwszemi rodzinami prowincyi. — Ponieważ zaś dziad Pani Harapińskiéj był Chorążym, przeto od dnia zaręczyn córki, kazała się nazywać Chorążyną. Tytuł był koniecznie potrzebny dla lepszego tonu domu, wreście rzeczywiście była córką chorążanki, w trzecim

pokoleniu odświeżyła tylko godność jéj przynależną — i z największą śmiałością zaczęła się tytułować Chorążyną.

— Chwała Bogu Róziuniu wołał Pan Antoni — dziękuję ci za ten honor — wolę być Chorążym jak Jenerałem — jakoś to mi lepiéj przypada do smaku. — Teraz Róziuniu — basta! na miłość Boga — basta!

— Niech P. Chorąży nie uczy mię rozumu, zrobiémy co będzie wypadało.

P. Antoni zaprosił narzeczonego i Pana Chaptyńskiego do salonu, gdzie parę butelek czekało starego wina, i na uczczenie dnia tak solennego, wypróżnili je, wśród uścisków i wynurzeń najserdeczniejszéj przyjaźni.

Nazajutrz P. Chaptyński poleciał po indult — P. Harapińska tajemnie czyniła przygotowania — P. Chorąży nie wiedział co ma robić z sobą, tak był uradowany swym tytułem — prostował się — nadymał — wielbił rozum Róziuni, a przyszedłszy do szafki — splunął — i wychyliwszy porcyę anyżówki — rzekł z rozczuleniem.

—Nie darmo moja nieboszczka matka mówiła—o Antosia jestem spokojna bo się on w czépku urodził. — Czyż ty matko widzisz z nieba co tu się wyrabia? czy ty widzisz twego syna chorążego?

Panny chorążanki rozmawiały z sobą, co to będzie po ślubie? gdy zostaną paniami jak się będą stroić—ile to wzbudzą zazdrości, jak grafowie będą ich w rękę całować, jak będą delikatnie z niémi emablować—jakiemi powozami jeździć będą—i takowym rojeniom końca nie było.

A P. Kołomirski czy był szczęśliwy? czy był zadowolony? nie chciał on myślić o przyszłości, a jednak stawała mu ciągle przed oczyma—jak gracz, który nieraz włazi do zgrai szulerów, choć niémi pogardza w duchu, lecz stawia resztki na kartę by nasycić swą namiętność i nie dać umrzéć nadziei odegrania się—tak i on czując różność wychowania i wyobrażeń, wstydząc się w duchu swego postępku, chwytał się go jednak jak ostatniéj deski zbawienia—widział przed sobą

ubóstwo, nędzę a może i hańbę, nie pojmował życia bez pieniędzy, nie rozumiał szczęścia bez dostatków — bo szukał go zewnątrz a nie chciał wierzyć, że jeśli ono jest na ziemi, to tylko wewnątrz siebie znaleść je możemy. — Bał się aby rozwaga nie zachwiała jego postanowienia — bo w ciemnéj przyszłości nie mógł dojrzeć drogi dla siebie — pocieszał się biedak myślą, ze Pelcia go kocha poswojemu, że i on ma ku niéj niepohamowany pociąg — i na takiéj podstawie miał urość pokój i szczęście małżeńskie Jerzego. — Sam naglił o przyśpieszenie ślubu, bo nie mógł znieść rodzących się obaw w swém sercu.

P. Harapińska uszczęśliwiona, podwoiła starań do przyśpieszenia tak dawno upragnionych zamiarów, trzy dni nie minęło, a już indult był w kieszeni i ksiądz był umówiony. — Dla nieściągania oczów na siebie, państwo Harapińscy z córkami mieli przybyć do kościoła w niedzielę, w czasie nieszporów, a osobno P. Kołomirski sam o téj że go-

dzinie przyrzekł zjechać. — Ledwo mógł uprosić P. Jerzy, aby ślub się odbył bez żadnéj wystawy i spraszania gości. — Pani Chorążyna chciała pokazać nową liberię, piękne stroje córek, chciała zaimponować i mieć świadków swego szczęścia. — Po długich więc prożbach, choć z niechęcią, uległa wymaganiom Jerzego, zamawiając sobie, zaproszenie wszystkich znajomych i krewnych P. Kołomirskiego na przenosiny, do majątku nie dawno nabytego.

Nadszedł dzień uroczysty — po dobrym śniadaniu i gęstych wiwatach, państwo Chorążostwo z córkami strojno, a P. Jerzy w skromnym małym koczyku jechali do parafialnego kościoła o dwie mile odległego.

Niech nowożeńce jadą sobie szczęśliwie — a my zajrzymy do P. Telesfora Sokrateckiego. Od pół roku mieszkał on samotny w miasteczku Ś. bliskość i częste stosunki kupców z majątkiem i fabryką P. Kołomirskiego, ułatwiały mu sposobność, każdego niemal dnia mieć o nim coraz świeże wieści — zbierał je ciekawie, wynadgradzał każde opowiadanie

o czynnościach ucznia — a zawsze w nadziei że usłyszy cóś pocieszającego dla swoiéj stęsknionéj duszy — że Jerzy zmieni tryb życia, że ze słów jego z taką troskliwością rzucanych mu w serce, zejdzie owoc rozwagi — a wówczas ujrzy kochanego ucznia rzucającego mu się na szyję. Czekał téj błogiéj chwili z niecierpliwością aby mógł wszystko przebaczyć i zapomnieć. W nieszczęściu szukał jeszcze pociechy — wiedział że majątku Jerzy uratować nie może — słyszał że zamiary sprzedania się za milionowy posag spełzły na niczém, myślał więc iż gdy będzie Jerzy we wszystkiém zawiedziony, musi przyjść chwila przesilenia — wtenczas stanie mu przed oczyma stary wierny nauczyciel, sumienie głośniéj przemówi i pryjazną rękę wyciągnie ku niemu. Tak by było rzeczywiście, bo nieraz P. Jerzy był trapiony w duchu wspomnieniami rad i przestrog poczciwego P. Telesfora, nieraz mu łza stoczyła się w cichości, ale wstyd mu było przyznać się do winy, wstyd mu było stanąć przed nim w ubóstwie, w po-

niżeniu, chciał wprzódy być spokojnym, szczęśliwym, i tym szczęściem podzielić się z poczciwym nauczycielem. — Lecz te piękne postanowienia zwichnięte były wpływem P. Harapińskéj — wiedział P. Telesfor dokładnie o stosunkach Jerzego z Pelcią, ale zamiar małżeństwa był dla wszystkich tajemnicą, o takim skutku intryg P. Harapińskiéj nie mógł nawet czynić przypuszczenia — nieraz P. Sokratecki chciał pierwszy krok uczynić pojednania, ale zdawało mu się, że korzystniéj będzie dla Jerzego, jeśli to nastąpi z przekonania i popędu serca zbłąkanego ucznia. — A tak w głębi duszy obaj cierpieli i tęsknili za sobą.

Czas swego pobytu w miasteczku S. poświęcał P. Telesfor modlitwie i pracy. — Od lat kilkunastu pracował nad ważnym bardzo dziełem, które dopiero po śmierci miało być ogłoszono drukiem — nie szukając czczéj chluby, lecz pożytku dla potomnych ciągle nowemi głębokiemi uwagami pracę swoją wzbogacał —

czuł się w obowiązku ślad jakikolwiek po sobie zostawić.

Właśnie w téj chwili zastajemy go zamkniętego na klucz w swoim gabinecie i zatopionego w myślach nad ogromnym rękopismem, miał rozkaz służący odmawiania wówczas wszelkich odwiedzin, bo nie lubił P. Telesor aby mu ktokolwiek czynił roztargnienie. — Gdy z piórem w ręku siedział nad foliałami, usłyszał w przyległym pokoju jakiś hałas i następującą rozmowę.

—Puszczaj.

—Nie mogę.

—Puszczaj błaźnie—ja czekać nie mam czasu.

—Ale P. Sokratecki zajęty—z nikim nie chce się widzieć.

—Puszczaj—bo sam drzwi wywalę.

—Obaczémy—i ja mam ręce.

Tu zaczęła się bójka—bo hałas i tupanie się wzmogły. P. Telesfor nieukontentowany odemknął drzwi, a jakiś jegomość mu nie-

znajomy, zapyszony, zadyszany wleciał do pokoju.

Któż P. jesteś — rzekł P. Sokratecki.

— Jestem do usług Pańskich Gubernski Jeometra.

— Ależ ja żadnych przemiarów nie potrzebuję.

— O! Pan mię potrzebujesz — a ja Pana.

— Chyba P. chcesz mój pokój zmierzyć, bo innych ziemskich posiadłości nie mam.

— O Panie Sokratesie! Platonie — Zenonie! ratuj! twój rozum głęboki tylko może nas wybawić.

— Cóż się to stało — mów P. prędko.

— Jestem uderzony w serce — kochałem i zostałem zdradzony — O! nie to nie może być zdrada.

— A cóż mi do tego P. Jeometrze, bardzo na tym boleję, ale źleś się udał — ja do awantur miłośnych nie należałem i nie chcę należyć.

— Ona mię kocha! — patrz P., oto ten narcyz co go noszę zawsze w mym pugila-

resie — ona mię kocha! lecz on ją porwał — uwiódł.

— Któż taki? kto — gdzie?

— Uczeń — wychowaniec Pański — P. Jerzy Kołomirski.

Pan Telesfor pobladł i zapytał.

Kogoż porwał?

Pannę Chorążankę.

— Nie znam żadnéj Chorążanki.

— Abo P. nie niewiesz — Pannę Chorążankę — Komisarzównę swoją, Pannę Pelcię Harapińskę — moją narzeczoną mego anioła, która jak ten narcyz w pugilaresie, tak ona w mym sercu mieszkała, a ja jestem jéj kochanek, gubernski Jeometra, Narcyz Ptasiński do usług Pana.

— Gdzie ją porwał — gdzie uwiózł.

— Do kościoła.

— Pocóż do kościoła.

— Och! dlaczego? ranisz P. me serce — dla tego aby za parę godzin wziąść ślub z Panną Chorążanką Pelcią z moją narzeczoną — z moim aniołem.

P. Telesfor jeszcze chwilę się wahał— myślał że P. Ptasiński zwarjował, lecz gdy z dalszéj rozmowy przekonał się o prawdzie, rzuciwszy płaszcz na siebie, wskoczył na netyczankę P. Narcyza i obaj ile tylko koniom sił wystarczało, lecieli do parafialnego kościoła.

Tymże samym traktem jechał P. Kołomirski, widać że nie śpiesznie mu się działo, gdyż powóz jakby z jakim nieboszczykiem zwolna postępował. — Poznawszy go zdaleka P. Telesfor, uszczęśliwiony nadzieją dopędzenia, sam zacinał konie, minął powóz i wpoprzek stanął drogi — zeskoczył, zostawiwszy P. Ptasińskiego na netyczance — podbiegł i zatrzymał konie P. Jerzego.

— Co to jest — wołał P. Kołomirski.

— Daléj nie pojedziesz — rzekł P. Telesfor, chyba ciało moje stratujesz końmi — chyba koła twoje mózg mnie roztrzaskają.

Wyskoczył P. Jerzy z powozu popatrzał na twarz bladą starego nauczyciela, przeszłość cała stanęła mu przed oczyma — poczciwe uczucie obudziło się w sercu i po krótkim

milczeniu, z łkaniem boleśnym padł do nóg Telesfora. — Podniósł go starzec i przyciskając do serca — wołał.

— Łzy twoje mówią, że wraca do mnie mój Jerzy, mój dobry — kochany uczeń.

— I tyś mnie wszystko przebaczył — ty nie wyrzucasz mi moje postępowanie?

— O mój drogi — zawsze otwarta droga do cnoty a sam Bóg, najwięcéj się cieszy z nawróconego grzésznika. — O mój drogi, czytam w twym sercu że poznałeś twe błędy.

— Lecz może zapóźno — rzekł smutnie Jerzy.

— O nigdy zapóźno — przerwał Telesfor — Bóg miłosierniejszy jak ludzie.

— Cóż teraz mam począć kochany Telesforze.

— Zaraz uwożę cię z sobą, do mego mieszkania.

— Harapińscy mścić się będą.

— Nie bój się damy im radę — oni nie podniosą czoła przedemną.

—Zrujnują mię do reszty — jestem w ubóstwie.

—Co mam podzielę się z tobą — nie będziesz nigdy w nędzy — a gdy się z Bogiem pojednasz — pojednasz się i z ludzmi.

P. Jerzy rzucił się na szyję Telesfora — i zawołał.

—Zdjąłeś kamień z mego serca, pierwszy raz wolniéj odetchnąłem.

—Ufaj mnie kochany Jerzy — a Bóg nas wesprze i pobłogosławi.

P. Sokratecki wsiadłszy do powozu Jerzego, kazał furmanowi zawrócić — i rozmawiając o zaszłych wypadkach od czasu ich rozłączenia się lecieli śpiesznie do pomieszkania P. Telesfora.

P. Ptasiński pozostał na środku drogi, z dziwieniem spoglądał na odjeżdżający powóz. — Nie kazał się ruszać swemu woźnicy, bo sam nie wiedział gdzie ma jechać — co począć — siedział w milczeniu i dumał jakiego ma się trzymać postępowania względem Pelci i Państwa Harapińskich. — P. Ptasiński chociaż

był Jeometrą nie był jednak wielkim matematykiem, organ poezyi górował na jego czaszce. — Utworzył więc z tych wszystkich wypadków scenę bardzo romansową — sądził się być bohaterem, — chciano mu uwieść — porwać kochankę, on ją wydarł nie dopuścił hańby — wszystkie zniszczył przeszkody dla tryumfu miłości, bo P. Ptasiński szczerze wierzył w miłość Pelci. — Narcyz chowany w pugilaresie P. Narcyza, ten pierwszy zadatek miłości utwierdzał go w tym przekonaniu. Posądzał P. Chorążynę, iż przez dumę mogła należéć do téj haniebnéj intrygi — oszukać nawet córkę — po długim namyśle rzekł do siebie.

— Pelcia jest niewinną — ona mię kocha — Chorążyna godna zemsty — lecz Narcyz Ptasiński zemści się — przebaczeniem — i P. Chorążanka, musi być moją.

Tak godzinę marząc P. gubernski Jeometra na netyczance — zadowolony z siebie, kazał się wieść do domu P. Chorążostwa Harapińskich.

ROZWIĄZANIE.

Kto chce się przekonać że może być piekło w domu, niech zajrzy do mieszkania Państwa Harapińskich. — P. Chorążyna rozczochrana, z czépkiem z piórami na bakier, w żółtéj materjalnéj sukni z oderwaną włóczącą się falboną, z wykrzywioną twarzą od gniewu, latała jak furya, klnąc — łając wszystkich najprostszémi — najdobitniejszemi wyrazami. — Nim dojechali do domu — już się odbyła wielka burza. — Frania chciała gniew matki łagodzić, dostała za to kułakiem — Pannę młodę poczęstowała potężnym policzkiem. — P. Antoni zato że stał w obronie córek i przypomniał że kobieta z edukacyą nie powinna się poddawać takiéj wściekłości,

obsypany był gradem słów najzelżywszych i tylko co w koczu nie przyszło do czubów między mężem a żoną — Pelcia i Frania uciekły do swoich pokojów — a P. Antoni jeszcze stał przed Chorążyną jak winowajca i musiał wysłuchać resztki ostrych wymówek.

— Tyś wszystkiemu winien.

— Jakim sposobem Róziuniu.

— Czemuż nie wsiadłeś do powozu z Jerzym.

— A któż się mógł tego spodziewać — gdybyś mnie kazała, to bym związał i dostawił ci go do kościoła.

Teraz nam trzeba do naszych dóbr wyjechać, bo już pewno nie jesteś komisarzem — pewno się rozpocznie panowanie tego bakałarza Sokrateckiego — a wszystko to sprawiło głupie twoje postępowanie.

— Róziuniu! daruj — ja nic nie winien — nie odbieraj mi choć Chorążostwa.

Głupiś P. Chorąży — za trzy dnie aby tu naszego śladu nie było — ja nie mogę oddychać w majątku tego niewdzięcznika — tego łotra — torbotrusa, dam się ja im we znaki —

to pewna intryga tego bakałarza, on zawsze jak pies cichaczem za łydki kąsa — poczekajcie dam ja wam wszystkim.

— Wszystko co zechcesz zrobię — tylko się nie gniewaj Róziuniu.

— Schowaj morały dla siebie — idź precz, tylko pamiętaj, aby mi tego wypadku nie rozgłaszać, jeśli kto będzie się wypytywał — powiedz że Jerzy chciał uwieść, że się chciał z nią żenić, bez naszego pozwolenia, że my takiemu łotrowi, hołyszowi, odmówiliśmy naszego błogosławieństwa, że on przemocą ją porwał, myśmy dopędzili i z rąk mu Pelcię wydarli, że ona ze strachu spazmów dostała bo nienawidzi Jerzego, że o ten gwałt potrafiemy się upomnić — rozumiesz.

— Rozumiem — to podobno będzie najrozsądniéj.

— Idź teraz, przygotuj wszystko do wyjazdu.

P. Antoni odszedł — po takiéj burzy potrzebował silnego pokrzepienia, wyjął więc z szafki pełen sztof anyżówki i aby nikt nie

przeszkadzał dumać nad zaszłemi wypadkami, zamknął się w swoim alkierzu z ukochaną pocieszycielką wszystkich trosk domowych.

P. Harapińska weszła do pokoju córek; też same dała zlecenia co i mężowi – Pelcia i Frania uznały że najrozsądniejszy kierunek nadała matka téj sprawie, że w tym pomyśle porwania Pelci było cóś tak romansowego, cóś tak pięknego, iż w duchu Frania zazdrościła Pelci że ona stała się bohaterką, jaką tylko po książkach dotąd nadybywały — gdy się matka i córki przebrały i spokojność zaczęła powracać, zahuczała netyczanka na dziedzińcu, i wpadł do pokoju P. Narcyz Ptasiński.

—Zwycięstwo! wołał—Bóg i kochanek czuwał nad aniołem.

—To Pan już wiész o tém haniebném porwaniu.

—Wiém wszystko — wyśledziłem — pośpieszyłem, złapałem—i związanego łotra oddałem w ręce P. Sokrateckiego.

—Trzeba było dostawić go do sądu.

—Niechby P. Agaton Iwanowicz —rzekła Frania wziął go w swoje ręce—upomniałby się o honor naszego domu.

—I ja się upomnę—odrzekł P. Ptasiński, ja go rozsiekam—mój obowiązek bronić honor mego anioła.

Podobał się Pelci ten entuziazm, bo cóś podobnego czytała w romansach—przerwała mu więc.

—Dobry i mężny P. Narcyzie, godzien jesteś naszéj wdzięczności.

P. Ptasiński ukłakł przed nią i zawołał.

—Głowę—życie—krew moją—i wszystkie me członki,
Z zachwyceniem poświęcę dla przyszłéj méj żonki.
Wykonaj—cóś przyrzekła mój drogi aniele,
Gubernski Jeometra pod nogi się ściele.

—To P. Narcyz został już gubernskim Jeometrą, wszystkie trzy z radością zawołały.

P. Narcyz zawsze klęcząc przed Pelcią—daléj mówił.

—Wszystkich moich zaszczytów, staną się koroną,
Te słowa Chorążanki—»jestem twoją żoną.«

—Mamo! wołała pomieszana Pelcia.

—Pelciu! decyduj się—rzekła P. Hara-

pińska — ja nic nie mam przeciw P. Narcyzowi — wykonał co obiecał — jest gubernskim Jeometrą — i ja też moich obietnic cofać nie myślę.

— A więc? — wołał klęczący P. Ptasiński.

— A więc jestem twoją! rzekła zarumieniona Pelcia.

I nowo narzeczeni uściskali się najczuléj w przytomności matki.

Nadjechał i P. Agaton Iwanowicz i P. Cyrjak Chaptyński — wszyscy byli kontenci szczęśliwi, nikt już nie wspominał o zaszłych wypadkach w kościele, bo choć o istotnéj prawdzie każdy wiedział, lecz dla własnych interesów i dla przypodobania się P. Chorążynie potakiwali jéj dziwaczne opowiadanie. — Po naradzie familijnéj postanowiono aby ślub Frani i Pelci odbył się za trzy tygodnie w dziedzicznych dobrach państwa Harapińskich. — Lecz i ta radość zakłuconą została — nie przewidziane wypadki zaczęły się zgromadzać nad domem Harapińskich. — Do solennego postanowienia o losie córek potrze-

bowano potwierdzenia ojca — P. Chorążyna miała ten takt zwyczajny kobietom które mężów za nos wodzą, iż udawała przy obcych wielką uległość, a nawet zwykła czasami sarkać na despotyzm Antoniego, a wiémy co P. Antoni znaczył w domu, jednak musiał w chwilach stanowczych przewodzić, jako głowa rodziny. — Posłano więc po P. Harapińskiego aby pobłogosławił narzeczonych. — Trudno go było wynaleść, bo rzadko uciekał do alkierza, chyba w czasie wielkiéj domowéj burzy; — z badań służących dowiedziano się iż P. Chorąży ze sztofikiem anyżówki siedzi zamknięty w alkierzu stukano wołano, ale P. Antoni dobrze musiał zdusić robaka, gdy tak mocno go uspił. — P. Agaton Iwanowicz przyzwyczajony do śledzenia, zajrzał przez okno i ujrzał P. Chorążego rozciągniętego na podłodze i nadto bladego — krzyknął więc.

— To jakieś *proizszestwie*, może śmierć *skoropostiżnaja*, trzeba drzwi wywalić.

Odervano zamek — wlecieli wszyscy do alkierza, ujrzano sztof wypróżniony i nie ży-

wego — zastygłego już P. Harapińskiego. Lament powstał w domu — wszystkie panie mdlały lub spazmowały — P. Cyrjak ocierał P. Chorążynę, P. Narcyz Pelcię — a P. Agaton Iwanowicz Franię.

Widać że nieboszczyk przebrał miarę, chcąc zadusić robaka, zadusił i sam siebie — P. Agaton Iwanowicz wyprowadził najporządniejsze śledstwo — i postanowieniem swoim zadecydował — że P. Harapiński tknięty był *apoplekticzeskim udarom* i rozkazał go *predat zemlie*. P. Cyrjak Chaptyński zajął się pogrzebem — a P. Chorążyna z córkami wyjechała do dóbr swoich.

Tymczasem P. Telesfor Sokratecki ojcowską pieczołowitością otoczył Jerzego, nie wyrzucał mu w oczy jego wad i błędów, lecz gdy opowiadał P. Kołomirski swe przygody, każdy zły postępek ucznia tak szczérą boleścią odbijał się na twarzy P. Telesfora, iż Jerzy za każdą łzą starca, na kolanach błagał przebaczenia. — Poczciwe miał serce P. Jerzy w obec przyjaciela przyznał się do każdéj

winy i za nią żałował — ale wiedział P. Sokratecki że uznanie win a poprawę, wielka przestrzeń przedziela — trzeba czujnego oka, mężnego serca, silnéj woli, aby bez upadku przejść tę trudną drogę, aby ujmą żądz ciała a nabytkami ducha, ulżyć brzemię do nie łatwéj podróży.

Przewodnictwo moralne wziął więc na siebie — a duchowe powierzył światłemu kapłanowi mieszkającemu w tymże miasteczku. Jedna czasem chwila dostateczna do popsucia człowieka, a nie raz tak trzeba długich do jego poprawy i ta obejść się nie może bez wspólnego działania, bez łaski Bożéj. — Nie raz cieszył się P. Telesfor, widząc w kochanym uczniu spokój — poddanie się, chęć do pracy, lecz te dobre usposobienia nikły, gdy w chwilach obudzenia się dawnych nałogów, zalewał rozum gorzałką, która z łaski P. Harapińskiego, stała mu się nie przezwyciężoną potrzebą. — Rozpaczał już P. Telesfor, bo napowy, błagania, nic nie pomagały. — Czuł P. Jerzy w chwilach przytomności całą

szkaradę nałogu, lecz nie był w stanie zwalczyć pokus natury. — Dobrym ludzkim usiłowaniom Bóg najczęściéj pomaga, zesłał On śmiertelną słabość na Jerzego; trzy miesiące w bolach bez przytomności jęczał chory, drugie tyle upłynęło nim przyszedł do zdrowia — przez ten czas cierpień i niemocy natura się odzwyczaiła od gorących trunków i P. Jerzy wycierpiawszy męki w chorobie, powstał odrodzony, oczyszczony z wad wielu i z silną wolą rozpoczęcia innego życia.

Przez czas słabości Jerzego, P. Telesfor nie opuszczał zajęca się jego interesami.— Zmienił wszystkich oficialistów, powierzył administracyą majątku i fabryki poczciwemu sąsiadowi, który był największym przyjacielem nieboszczyka ojca P. Kołomirskiego. — Ten z niciadu zaczął wyprowadzać majątek — przejrzał rachunki rządców, upomniał się o widoczną kradzież P. Harapińskiego i o zwrót od jego spadkobierców zażądał dość znacznéj summy, po prostu wziętéj z kassy P. Jerzego — P. Chorążyna klęła, wrzeszczała, a jednak

proces się toczył i mimo protekcyi P. Agatona Iwanowicza i P. Cyrjaka Chaptyńskiego w pierwszéj instancyi był zupełnie przegrany — lichwiarze widząc sprężystość rządów i energiczne działanie w processach, przystąpili do układów, przytém Bóg błogosławił urodzajom, kredyt zaczął się ustalać — dość że już była pewna nadzieja ocalenia połowę majątku.

P. Sokratecki postanowił żadnym najmniejszym wydatkiem, nie uszczuplać dochodów z majątku P. Kołomirskiego, które poświęcone były li tylko na umorzenie długów. — W pocie czoła — pracą całego życia uzbierany kapitalik użył na przyzwoite utrzymanie ucznia. A gdy wyszedł zupełnie P. Jerzy z choroby, gdy P. Telesfor ujrzał w nim nowego człowieka, z wskrzeszonemi zasadami wiary, z silną wolą oparcia się wszelkim pokusom — wówczas dobył tysiąc dukatów jedyny swój fundusz i rzekł.

— Mój kochany Jerzy, gdy Bóg powrócił ci zdrowie — i łaską Swoją zwiędłe kwiaty twego ducha ożywił, którém hodował w

dzieciństwie twoim i podlewał łzami własnemi, gdy widzę że dziś twemu postanowieniu wierzyć mogę — przyjm odemnie te tysiąc dukatów, przyznaczam je na podróż twoją, zwiedź obce kraje, rozerwi się — Samotność dobra dla starszych, ale nie dla młodych, strawiwszy tyle majątku, nie użyłeś żadnéj prawdziwéj uciechy która majątek dać może. — Ggy ja tu będę pracował nad rozwinięciem twoich interesów, aby uratować choć połowę dóbr, co ci rodzice zostawili, ty uzbrojony dziś doświadczeniem, jedź, zwiedzaj nieznane ci kraje i z korzyścią dla umysłu i ducha po upływie roku powracaj do nas — Jerzy ucałował kolana Telesfora i rzekł z rozrzewnieniem.

— Czyż mogę całe brzemię zwalić na ciebie — a sam tymczasem szukać rozrywki za krajem — czyż grosz twój poczciwie i ciężko zapracowany mogę nawet dotknąć, a tembardziéj użyć na własne uciechy. — O! nie tego uczynić nie mogę -jeszcze do tego stopnia nie jestem popsuty. — Nic nie ma świet-

szego jak praca, cóż dopiero praca twoja— a lichy jéj owoc, który sobie na zgrzybiałe lata chowałeś, ja mam trwonić? O nie! nie zmuszaj mię do tego.

—Mój kochany Jerzy — ojciec pracuje dla dzieci, im się ze szczęściem udziela— Jerzy czyż ty nie jesteś mym synem? czyż chcesz mnie odmówić téj pociechy? — Ta podróż jest ci koniecznie potrzebną, ona i na stan twój moralny i na zdrowie wywrze zbawienne wpływy. —Rozdzielenie do którego cię namawiam jest największém poświęceniem, a jednak dla twojego dobra rok sieroctwa może wytrzymam.

P. Jerzy wiedział że wszelkie opierania się byłyby próżne, a poznał że pod zimną powierzchownością bije u P. Telesfora wrzące, kochające serce. —Długo P. Jerzy nie poznał się na nim, jak wszyscy młodzi tak i on szukał piękności w formie, nie w treści— zwierzył słowom, téj zdawkowéj monecie dziś najpiękniejszego stempla, a nie patrzał na życie, na uczynki w których prawdziwa war-

tość człowieka się odbija.—Nie wypraszał się dłużéj—spełnić każdą wolę Telesfora, choćby nawet najuciążliwszą, było odtąd jego niezłomném postanowieniem. — Oblany łzami i błogosławieństwem nauczyciela—wyjechał P. Kołomirski na rok za granicę.

Pół roku przemieszkał P. Jerzy w domu P. Sokrateckiego, pół roku upłynęło jego pobytu za granicą, obaczymy jakie zaszły odmiany w przeciągu tego czasu w domu P. Harapińskiéj. Łzy prędko oschły po P. Chorążym— z przyczyny żałoby musiano choć na kilka miesięcy odłożyć wesela Frani i Pelci—P. Chaptyński zamieszkał na wsi u P. Chorążyny, trudnił się gospodarstwem i processami, które zagrażały utratą znaczniejszéj części majątku— mawiała P. Chorążyna.

—Gdzież bym ja biedna wdowa dała radę tym wszystkim kłopotom—P. Podsędek jest mi pomocą, przyjacielem—i pocieszycielem w troskach.

P. Cyrjak stawał się co raz potrzebniejszym — za nieboszczyka męża już poświęcał

P. Chorążynic swe usługi, dzisiaj oddał się jéj wyłącznie, a skutkiem téj zobopólnéj przyjaźni mimo wrzasku Pelci i Frani połączyli się węzłem małżeństwa, chociaż żałoba nie była skończoną — P. Cyrjak Chaptyński był z rodzaju tych ludzi, co nic darmo nie czynią, nawet bez zapłaty nie mógł się ożenić — wymógł więc znaczny zapis dla siebie — i udowodnił Chorążynic statutem, że wdowa wstępująca w nowe związki małżeńskie zapis mężowi winna czynić. — Napróżno Pelcia i Frania wołały.

— Już my nie dzieci — my wszystko rozumiemy — i my jak mama chciałybyśmy mieć mężów. — Lecz P. ex Chorążyna a dzisiejsza Podsędkowa ceniąc pamięć nieboszczyka, kazała czekać dzieciom końca żałoby, tłumacząc się iż dla ich dobra, dla zyskania rozumnego opiekuna, musiała swą rękę oddać P. Cyrjakowi Chaptyńskiemu. — P. Podsędek tymczasem ciesząc się zapisem, prowadził proces z P. Kołomirskim własnémi pieniędzmi, na co osobno uzyskiwał skrypta od żony —

i jak pająk coraz nad jéj majątkiem rozprzestrzeniał jurysterską przędzę — P. Agaton Iwanowicz znał się na kruczkach i poznał, że zarzucony kruczek przez P. Cyrjaka całą majętność Harapińskich przeciągnie do kieszeni P. Chaptyńskiego — zwąchawszy tak smutne następstwa, zaczął ostygać w miłości dla Frani, a przeniósł się do odleglejszego powiatu, i już więcéj nie odwiédzał domu państwa Podsędkostwa Chaptyńskich. — P. Narcyz Ptasiński choć nie był silnym w matematyce, jednak jak nie jeden z kawalerów, co nie umiejąc tabliczki Pitagoresa, potrafi jakimś rachunkowym instynktem obliczyć posag panny, przeczuł — przewidział, może poetyckim swém natchnieniem, iż Pelcia pod opieką P. Chaptyńskiego nie będzie stosowną partyą dla gubernskiego Jeometry. — Chcąc jednak nie tracić opinii uczuciowego i bezinteresownego kawalera, napisał rzewny list do P. Chaptyńskiéj — iż dowiedziawszy się o związkach Pelci z P. Jerzym i przekonawszy się że był zdradzony, że jego czysta miłość

była znieważoną—z wieczną rozpaczą w duszy, zrywa wszelkie z nią stosunki, odsyła zasuszony narcyz, który spoczywał ciągle na jego sercu—prosząc za całą nadgrodę dawnéj miłości, o łzę jedną nad jego grobem.

Panny Chorążanki mniéj opłakały stratę ojca jak kochanków — nowi nie przybywali. Bywano w sąsiedstwie, zapoznawali się z domami obywatelskiémi, ale nikt im rewizyty nie oddał—jakaś to dziwna była okolica ze staroświeckiém uprzedzeniem, że kradzieżą nabyty majątek nie dawał w ich oczach prawa obywatelstwa, i takich do swego towarzystwa nie dopuszczano. Z oficialistów nikt nie śmiał przestąpić progi wielmożnéj Podsędkowéj a ex Chorążyny Chaptyńskiéj, pamiętali dobrze jak im kiedyś zamykała drzwi przed nosem. — Jedni więc niémi pogardzali, a drudzy ich nienawidzieli—Pelcia i Frania zaczęły okropnie się nudzić, nie przywykły do żadnego zajęcia, żądały towarzystwa—zabaw—kochanków — a tu oprócz P ojczyma i to strze-

żonego zazdrością matki, żadnego nie widziały mężczyzny. — Ztąd wyrodziły się kwasy, kaprysy, wymówki, łatwo przyszło do codziennéj kłótni, a gdy im matka oświadczyła, że nie ścierpi dłużéj ich grubiaństwa, że jeśli ma majątek to dla siebie, że on jest jéj własnością i nie myśli nic im z niego udzielić. — Wszczęły się wymówki, że ojczym ich okrada, że matka nic nie miała tylko to co ojciec zapracował — tak dotkliwe wyrazy sprowadziły przekleństwa i groźby — Pelcia i Frania wówczas upomniały się o summę im darowaną przez P. Jerzego na wyprawę — co oburzyło P. Chaptyńskiego i po skandalicznéj burzy opuściły obie siostry dóm matki. — Rozpoczęły proces — Pelcia zamieszkała sama w Berdyczowie — a Frania w Żytomierzu.

Na tém się koncza dla moich czytelników, szczegóły o dalszém życiu Panien Chorążanek, chcemy rzucić zasłonę na brudy i poniżenie, jakie zrodzić koniecznie musiało skrzywione ich wychowanie — próżniactwo —

zamiast książek pobożnych czytanie gorszących romansów, które nie wiém dla czego z taką skwapliwością tłumaczą na nasz język, aby i w niższych warstwach rozszerzyć koniecznie zgubną zarazę.

Ogólną wadą naszego wieku, jest niezadowolenie ze stanowiska na jakiém urodzenie, wykształcenie umysłowe, każdego postawiło — Zdaje się wielu że pieniądze jedyną są dźwignią do wzniesienia się, chcą je nabyć pośpiesznie, wszystkie środki stają się w ich oczach godziwémi — zaniedbują uczciwą pracą zasłużyć sobie na poczciwe imie, które w jakiejkolwiek warstwie towarzystwa zyskuje poszanowanie i szacunek. Dawniéj szlachcic innémi drogami dążył do obywatelstwa, dla tego w ich gronie nikt nie był intruzem, śmiało dłoń karmazynowego szlachica mogła się dotknąć ręki świeżo wzbogaconego brata — bo wiedziano że ją ani kradzież, ani splamienie dobréj sławy nie brudzi. — Do oświeceńszych należy zapobiedz złemu. — Duchowni

czytają w księdze ich sumienia, niech starają się wyplenić chwast próżności — chciwości i chęć nieprawych nabytków — bo wiara najpierwszém i najsilniejszém jest lekarstwem do uleczenia wszelkich chorób każdego towarzystwa. — Ludzie którzy się poświęcają literaturze, niech nie z nudnémi morałami, lecz lekkiémi z poczciwą dążnością książkami kierują ich umysłem — rozwijają szlachetne zasady, a złe obrzydzają. — Uboższa szlachta, oficialiści, dziś się rzucają z upodobaniem i ciekawością do lekkich książek, niech więc w nich znajdą pokarm dla ducha. — Pracujmy a Bóg pobłogosławi prawdziwéj pracy.

A wiécie co się stało z P. Chaptyńską? *primo voto* Harapińską — P. Cyrjak cały majątek przerobiwszy na swoję imię, wypędził ją z domu i dziś u mego sąsiada służy za klucznicę — lecz wątpię czy nie utraci swe miejsce, bo jest zawsze hardą — złośnicą i pokryjomu sprzedaje nabiał, aby w świeżym czépeczku pokazać się w parafialnym kościele.

P. Jerzy Kołomirski po rocznym pobyciu za granicą wrócił do rodzinnego majątku— nie zastał już poczciwego P. Telesfora, stary nauczyciel, połowę dóbr sprzedawszy, oczyścił resztę majątku i zapewniwszy dobry byt kochanemu uczniowi, umarł—kilka tylko słów pożegnalnych z radami i błogosławieństwem na dalsze życie Jerzego zostawił — to była cała spuścizna długo-letniéj jego pracy, i tą tylko mógł obdarzyć ukochanego swego ucznia. — Długo bolał P. Jerzy nad tak wielką stratą, łzy prawdziwego żalu i wdzięczności złożył na jego grobie, a posłuszeństwem dla pośmiertnych rad jego dowiódł mu, iż pamięć o nim nie starła się nigdy z jego duszy.

Sąsiedzi dowiedziawszy się o powrocie P. Jerzego, zaczęli go odwiedzać — Prezes ojciec anny—Hrabia L. mąż Zosi i Pułkownik pierwsi uściskali kochanego, dawno niewidzianego przyjaciela — oświadczali się z swoją niezatartą przychylnością, lecz z niezadowoleniem w duchu spostrzegli wielkie

zmiany w P. Kołomirskim — a o diabełku i dżance ani można było juz pomyśléć. — Pułkownik pożegnał i nie wrócił, bo dobrze znał się na ludziach i pomiarkował od razu że żadnéj już korzyści z P. Jerzego mieć nie może. — Prezes często wspominał o Annie, oznajmił że układy familijne połączenia ją z bliskim jéj krewnym już się zerwały — zapraszał go do siebie, lecz P. Jerzy ledwo w kilka miesięcy zebrał się na krótką ceremonialną rewizytę. — Tam się dowiedział że Zosia jest najnieszczęśliwsza, że P. Izabella wykradła się z metrem muzyki bawiącym w domu P. Podkomorzyny — a Klara wyszła zamąż za starego — bogatego — z pięknym imieniem kawalera, który nie tylko był prostym grzésznikiem, ale jawno-grzésznikiem, zostającym w nałogu grzéchu śmiertelnego — upewniała wszystkich że nie wybrała go bróń Boże dla świetnéj pozycyi socialnéj, ale by świętym swym wpływem wybawić jego duszę z piekła — Chociaż P. Jenerałowa — Prezesowa — Podkomorzyna i Marszałkowa zapra-

szały natarczywie go do siebje, P. Jerzy zawsze znalazł przyczynę grzécznego wymówienia się. — W parę lat P. Kołomirski ożenił się z niebogatą — lecz piękną i cnotliwą panienką, która do dziś dnia umila mu życie.
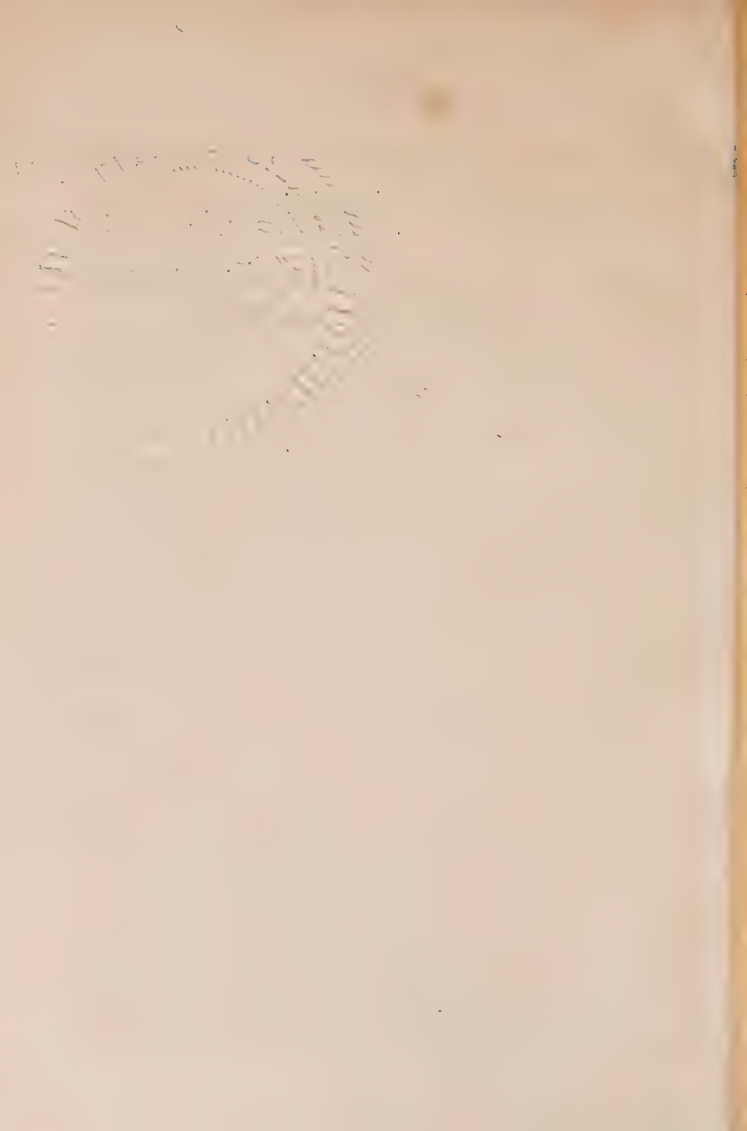
KONIEC.